



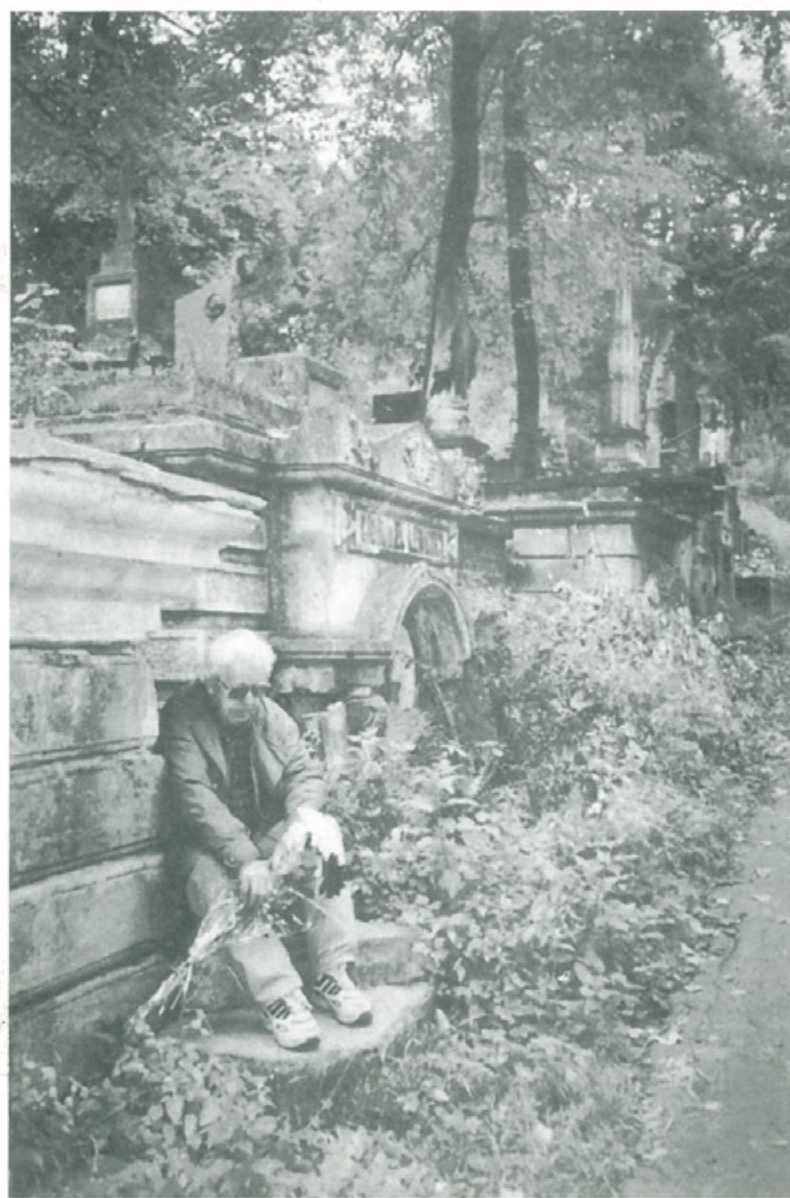
EGZEMPLARZ REGIONALNY

SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MAJ - CZERWIEC 3 (74) 2003

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH • WROCŁAW



Jerzy Masior na Cmentarzu Łyczakowskim
we Lwowie. Był wśród nas...

Spis treści

S. Siekierka, A. Kaminski – List otwarty do prof. Leona Kieres, prezesa IPN	1
List otwarty do Naczelnym Władz Rzeczypospolitej Polskiej.....	2
Danuta Nespiak – Protest przeciwko fałszerstwu „Gazety Wyborczej”	3
Danuta Tabińska-Juhasz – Ukochany proboszcz po 59 latach powrócił z Kresów do swych parafian na Opolszczyźnie ..	4
Ks. Stanisław Turkowski – Kapłan zawsze z ludem i dla ludu	5
Władysław Łukaszynski – Płk Leopold Lis-Kula – bohater walk o Niepodległość, rodak ziemi rzeszowskiej.....	8
Julian Piotrowski – Urywki wspomnień kombatanckich – ze Stanisławowa do Wrocławia przez Afrykę i Powstanie Warszawskie	12
Tadeusz Łodziana – Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych 1937-1943 we Lwowie. Wspomnienia (c.d.)	14
Jarosław Tadeusz Leszczyński – Na tarnopolskim Podolu	17
Remigiusz Węgrzynowicz – Z Kroniki Harcerskiej 34 Lwowskiej Drużyny Żeglarskiej im. Stefana Rogozińskiego.....	19
Bogusław Rogowski – Kozielski most na Odrze ma swojego patrona	21
Kazimierz Wesołowski – Tarnów w hołdzie błogosławionemu arcybiskupowi Lwowa Józefowi Bilczewskiemu w 80. rocznicę odejścia do Pana	22
Jan Tarnowski – Wieczór autorski Ireny Cisek-Piątkowskiej.....	22
Jerzy Masior – Życiorys	23
Jadwiga Sibiga – Wspomnienie o Jerzym	25
Jadwiga Sibiga – Listy donikąd – wiersz	26
Dzieci wędrowanie. Nowy Sącz. W Galerii im. S. Szafrana (<i>Przedruk z „Dziennika Polskiego” z dn. 3 IV 2003 r.</i>).....	26
Kazimierz Wesołowski – Zachowajmy Go we wdzięcznej pamięci	27
Aniela Birecka – Matka Boża Łaskawa z Archikatedry Lwowskiej – wiersz	27
Hymn do Matki Bożej Łaskawej – słowa Jerzy Masior, muzyka Kazimierz Wesołowski	28
Stanisław Kuhl – Jurek Masior – wiersz	28
Byli wśród nas... Jerzy Masior, Krystyna Karbownik	29
Andrzej Barącz – Wspomnienia (c.d. – cz. III i IV)	33
Roman Dąbek, Saltillo, Coahuila, Mexico – Pomnik dla Ludwika Kolankowskiego (1882-1956), pierwszego rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu	35
Marek Rogalski – Wędrowki po Kresach – Szczerec	37
Piotr Marek Stański – Okoliczności powstania i otwarcia Teatru Wielkiego we Lwowie	39
Witold Reiss – „Nie pisz, a daj na Berdyczów”	42
Wanda Butowska – Mościska i Poznań	45
Jan Johnson – 43-ci – wiersz	45
Alicja Zboryt – „Złota Brama” i „Szczerec”	46
Stanisław Leszczyński (opr.) – Minęły 4 kolejne lata Stołecznego Oddziału TMLiKPW	46
Piotr Franków – XI Spotkania Wykonawców Piosenki Kresowej „Kresoviana 2003” w Gorzowie Wielkopolskim	48
Andrzej Przewoźny – Podróż z nutą sentymentu. XI Ogólnopolski Dziecięcy Festiwal Piosenki Lwowskiej „Ta joj!” – Leszno 2003	49
Ludmiła Kryczyńska-Wolińska – Wspomnienie o Kazimierzu Zdanowiczu byłym zastępcy starosty w Samborze	51
Janina Oparowska – Radujmy się – Alleluja!	51
Bogusław Rogowski – „BUDZANÓW” trafił już do czytelników	52
Informacja Antoniego M. Dancewicza o książce „Chodorów i Chodorowanie”	52
Tadeusz Tomkiewicz – Kilka uwag do artykułu Danuty Śliwińskiej „Pomoc Polakom na Wschodzie”	53
List do Redakcji od Sabiny Riedlowej	54
WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO	54
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	54
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	54
Śp. Florian Ciuruś (1926-2003)	57
Śp. Krystyna Karbownik (4.02.1941 – 2.05.2003)	58
Śp. inż. Jerzy Kopacz (1926-2003)	59
Śp. Stanisław Kruczek (1928-2003)	59
Śp. Jerzy Masior (1924-2003)	60
Śp. Tadeusz Neuhoff (1924-2003)	60
Śp. Ludwik Piekło (1914-2003)	61
Poszukiwania	61
Ogłoszenie	61
J. Kowalczyk – Informacja o monografiach szkół lwowskich	61

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Redaguje Kolegium: Danuta NESPIAK, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel./fax 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.

Wrocław, 19 V 2003 r.

LIST OTWARTY

**Pan Profesor
dr Leon Kieres
Prezes Instytutu Pamięci Narodowej
Warszawa**

Szanowny Panie Prezesie!

Niżej podpisani zwracają się z prośbą o wszczęcie śledztwa w sprawie zbrodni ludobójstwa popełnionej w dniach 11-20 marca 1944 r. na ludności polskiej zamieszkałej w Podkaminie koło Brodów przez formacje SS Galizien, OUN-UPA i Ukrainische Hilfspolizei, szczególnie na terenie klasztoru oo. Dominikanów.

Jak pisze ksiądz Józef Anczarski w pracy pt. „Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939-1946” – Biblioteka Historyczna Archiwum Metropolii Lwowskiej Obrazu Łacińskiego w Krakowie, Seria A, źródła i materiały t. 3 Lwów-Kraków 1998 r., str. 364-367:

„Potwornościom, jakie się działy po wdarcu się napastników do klasztoru, może pozazdrościć piekło. Krew ludzka lała się strumieniami. Kule, siekiery i noże niosły śmierć męczeńską Polakom znajdującym się w klasztorze. Okrutną śmiercią ginęli mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci. Stosowano wyrafinowane i okrutne męki. Dochodzą wieści, że w podziemiach klasztoru oprawcy układali Polaków w poprzek wanny i dźgali ich bagnietami. Wanna była napełniona krwią po brzegi. Dochodzą wieści, że studnia klasztorna była napełniona ciałami ludzkimi, a szczególnie dziećmi, które wrzucano tam żywcem. Ludzie ginęli w ogniu palących się budynków. Na terenie klasztoru zginęło około 300 osób. Według innych relacji zginęło około 2000 osób...”

Potworne rzezie na ludności polskiej zostały także dokonane w miasteczku Podkamień. Śmiercią okrutną od kul czy siekier zginęło około 500 osób, co łącznie z ludźmi zamordowanymi w klasztorze daje liczbę 800 osób.

Rzezie ludności polskiej były dokonywane nie tylko w klasztorze i mieście. W Palikrowach, należących do parafii Podkamień, zamordowano 12 III 1944 r. – 211 Polaków, w Maliniskach – 11, w Wierzbowczyku – 4, w Orzechowczyku – 1, w Czernicy – 2. Mienie klasztorne w Podkaminie zostało zrabowane. Banderowcy wywieźli je wozami i samochodami w kierunku powiatowego miasta Brody. Resztę mienia rozgrabili miejscowi Ukraińcy.

Zbrodnie dokonane w klasztorze podkaminskim i wsiach okolicznych przejmowały grozą całe okolice. Ludności polskiej na Kresach Wschodnich niosły potworną groźbę okrutnej śmierci.”

Wydarzenia powyższe opisują też: biskup Wincenty Urban w pracy „Droga krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej”, Wrocław 1983 r., str. 43-48, ks. Wacław Szetelnicki w pracy „Zapomniany lwowski bohater ksiądz Stanisław Frankl (1903-1944)”, Rzym 1983 r., str. 131, oraz inni autorzy szczegółowo wymienieni w w/w książce ks. J. Anczarskiego.

Wspomniana w Kronikarskich zapiskach... klasztorna studnia jest obecnie całkowicie zasypała. Zamieszkali do dziś w Podkaminie i okolicy nieliczni Polacy potwierdzają przypuszczenia, że studnia ta, o dużej głębokości, stanowi masowy grób kilkudziesięciu okrutnie pomordowanych rodaków.

Prosimy o zwrócenie się do władz Ukrainy o możliwość sprawdzenia powyższych relacji przez komisyjne odkopanie studni. W wypadku odnalezienia ciał nie wątpimy, że dokonana zostanie ich pełna ekshumacja z godziwym pochówkiem, upamiętnieniem i wskazaniem sprawców mordu.

Prosimy również o kompleksowe zbadanie zbrodni ludobójstwa dokonanej na terenie parafii w Podkaminie, ustalenie w miarę możliwości jej sprawców i rzeczywistą liczbę ofiar. Z tego co wiemy, na tamtejszym cmentarzu znajduje się zbiorowa mogiła części pomordowanej ludności.

Sądzymy, że doświadczenia wyniesione ze sprawy związanej z mordem w Jedwabnem będą miały tu szczególne zastosowanie.

Przedstawiona wyżej zbrodnia w Podkaminie była jedną z wielu setek, jakie miały miejsce w latach 1943-46 w dawnych województwach: lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim. Na terenach tych zginęło z rąk nacjonalistów ukraińskich nie mniej ludności polskiej i żydowskiej niż na Wołyniu. (vide: „Droga krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej...”)

W tej sytuacji ograniczenie śledztw i upamiętnień tylko do zbrodni popełnionych na terytorium Wołynia ze świadomym przemilczaniem podobnych zbrodni dokonanych przez nacjonalistów ukraińskich na obszarze całej b. Małopolski Wschodniej jest nie tylko wysoce naganne, ale przede wszystkim uwłacza pamięci okrutnie pomordowanych ofiar z kresów południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej.

Mamy nadzieję, że stan ten ulegnie radykalnej zmianie i tzw. „polityczna poprawność” ustąpi miejsca rzetelności i sprawiedliwości.

Prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów we Wrocławiu **Szczepan Siekierka**

Prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich **Andrzej Kaminski**

Do Naczelnich Władz Rzeczypospolitej Polskiej, Przewodniczących organizacji politycznych i społecznych, Środków masowego przekazu (radio, prasa)

W oświadczeniu podpisanym w lutym br. przez prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej – Aleksandra Kwaśniewskiego i Ukrainy – Leonida Kuczma przypomniano, że „w lipcu br. przypada 60. rocznica tragicznych wydarzeń na Wołyniu” oraz osiągnięto porozumienie w sprawie „godnego uczczenia pamięci ofiar tych tragicznych wydarzeń”.

Ponadto, w czasie tego spotkania, na konferencji prasowej, prezydent Ukrainy – Leonid Kuczma oświadczył też m.in. „że zbrodnie przeciwko ludzkości nie powinny mieć żadnych argumentów do usprawiedliwienia ich”, oraz że „prawda, nawet najbardziej gorzka, dotycząca przeszłości, nie powinna zaszkodzić bardzo dobrym stosunkom Ukrainy z Polską”. Taka wypowiedź cieszy. Obawiamy się jednak, że obietnice i wypowiedzi prezydenta Kuczmy, będą jeszcze jednym pustym, nic nie znaczącym gestem, i jak wiele poprzednich dotyczących m.in. Cmentarza Orłąt Lwowskich nie zostaną zrealizowane. Obawy te wynikają stąd, że już w toku wydawania wspomnianego wyżej oświadczenia, robi on wyraźny unik mówiąc o „rozbieżności w pojmowaniu wspólnej historii” i o konieczności jej „dalszych badań”, gdyż jak twierdzi, historycy ukraińscy jeszcze tych badań nie zakończyli. Wypowiedź ta sugeruje wyraźnie, że prezydent Ukrainy nie chce jednoznacznie potwierdzić faktu ani też potępić jednoznacznie zbrodni dokonanych na ludności polskiej Wołynia i Małopolski Wschodniej przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA.

Wyrażamy też zadowolenie, że prezydent RP – Aleksander Kwaśniewski przerywa wreszcie 60-letnie milczenie i zaczyna mówić o tych potwornych zbrodniach dokonanych na ludności polskiej przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA w 1943 r. i o konieczności uczczenia pamięci tych ofiar. Jednak ograniczenie zbrodni, dokonanych przez UON-UPA na setkach tysięcy ludności polskiej Kresów Wschodnich, tylko do tajemniczych „Wydarzeń na Wołyniu” i tylko do 1943 r. jest próbą fałszowania historii i haniebną manipulacją faktami historycznymi. Te „Wydarzenia na Wołyniu” nie były niczym innym jak tylko ludobójstwem dokonanym na cywilnej, niewinnej ludności polskiej, na polskich dzieciach, przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA i tak winny być nazwane, bez kamuflażu.

Wołyń był tylko początkiem tych potwornych masowych zbrodni, które następnie przeniosły się na tereny Małopolski Wschodniej II RP. To w Małopolsce Wschodniej w latach 1943-1945 nacjonaści ukraińscy wymordowali co najmniej 3-krotnie więcej Polaków niż na Wołyniu.

Pytamy więc Pana Prezydenta i Władze Naczelne Rzeczypospolitej Polskiej w jaki sposób, kiedy i przez kogo będzie uczczona pamięć tych kilkuset tysięcy Polaków, pomordowanych przez nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej? Pytamy też kto, kiedy i gdzie postawi pomnik ofiarom tych zbrodni?

Mówiąc o pomniku ku czci pomordowanych, za skandal i prowokację należy uznać fakt, że zamiast postawienia pomnika dla tysięcy ofiar ludobójstwa na Wołyniu, stanął tam już w 2002 r., w Równem, pomnik ich kata Kłyma Sawura (Dmytrij Kłaczkiwskij), który wydał UPA rozkaz przystąpienia do masowych mordów Polaków.

Niewłaściwa jest też nazwa powołanego „Komitetu Organizacyjnego Obchodów 60. Rocznicy Wydarzeń na Wołyniu”, gdyż nie oddaje i nie odzwierciedla ona prawdy historycznej i nie jest adekwatna do rozmiaru, czasu i terenów, na których zbrodnie te popełniono. Dlatego uważamy, że winna ona nosić nazwę: „Komitet Organizacyjny Obchodów 60. Rocznicy Mordów Dokonanych przez OUN-UPA w latach 1939-1945 na Kresach Wschodnich II RP”.

Poważne zastrzeżenie budzi również skład osobowy Komitetu oraz organizatorów. Za skandal należy uznać fakt, że w skład Komitetu nie powołano ani jednego przedstawiciela organizacji kresowych działających w Polsce. Powołano natomiast osoby znane ze swojej sympatii do UON-UPA i jej przywódców, w tym ich duchowych spadkobierców jak Grzegorz Motyka i Myron Kertyczak – przewodniczący Związku Ukraińców w Polsce. Do tej pory nie tylko, że nie potępił on tych zbrodniczych organizacji i dokonanych przez nich zbrodni, a wręcz przeciwnie, usprawiedliwia i gloryfikują je. Czynią to najczęściej na łamach, wydawanego w Polsce, za pieniądze polskich podatników, pisma „Nasze Słowo”, w którym starają się przy tej okazji skalować i obciążać Polaków winą za tragedie i morderstwa dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej.

Osoby te, jako duchowi spadkobiercy OUN-UPA nie mają moralnego prawa do organizowania tych uroczystości ich ofiarom. Jest to cyniczne.

Uważamy też, że organizacja tych obchodów winna być powierzona Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa pod przewodnictwem jej sekretarza Andrzeja Przewoźnika, która ma w tych sprawach duże doświadczenie i od wielu lat dobrze reprezentuje polskie interesy.

Wstydem i hańbą jest też fakt, że zbrodnie te, od ponad 60. lat nie zostały oficjalnie potępione ani przez PRL do 1989 r. (i to można wytłumaczyć), ani też od 1989 r., tj. przez 15 lat, nie uczynili tego ani prezydent, ani Sejm i Senat, ani Rząd III Rzeczypospolitej Polskiej (i tego nie można wytłumaczyć).

Owszem potępiono, słusznie, w czasie PRL zbrodnie hitlerowskie dokonane na ludności polskiej w czasie II wojny światowej. Potępiono też, po 1989 roku, słusznie, stalinowskie zbrodnie ludobójstwa na ludności polskiej. Jednak od ponad 60 lat zalega głucha cisza wokół zbrodni ludobójstwa popełnionych w latach 1939-1945 na kilkuset tysiącach Polaków Wołynia i Małopolski Wschodniej. Nasuwa się więc pytanie, dlaczego? Czy ci

zamordowani przez hitlerowców i NKWD byli lepszymi rodakami RP od tych pomordowanych przez UPA? Na pewno nie. Ale metody tortur stosowanych przez UPA w czasie mordowania Polaków, a szczególnie dzieci, swoim okrucieństwem i wymyślnością przewyższały znacznie metody stosowane przez hitlerowców, NKWD, a nawet Czyngis-Chana z XII/XIII w.

Czas najwyższy, by w imię szacunku dla setek tysięcy ofiar nacjonalizmu ukraińskiego, Władze Naczelne RP przerwały wreszcie to trwające od 60 lat upokarzające milczenie i oficjalnie potępiły te zbrodnie, które niczym nie mogą być usprawiedliwione.

Oczekujemy więc, że zbrodnie te zostaną oficjalnie potępione przez Sejm i Senat RP odpowiednimi uchwałami, jeszcze przed 11 lipca 2003 r., czyli przed planowanymi obchodami 60. rocznicy tego potwornego ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na ludności polskiej.

Oczekujemy też potępienia tych zbrodni oraz organizacji OUN-UPA przez władze naczelne Ukrainy oraz przez Związek Ukraińców w Polsce. Jest to też najlepsza okazja, by prezydent Ukrainy na jednej z mogił ofiar tych zbrodni uczynił gest pojednania, jak to czynili już wcześniej prezydenci Niemiec przed pomnikami Bohaterów Getta i Powstańców Warszawy. Na to również od 60 lat czekają rodziny tych ofiar, i taki gest może doprowadzić do zamknięcia tej najciemniejszej karty historii oraz prawdziwego pojednania.

Danuta Nespiak

Protest przeciwko fałszerstwom „Gazety Wyborczej”

Nie kieruję tego protestu do redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”, bo wyciągnęłam wnioski z poprzednich doświadczeń. Organ prasowy Adama Michnika nie zamieści sprostowania, bo jest „nadtolerancyjny” w sprawach oceny zakresu i form eksterminacji polskiej ludności cywilnej na Kresach Wschodnich przez nacjonalistów ukraińskich, UPA i dywizje SS Galizien.

Protestuję dlatego, by ukazać przykład prymitywnej manipulacji, jaką zastosowała „Gazeta Wyborcza”. Opublikowałam artykuł omawiający meandry biografii politycznej Bohdana Osadczyka, wykreowanego przez środki masowego przekazu w Polsce jako czołowego orędownika pojednania polsko-ukraińskiego („Między prawdą a kłamstwem”, Nasza Polska nr 10, 6.03.2002). Do artykułu dołączyłam, jako materiał dowodowy, ksero fotografii (oryginał posiadam) zamordowanej przez ukraińskich nacjonalistów rodziny Stanisława Karpinka we wsi Latacz, woj. tarnopolskie. Na odwrocie fotografii znajduje się skreślona niewprawną ręką informacja również opublikowana, którą cytuję in extenso: „To jest moja kochana rodzina 1. żona Maria, lat 42, 2. syn Józef I. 23, 3. córka Genowefa lat 20, 4. syn Władysław, lat 18, 5. córka Zofia, lat 8, 6. syn Zygmunt, lat 6. Ofiary mordu bandy ukraińskiej wieś Latacz pow. Zaleszczyki, woj. Tarnopol podpisał ojciec Karpinik S., ja i moja siostra i bratowa, dnia 14.12. godz. 18.30.”

Mord ten miał miejsce w Małopolsce Wschodniej. Organ prasowy Adama Michnika zamieścił tę fotografię w dużym powiększeniu bez noty informacyjnej, podpisując ją „Polacy zamordowani na Wołyniu, 1943 r.” jako ilustrację przedrukowanego artykułu ukraińskiego histo-

Jesteśmy za utrzymaniem dobrosąsiedzkich i przyjaznych stosunków z Ukrainą, z którą łączy nas kilka wieków wspólnej historii, w tym setki lat dobrej. Uważamy jednak, że winny być one oparte wyłącznie na prawdzie historycznej, nawet jeśli jest ona haniebna i wstydliva.

Z wyrazami szacunku

Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej
Zarząd Okręgu Podkarpackiego w Rzeszowie
Prezes Zarządu Okręgu Aleksander Szymański

Związek Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej
i Byłych Więźniów Politycznych
Zarząd Okręgowy w Rzeszowie
Prezes plk dypl. w st. sp. Julian Węgrzyn
Wiceprezes w st. sp. mgr Kazimierz Dobosz

TMLIKPW Oddział w Rzeszowie

Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość
Oddział w Rzeszowie

Prezes Zarządu inż. Stanisław Micał

Podkarpacki Związek Piłsudczyków
Prezes Oddziału Podkarpackiego Związku
Piłsudczyków Andrzej Kaźmierczak

Związek Więźniów Politycznych
Okresu Stalinowskiego Oddział Rzeszów
Prezes Oddziału Rzeszowskiego Z. W. P. O. S.
Jan Ciba

ryka Jurija Kiryczuka pt. „Jak za Jaremy i Krzywonośa” („Gazeta Wyborcza” 24. 04. 2003 r., s.14). Fałszerstwo jest oczywiste, rodzina zginęła w woj., tarnopolskim, a nie na Wołyniu. Ale nie wypada tak „wiarygodnej” „Gazecie Wyborczej” milczeć o rzezi wołyńskiej skoro zbliża się jej 60 rocznica, więc przynajmniej zachować należy milczenie o takiej samej rzezi w Małopolsce Wschodniej.

Problem eksterminacji Polaków w oficjalnych massmediach, a przede wszystkim w organie prasowym Adama Michnika zawęży się terytorialnie i liczbowo tylko do Wołynia, usuwając z pola społecznej informacji ukraińskie ludobójstwo w Małopolsce Wschodniej. Gazeta Wyborcza w tym celu posłużyła się moją fotografią, bo taka prymitywna manipulacja też grzebie prawdę.

Dodam, że artykuł Kiryczuka zawiera ponadto absurdalne kłamstwa. Np. udokumentowany i opublikowany napad UPA w lipcu 1943 r. na polską wieś Hutę Stepańską pow. Kostopol przedstawiony jest wg zeznań upowców jako akcja Niemców ubranych w płaszcze z tryzubami, rzucających żywe dzieci do ognia i palących polskie wsie na Wołyniu. Akuratnie o te zbrodnie Trybunał Międzynarodowy w Norymberdze Niemców nie oskarżył.

„Gazeta Wyborcza” w oparciu o artykuł Kiryczuka i zawłaszczoną fotografię chce uwiarygodnić obiektywizm autora i uczyć prawdy o dramacie kresowych Polaków. Robi to jednak w sposób nieuczciwy, pozbawiony podstawowej wiarygodności dziennikarskiej, posługując się fotografią przedstawiającą zbrodnię w zupełnie innym województwie II Rzeczypospolitej, by ilustrować nieobiektywnego historyka ukraińskiego. □

Ukochany proboszcz po 59 latach powrócił z Kresów do swych parafian na Opolszczyźnie

W przededniu obchodów 60 rocznicy ludobójstwa na Wołyniu przez OUN-UPA powinniśmy się starać o rozszerzenie tych obchodów na terytorium całej Małopolski Wschodniej, gdzie też miały miejsce bestialskie czystki etniczne i to nie tylko w latach 1943-44.

W wielu miejscowościach pozostały tam polskie cmentarze kryjące w swych mogiłach tragedie lat wojennych. Dzisiaj zarośnięte, połamane krzyże, rozbite pomniki. Byli mieszkańcy z Polski starają się ratować swoje nekropolie np. w Kołomyi, Tarnowicy Polnej, w Mostach Wielkich od paru lat udało się postawić pomnik ku czci pomordowanych mieszkańców.

Natomiast na cmentarzu w Tłumaczu nie znaleźliśmy już miejsca zbiorowej mogiły, gdzie w 1944 roku pochowano trzydziestu paru Polaków rozstrzelanych przez UPA – od dziada do wnuka w pobliskiej wsi Nadorożna. Dwa tygodnie wcześniej na drzwiach kościoła wywieszono tam apel o natychmiastowe opuszczenie wsi przez Polaków.

Nie wiadomo też dzisiaj gdzie spoczywają mieszkańcy kolonii polskiej Ksawerówka (około 50 osób), która zniknęła całkowicie z powierzchni ziemi (domy spłonęły od wrzucanych granatów, a uciekających ludzi rozstrzeliwano). Wieś była usytuowana po obu stronach drogi z Tyśmienicy do Stanisławowa.

To tylko przykłady z małego odcinka Kresów z terenów mojej Ojczyzny. Uważam jednak, że my żyjący jeszcze świadkowie mamy obowiązek przypominania prawdy, którą starają się teraz zmieniać i zminimalizować.

Dlatego tak duży podziw wzbudził fakt sprowadzenia szczątków ks. Władysława Żygla proboszcza z wsi

Bieniawa koło Podhajec woj. Tarnopol, którego zamordowano w dniu 10 lutego 1944. Wyrok ukraińskiego nacjonalistycznego podziemia wykonał Paweł Pasiecznik – 18-letni chłopak – dwukrotnie strzelając do księdza z pistoletu. Podobno po latach powiesił się nie wytrzymując wyrzutów sumienia, tak przynajmniej wspomina Anna Walczyszyn pamiętająca całe wydarzenie.

Zbigniew Szpulak, mieszkaniec Swierczowa na Opolszczyźnie, 2 lata starał się o ekshumację i przywiezienie szczątków ks. Władysława do Polski do miejscowości, gdzie po wojnie przybyli jego parafianie. W ten sposób – mówi – wypełnił ostatnią wolę matki, w której domu spotkała ukrywającego się księdza śmierć.

Dokładnie w 59 rocznicę śmierci ks. Władysława Żygla 10 II 2003 odbyła się uroczystość ponownego pogrzebu w miejscowości Swierczów niedaleko Namyśłowa na Opolszczyźnie. Mała trumienka (która z wielkimi trudnościami na granicy ukraińskiej przyjechała do Polski dopiero dzięki łapówce) spoczęła na cmentarzu wśród dawnych parafian, gdzie od 2001 roku czekał na nią symboliczny pomnik zaprojektowany i wystawiony przez Zbigniewa Szpulaka.

Jest to pierwsze tego rodzaju wydarzenie.

Dobry Pasterz powrócił do swej owczarni!

Mszę św. w koncelebrze z dziekanem ks. Aleksandrem Matyką i miejscowym proboszczem ks. Krzysztofem Szczecińskim odprawił ks. inf. Stanisław Turkowski oraz wygłosił patriotyczną i wzruszającą homilię obrazującą tragiczny kresowy czas wojenny.

Kazanie w całości przekazujemy obok.



Fot. Wojciech Mścichowski

W listopadzie 2001 r. na cmentarzu w Świerczowie stanął symboliczny pomnik.



Fot. Wojciech Mścichowski

Poświęcenia grobu dokonał ks. inf. Stanisław Turkowski w asyście proboszcza ks. Krzysztofa Szczecińskiego

Kapłan zawsze z ludem i dla ludu

„Między bestialstwem a heroizmem”. Tymi słowy zatytułował swoją książkę wybitny filozof, teolog i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Ks. Konstanty Michalski, charakteryzując okres drugiej wojny światowej i okupacji niemiecko-sowieckiej. Były to bowiem czasy wielkiego okrucieństwa ze strony najeźdźców, a zarazem wspaniałego bohaterstwa wielu Polek i Polaków poddawanych rozmaitym represjom, aż do męczeńskiej śmierci za wiarę, narodowość i umiłowanie Ojczyzny.

Ludność polska zamieszkująca wschodnie tereny Rzeczypospolitej już z chwilą wybuchu II wojny, stała się celem zorganizowanej i planowo prowadzonej działalności ludobójczej ze strony pewnej części nastawionych nacjonalistycznie Ukraińców, żyjących tam od wieków razem z Polakami. Każdego dnia, a zwłaszcza każdej nocy do wiejskich zagrod wkraczała śmierć zadawana w sposób najbardziej wyrafinowany, bestialski. Był to dramat tym boleśniejszy i niełatwy do wytłumaczenia, że dotyczył osób i rodzin dotychczas żyjących obok siebie i ze sobą w zgodnym sąsiedztwie, a często w zażyłej przyjaźni. Polacy i Ukraińcy często zawierali małżeństwa tzw. mieszane, wspólnie obchodzili święta według kalendarza gregoriańskiego, którym posługują się łacinnicy, jak i juliańskiego, wedle którego świętują grekokatolicy. Ich dzieci razem chodziły do szkoły, bawiły się, dorośli pomagali się wzajemnie w gospodarstwie. Nie było przejawów nienawiści, którą zaczęli rozniecać najpierw zaborcy austriaccy, a następnie okupanci sowiecko-niemieccy dla „dzielenia i rządzenia”... Jest bowiem prawdą, że „zbrodniczy system rodzi zbrodniczych obywateli”. Ale również prawdą jest, że nienawiść nie może być nigdy i nigdzie mocnym fundamentem żadnego systemu społecznego ani politycznego. Niczego bowiem nie można w sposób trwały budować na zacierzawieniu i nienawiści. Trzeba o tym pamiętać także i dziś. „Pełnego obrazu tych tragicznych lat nikt już nie zdoła nakreślić” – jak słusznie zauważył biskup wrocławski Wincenty Urban w swojej publikacji pt. „Droga krzyżowa archidiecezji lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-1945”. Wiele materiałów zostało zniszczonych celowo lub przypadkowo, wielu świadków tych wydarzeń odeszło, inne fakty zatarły się już w pamięci...

Jeśli idzie o kapłanów diecezjalnych i zakonnych z terenu archidiecezji lwowskiej, to istnieje niepełny pod względem ilościowym, ale dość dokładny wykaz 78 osób zamordowanych w latach 1939-1946, z podaniem miejscowości, daty śmierci i okoliczności dokonanych zbrodni. Spośród moich kolegów seminaryjnych, dwóch poniosło śmierć męczeńską za wiarę i polskość. Był to kolega Józef Janas, kleryk trzeciego roku teologii, zamordowany już we wrześniu 1939 roku pod Brzeżanami. Drugi Jan Kuszyński jako kapłan został zabity w Toporowie w 1944 r.

Uczestniczymy dziś w obrzędzie pogrzebania tutaj na Ziemi Śląskiej doczesnych szczątków śp. Księdza

Władysława Żygla, proboszcza rzymsko-katolickiej parafii Bieniawa dekanat i powiat Podhajce, województwo Tarnopol, archidiecezja lwowska.

Ks. Władysław Żygiel, mgr Św. Teologii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, urodził się w roku 1905 w Chliczycach k. Złoczowa. Na kapłana został wyświęcony przez abpa Bolesława Twardowskiego w archikatedrze lwowskiej w roku 1933. W latach 1933-1935 był wikariuszem i katechetą w Glinianach pod Lwowem, a w roku 1935 został administratorem parafii w Bieniawie liczącej wówczas 1322 wiernych narodowości polskiej. W parafii tej mieszkał również emeryt ks. Karol Ludmiński.

Ks. Żygiel był kapłanem oddanym duszpasterstwu, sercem kochającym Boga, Kościół i Ojczyznę. Swoją postawą i zmysłem organizacyjnym zdobył wśród wiernych szacunek i autorytet osobowy. W ramach intensywnie rozwijającej się wówczas w archidiecezji lwowskiej Akcji Katolickiej prowadził w parafii bieniawskiej Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej oraz Stowarzyszenie Żywego Różańca. Doprowadził do zakończenia rozpoczętą przez poprzednika budowę kościoła i prawdopodobnie z tego powodu jako bardzo młody kapłan tam został przez władzę diecezjalną skierowany. Jak wspominają dwaj dotąd żyjący jego najbliżsi sąsiedzi w duszpasterskiej pracy ks. arcybiskup Ignacy Tokarczuk, który wówczas był wikariuszem w Złotnikach oraz ks. prałat dr Wilhelm Dorożyński ówczesny proboszcz parafii Złotniki, a także nieżyjący jego młodszy kolega ks. Józef Anczarski – ks. Żygiel był człowiekiem cichym i dobrym, wielce zasłużonym dla parafii, z którą był mocno związany i której był całkowicie oddany... Został zamordowany podczas napadu banderowców w dniu 10 lutego 1944 r. strzałem z broni palnej w czoło i pierś. Miał 39 lat.

Skoro wieść o zbrodni dotarła do sąsiednich miejscowości, nazajutrz udali się do Bieniawy trzej księża: Franciszek Klinger proboszcz z Sokołowa oraz Wilhelm Dorożyński proboszcz i Ignacy Tokarczuk wikariusz ze Złotnik, celem dokonania pochówku zamordowanego kapłana, którego zwłoki zastali na miejscu zbrodni. W pogrzebie oprócz licznie zgromadzonej ludności Bieniawy, uczestniczyła dość duża grupa osób z okolicy. Jak wspomina ks. Prałat Dorożyński – „przyjechaliśmy w kilkanaście sań. Ludzie bowiem bardzo cenili i kochali księdza Władysława i chcieli go pożegnać, oddać mu ostatnią tu na ziemi chrześcijańską posługę... Dokonałmy tego pochówku z wielkim niepokojem, bowiem bandy tylko czyhały na uroczystości pogrzebowe, by napadać na licznie zebranych Polaków. Zima była wówczas bardzo ostra...”

Spełniając prośbę dawnych parafian zamordowanego kapłana, w tej dzisiejszej Mszy św. koncelebrewanej przez księży dekanatu namysłowskiego wraz z innymi przybyłymi na czele z księdzem prałatem Aleksandrem

Matką dziekanem oraz ks. mgr. Krzysztofem Szczecińskim tutejszym proboszczem, z tak liczny udziałem wspólnoty parafialnej Najświętszego Serca Jezusowego w Swierczowie, pragniemy oddać chwałę Bogu w Trójcy Św. Jedynemu, wyrażając wdzięczność za duszpasterską posługę ks. Władysława Żygla tam w dalekiej, odległej, ale zawsze bliskiej sercu Bieniawie... Jesteśmy wdzięczni za jego wspaniałe świadectwo wiary i patriotyzmu dane Chrystusowi, Kościołowi, Polsce i nam żyjącym dzisiaj w niełatwych, skomplikowanych i bardzo niebezpiecznych czasach.

Chcemy prosić Pana dziejów aby posiew męczerskiej śmierci tego Dobrego Pasterza i wielu Polek i Polaków na Wschodnich Kresach Rzeczypospolitej stał się zbawienny dla nas i dla całego świata. „Tylko z wysoka, z nieba może przyjść ratunek” – jak powiedział Ojciec Święty podczas Modlitwy na Anioł Panski w niedzielę 9 lutego 2003 r.

Pragniemy też prosić Boga, by proces informacyjny zmierzający do wyniesienia do chwały ołtarzy księdza Władysława Żygla wraz z wieloma kapłanami pomordowanymi podczas drugiej wojny światowej w archidiecezji lwowskiej został pomyślnie zakończony.

„Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem, abyście szli i owoc przynieśli i owoc wasz trwał” (J. 15, 16).

Te słowa Chrystusa Pana oddają w pełni treść posługi kapłańskiej w Kościele. Służba kapłańska jest ze swej istoty służbą Bożemu ludowi w jego dążeniu do zbawienia.

Jest to posługa nauczycielska, ewangelizacyjna, gdy Słowo Boże wciela się niejako w ludzkie słowo głoszącego Dobrą Nowinę o zbawieniu wedle polecenia Chrystusowego: „Idąc na cały świat nauczajcie...” (Mt 28, 19).

Jest to także posługa liturgiczna – uwielbienia Boga modlitwą, Ofiarą Eucharystyczną i udzielaniem sakramentów św., gdy sam Chrystus przez dłonie kapłańskie ofiaruje się swemu Ojcu Niebieskiemu, sprawując najwyższą formę kultu: „Bierzcie i jedzcie... To czyńcie na Moją pamiątkę”. (Łk 22, 19)

Jest to wreszcie służba duszpastersko-społeczna zmierzająca ku czynnej miłości bliźniego dla realizacji Chrystusowego wezwania: „Miłujcie się wzajemnie, jak Ja was umiłowałem...” (J 13, 15)

Tę potrójną służbę pełni każdy kapłan, który – jak pisze autor Listu do Hebrajczyków – „z ludzi jest wzięty i dla ludzi ustanowiony w tym co do Boga należy” (Hebr. 5,1). Prowadzi ludzi do Boga, choć sam jest świadom swoich ułomności i grzechów. Nie jest ponad ludem, ale zawsze z ludem i dla ludu. Ta więź kapłana z wiernymi jest bardzo mocna we wszystkich okolicznościach i uwarunkowaniach. W sposób szczególny dała się stwierdzić w dramatycznych czasach drugiej wojny światowej i potrójnej okupacji jaką przyszło nam przeżyć na wschodnich terenach Polski: okupacji sowieckiej, niemieckiej i ponownie bolszewickiej. Ta więź duchowa przetrwała i zdołała przezwyciężyć upływ czasu oraz przestrzeń dzielącą nas dziś od utraconych terenów Rzeczypospolitej. Więź ta potwierdza myśl zawartą w Piśmie Św. „Mocniejszą od śmierci jest miłość...”

gdyż ona od Boga pochodzi i do Boga prowadzi...” (Ij. 4, 7) Taka też jest wymowa dzisiejszego spotkania liturgicznego.

Trwały owoc i skuteczność pracy kapłańskiej są uwarunkowane dwoma zasadniczymi czynnikami: nadprzyrodzonym Boskim i naturalnym ludzkim. Ten Boski czynnik, to wpływ nadprzyrodzonej łaski, której dawcą jest sam Bóg przez posługę kapłańską: „Ja was wybrałem i postanowiłem, aby wasz owoc trwał”. To są słowa Pana Jezusa. „To nie ja działałem, ale łaska Boża działa we mnie i przeze mnie.” (I Kor 15, 10) – pisze św. Paweł Apostoł. Sobór Watykański drugi przypomina tę prawdę w Konstytucji Duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym: „Chrystus Zmartwychwstały, żyjący w swoim Kościele przez Ducha Świętego udziela tych światła i mocy nadprzyrodzonych, dzięki którym człowiek może wypełnić swoje życiowe zadanie.”. Ten nadprzyrodzony aspekt pracy kapłańskiej, choć nie podlega kontroli naszych zmysłów i jest niedostrzegalny, to w działalności ks. Władysława Żygla okazał się trwały i nieprzemijający. Owocuje w sercach i pamięci jego dawnych parafian po upływie 59 lat. Obserwujemy to dziś, że posiew ziarna Ewangelii padł jak widać na żyzną glebę, skoro przynosi tak piękne owoce.

Drugi element jaki w pracy kapłańskiej jest bardziej zauważalny i łatwo sprawdzalny zawsze, to cechy charakterologiczne jego osobowości, którą on pociąga ludzi do Boga. A więc autorytet osobowy, wrażliwość na duchowe i materialne potrzeby ludzkie, dyspozycyjność, otwartość, dobroć i serdeczność... „Być wszystkim dla wszystkich, aby wszyscy zostali zbawieni” (I Kor. 9, 22), a także – co jest najtrudniejsze i graniczy z heroizmem – gotowość do ofiary z siebie, do poświęcenia najwyższego... Ks. Władysław, jak mówią o tym świadkowie, posiadał te cechy w stopniu najwyższym. Świadczy o tym pamięć jaką po sobie pozostawił. I to jest niezmiennie istotne, ważne nie tylko dla nas, ale dla następnych pokoleń, dla dzieci i wnuków, aby – jak pisze psalmista: „przyszłe pokolenia wiedziały co Bóg zdziałał w naszym narodzie i jak wielka była dla nas Jego łaska” (Ps. 78, 6).

Zbigniew Herbert, poeta ze Lwowa pochodzący, w utworze pt. „Przesłanie pana Cogito” napisał: „Ocalałeś nie po to tylko aby żyć, masz mało czasu... trzeba dać świadectwo...”. Ocalaliśmy z pogromów ukraińskich zbrodniarzy, z tego okropnego ludobójstwa XX wieku. Zostaliśmy wypędzeni z ojcowizny w ramach etnicznej czystki za zgodą zdrazieckich zachodnich sojuszników, po to, by póki żyjemy dawać świadectwo prawdzie. I to mimo, że ta „prawda – jak pisze Antoni Głowacki – ma często smak gorzki jak lzy...”. Tę prawdę trzeba zachować w pamięci i ją głosić, mówić o niej głosem donośnym. Wzywa autor psalmu 78 pisząc: „Tego cośmy widzieli i słyszeli, cośmy sami przeżyli nie będziemy ukrywać przed naszymi synami, ale opowiemy przyszłemu pokoleniu...”.

Nie może więc pójść w zapomnienie to, czego jesteśmy świadkami. To nie może zagać w mrokach historii i manipulacji mediów pozostających wciąż na usługach kłamstwa i zbrodni.

Znany polski współczesny uczony historyk prof. Janusz Tazbir zapytany niedawno przez dziennikarza w wywiadzie telewizyjnym: „Kiedy zostanie opracowana pełna najnowsza historia naszych dramatycznych dziejów ostatnich dziesięcioleci?” – odpowiedział: „Gdy wymrą wszyscy świadkowie tych wydarzeń, które oni sami przeżyli. Wówczas historycy będą mieli pełną swobodę pisania.”.

Dlatego Ojciec Święty Jan Paweł II wielokrotnie zachęcał, szczególnie dawnych kresowiaków, do zbierania dokumentacji owej martyrologii Polaków w czasie drugiej wojny światowej i przekazywania tych informacji do archiwów i bibliotek, aby coś jednak pozostało. W „Liście do osób w wieku podeszłym” Papież napisał m.in.: „Ludzie starzy są strażnikami zbiorowej pamięci”. Ta pamięć zbiorowa utrwała wydarzenia, o których poszczególni ludzie z różnych powodów boją się, nie chcą lub nie mogą mówić. Tak było przez wiele lat panowania tego samego systemu zbrodni i kłamstwa w naszej Ojczyźnie, co teraz, gdy w miejsce dawnej cenzury obowiązuje tzw. „poprawność polityczna” aby nie drażnić... „Taka wszak nasza polska mapa... nie łzia drażnić dziś kacapa” – jak pisał przed laty Adam Ważyk w „Poemacie dla dorosłych”. Wciąż powraca zawsze aktualne retoryczne pytanie kierowane do cywilizowanego świata, pytanie pozostające wciąż bez odpowiedzi: Świecie! Dlaczego i w imię czego próbujesz ukryć, zatuszować te okropne zbrodnie? Jak długo jeszcze „poprawność polityczna” będzie kneblować ci usta?

Ks. kard. Prymas Józef Glemp powiedział 5 IX 1998 r. w katedrze warszawskiej: „Trzeba utrzymywać ludzką pamięć. Pan Bóg dał człowiekowi rozum i wolę, ale także pamięć, która jest zachowaniem w umyśle wydarzeń przeszłości, scen i osób. To wszystko tkwi w człowieku i jest po to, by nie tylko wspominał, przypominał, ale też zachował, utrzymywał po to, by to co dobre naśladował, a co złe unikał i zapobiegał złu. Dlatego Kościół pielęgnuje rocznice, gdyż one są odświeżaniem pamięci.”.

Dzisiejsza uroczystość – 59 rocznica mordu dokonanego 10 lutego 1944 roku w Bieniawie – jest takim „odświeżeniem” pamięci zbiorowej. Nie dla siania nienawiści, co trzeba z całą mocą podkreślić, ale dla zapobiegania złu.

Są różne formy i sposoby utrwalania pamięci. Są to najczęściej opowiadane lub spisane wspomnienia osób. Tak uczynili niektórzy dawni parafianie Bieniawy, jak np. autor wspomnień o śp. ks. Władysławie Żyglu, spisanych 26 I 2000 r. oraz p. Edward Owoc z Szamotuł ówczesny ministrant i naoczny świadek tych dramatycznych wydarzeń, do 1950 roku mieszkawiec Swierczowa. Ks. abp Ignacy Tokarczuk pisze o tych dramatycznych wydarzeniach w swoich wspomnieniach „Od Zbaraża do Przemyśla”, wspomina o nich ks. prałat dr Wilhelm Dorożyński uzupełniając relacje swego kolegi ks. Józefa Anczarskiego w jego książce pt. „Kronikarskie zapisy z lat cierpienia i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939-1946”. Wiele szczegółów zebrał ks. bp Wincenty Urban w publikacji „Droga krzyżowa archidiecezji lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-1945”. Pochodzący z Podhajec wicerektor naszego semina-

rium lwowskiego ks. dr Stanisław Bizuń we wspomnieniach zatytułowanych „Historia krzyżem znaczone” oraz ks. dr Wacław Szetelnicki w kilku książkach wydanych drukiem w Rzymie w latach 70-tych i 80-tych. W czasopiśmie poświęconym w sposób szczególny tym zagadnieniom „Na Rubieży – Ludobójstwo dotychczas nieukarane i niepotępione”.

Jedną z praktykowanych form utrwalania zbiorowej pamięci są także nagrobki, pomniki, obeliski z odpowiednimi napisami w kamieniu by przetrwały jakiś czas, dopóki inna zbrodnia ręką ich stamtąd nie usunie lub zniszczy, bo takie są u nas realia. Ale to nie jest wszystko, co powinniśmy uczynić. Konieczna jest nasza postawa moralna, nasze życie zdecydowanie chrześcijańskie, wierność zasadom etycznym, poczucie odpowiedzialności i narodowej tożsamości tu i teraz. Chrześcijański pisarz II wieku Tertulian jest autorem znanego powiedzenia: „Krew męczenników – posiewem chrześcijaństwa”. Miejmy nadzieję, że ofiara męczerska księdza Władysława Żygla stanie się dla młodego pokolenia dawnych parafian Bieniawy, gdziekolwiek będą żyli, i dla nas wszystkich, którzy te zdarzenia pamiętamy lub poznaliśmy je z opowiadań świadków, zaczynem pogłębionego życia wiary i łaski, źródłem nadziei w zwycięstwa prawdy i dobra oraz pozwoli zachować narodową tożsamość pośród wyzwania dzień dzisiejszy i przyszłość przed nami stawia.

Tych, którzy byli świadkami dramatycznych wydarzeń owych czasów „między bestialstwem a heroizmem”, okrucieństwem jednych a bohaterstwem innych, szli po „drodze krzyżowej lwowskiej archidiecezji”, byli uczestnikami „lat cierpienia i grozy”, „historii krzyżem znaczonej” – wszystko to do czego zobowiązuje.

„Prawda, której jesteśmy świadkami powinna zostać głośno wypowiedziana!”

Karol Wojtyła – dziś Papież Jan Paweł II – w poetyckim utworze „Myśląc Ojczyznę” – napisał: „Godziny mijają... ale też powracają na wielkiej tarczy zegara historii...”. Dziś powracają godziny na tarczy zegara naszych czasów, gdy „między bestialstwem a heroizmem” rozgrywają się losy świata i nasze losy... Przykład tego kapłana i męczennika wzywa nas, byśmy zostali wiernymi naszemu powołaniu ludzkiemu, chrześcijańskiemu i narodowemu w warunkach tych jakie są obecnie pomimo uzyskanej tzw. wolności, błędnie pojmowanej. Chodzi o to, byśmy należycie rozumieli tę wolność, byśmy wiedzieli co to znaczy: być chrześcijaninem, być Polakiem, zachować twarz, uszanować zawsze i wszędzie godność człowieka odkupionego męką, śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa żyjącego w Kościele, Chrystusa, który „wczoraj, dziś i na wieki” (Hebr. 13, 8).

Starajmy się więc o to, byśmy naszą postawą religijną i patriotyczną zasłużyli na taki szacunek i pamięć jaką po sobie pozostawił niezapomniany kresowy duszpasterz, ks. Władysław Żygiel. Z dala od swej ziemi ojczystej, którą bardzo umiłował, ale będąc zawsze ze swoimi i wśród swoich, niech odpoczywa w pokoju, oczekując chwały zmartwychwstania. □

Władysław Łukaszyński

Płk Leopold Lis-Kula – bohater walk o Niepodległość, rodak ziemi rzeszowskiej

W dniu 7 marca 2003 roku w Rzeszowie odbyły się uroczyste obchody 84. rocznicy śmierci płk. Leopolda Lisa-Kuli, których organizatorami byli: Prezydent Rzeszowa – Tadeusz Ferenc, d-ca Garnizonu Rzeszowskiego – gen. bryg. Fryderyk Czekaj, II LO im. płk. L. Lisa-Kuli oraz Podkarpacki Związek Piłsudczyków w Rzeszowie.

Pułkownik L. Lis-Kula był jednym z najzdolniejszych, najbardziej zaufanych i cenionych ludzi Naczelnika Państwa – Józefa Piłsudskiego.

Marszałkowa Aleksandra Piłsudska w przedmowie do książki pt. „Pułkownik Leopold Lis-Kula” (wyd. 1932 r., str. 366), napisała o nim tak:

„Gdy czyta się tę książkę, napisaną zwięźle, jasno, bez próżnych frazesów, mimo woli nasuwają się na usta słowa poety: „Bo kiedy grzebię w Ojczyzny popiołach, a potem ręce znów na harfie kładnę; powstają mi z grobu mary, takie ładne, takie przejrzyste! Szczerze! Żywe! Młode! że po nich płakać nie umiałbym szczerze”. (Beniowski, pieśń V).

Tak jak z bajki cudowną marą z ostatnich lat naszych dziejów jest postać młodziutkiego pułkownika Lisa-Kuli. Ile entuzjazmu, trudu, pracy, wytrwałości dał dla zdobycia Niepodległości ten młody, bo zaledwie 21 lat liczący pułkownik”.

Leopold Kula urodził

się 11 listopada 1896

roku we wsi Kosina, po-

wiat Łańcut. Był wnu-

kiem powstańca stycz-

niowego. Wychowywany

był przez rodziców i

swojego dziadka-po-

wstańca w duchu patri-

otyzmu i miłości Ojczy-

zny. Do szkoły podsta-

wowej, a od 1907 r. i do

II Gimnazjum uczęsz-

czał w Rzeszowie, do-

kąd przenieśli się jego

rodzice. Interesował się

szczególnie historią oj-

czystą i wojskiem.

W roku 1911 wstępuje

do harcerstwa, w którym

uczy się czytania map, po-

stugiwania się kompasem i

orientacji w terenie. Wiosną

1912 r. młody Kula zawiązuje

tajne stowarzyszenie

wojskowe, które jednak

szybko ulega samorozwiązaniu.

W październiku 1912 wstępuje

do Związku Strzeleckiego

i przyjmuje pseudonim „LIS”.

W organizacji tej

uczęszcza na wszystkie zajęcia

teoretyczne i ćwicze-

nia polowe oraz pilnie uczy

się taktyki i regulaminów

wojskowych, czym wyróżnia

się spośród innych i zwraca

na siebie uwagę przełożonych.

W roku 1913 bierze

udział w ćwiczeniach

polowych Rzeszowskiego

Okręgu



w czasie których zwrócił na siebie uwagę i uzyskał pochwałę od samego Józefa Piłsudskiego, prowadzącego te ćwiczenia. Od tej pory J. Piłsudski darzył Lisa-Kulę dużym sentymentem i zaufaniem.

Po tych ćwiczeniach zostaje skierowany na kilkutygodniowy kurs letni strzeleckiej szkoły oficerskiej w Stróży i Zakopanem i tam przez cały ten czas spotyka się z Józefem Piłsudskim, Kazimierzem Sosnkowskim, Karewiczem-Tokarzewskim i wieloma innymi wybitnymi przedstawicielami tworzącego się wówczas ruchu wojskowo-niepodległościowego. Po skończeniu tego kursu Lis zostaje oficerem strzeleckim (bez stopnia) i otrzymuje dowództwo plutonu. Na tym stanowisku dał się poznać jako najzdolniejszy i najlepszy instruktor żołnierzy strzeleckich Związku Strzeleckiego w Rzeszowie.

W roku 1913 L. Lis-Kula, mając 17 lat, zostaje mianowany przez Józefa Piłsudskiego i Kazimierza Sosnkowskiego zastępcą komendanta Związku Strzeleckiego w Rzeszowie. Jako zastępca zajmował się, z dobrymi wynikami, werbowaniem do Związku nowych członków, w tym wielu swoich kolegów z II Gimnazjum, a także organizowaniem nowych oddziałów, poświęcając na to swój wolny od nauki czas, niedziele i święta. Dzięki jego wyłożonej pracy Związek Strzelecki Rzeszowskiego Okręgu stał się jednym z najprężniejszych.

W dniu 3 sierpnia 1914 r. Leopold Lis-Kula otrzymuje rozkaz mobilizacyjny i wówczas zamienia mundurek gimnazjalisty na mundur żołnierski, którego nie zdjął już do śmierci. W dniu 5 sierpnia obejmuje dowództwo kompanii wystawionej przez Rzeszowski Okręg Związku Strzeleckiego i odjeżdża do Krakowa, do legionów Józefa Piłsudskiego. Tam zostaje dowódcą 4. kompanii w batalionie kapitana Mieczysława Ryś-Trojanowskiego, a od 16 sierpnia otrzymuje nowy przydział do 2. kompanii V batalionu Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego.

W dniu 9 października 1914 r. Lis-Kula otrzymuje nominację na podporucznika podpisaną przez Józefa Piłsudskiego i szefa sztabu K. Sosnkowskiego, chociaż oficerem strzeleckim był on już od 1913 roku. Równocześnie zostaje mianowany dowódcą kompanii i z dniem 15 listopada 1914 roku przydzielony do VI batalionu dowodzonego przez Mariana Kukieła.

Od tej pory droga L. Lisa-Kuli, aż do końca życia, była pasmem ciągłych zmagani, walk i bitew, najczęściej zwycięskich, którym bardzo często towarzyszył głód, chłód, choroby i poniewierka. Nie sposób wymienić wszystkich walk i bitew, w których brał udział. Walczył m.in. pod Krzywopłotami (17-18 XI 1914), pod Łowczówkiem (24-26 XII 1914), pod Nidą, Wszachowem i Żernikami (V 1915). To po tych bitwach, w których zabłysnął odwagą i talentem dowódczym, rodzi się jego legenda. To po tych bitwach w roku 1915 zostaje awansowany na porucznika. L. Lis-Kula walcząc nie zaniedbywał nauki, w roku 1915 zdaje maturę i wraca do swoich, kochających go żołnierzy. Następnie walczy o Kościuchnowkę i Polską Górkę (3-6 VII 1916).

Po bitwie o Polską Górkę, d-ca VI batalionu, Marian Kukiel, w swoim meldunku pisze tak: „Porucznik Lis-Kula nadzwyczajnym męstwem i świetną inicjatywą przyczynił się, we wszystkie dni bitwy, do ocalenia batalionu, a nawet całego pułku od zagłady”.

Za postawę bojową i męstwo w walce o Polską Górkę słów uznania i pochwał nie szczędził mu sam Józef Piłsudski.

Po kryzysie przysięgowym w lipcu 1916 r. Lis-Kula zostaje wcielony do armii austriackiej i zdegradowany do stopnia kaprała. W jesieni 1917 r. kończy niemiecki kurs szkoły oficerskiej w Istrii, jako szturmowiec, zostaje przydzielony do elitarnego austriackiego 12 batalionu szturmowego 12 dywizji piechoty i wysłany na front włoski. W grudniu 1917 r. Lis-Kula jest już kapitanem. Na froncie włoskim, w czasie szturm na redutę w Cordelazzo nad Piawą Vecchia, zostaje ciężko ranny.

Po leczeniu w szpitalu dywizyjnym, a następnie w szpitalu na Węgrzech, kpt. Lis-Kula, jako rekonwalescent, w końcu stycznia 1918 r. wraca do Krakowa i melduje się u Rydza-Śmigłego. Ten mianuje go komendantem Rzeszowskiego Okręgu Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), a już w lutym wysyła go na Ukrainę, do Odessy, by tam rozpoczął formowanie oddziałów POW. Wyjechał tam, zaopatrzony w rosyjski paszport na nazwisko Jeleński, ale już pod koniec lutego na rozkaz Rydza-Śmigłego udaje się na Białoruś, do Bobrujska (odległego od Odessy o ok. 1000 km), gdzie dotarł dopiero 3 kwietnia 1918 r. Wyjeżdża tam pod pseudonimem, jako kpt. Kortyn. Zadaniem jego było nakłonienie gen. Dowbora-Muśnickiego, dowódcę II Korpusu Polskiego, do zaniechania zamiaru poddania Korpusu Niemcom i rozbrojenia go, a w przypadku sprzeciwu generała pozbawienie go dowództwa. Misja nie powiodła się.

Po nieudanej misji, Lis-Kula dnia 22 maja 1918 r. opuszcza Bobrujsk i wraca do Kijowa i tam 18 lipca 1918 r. zostaje mianowany komendantem Komendy Naczelnej POW Nr 3 na Ukrainę i Białoruś. W listopadzie ogłasza on mobilizację POW w swoich okręgach i przygotowuje oddziały do prowadzenia dywersji na tyłach wojsk Ukraińców galicyjskich oraz do udzielenia pomocy Obrońcom Lwowa. Jednak już 12 listopada 1918 r. jest aresztowany w Brodach przez nacjonalistów ukraińskich, ale nierozpoznany zostaje po kilkunastu dniach zwolniony. Pod koniec listopada przedziera się do Lublina, melduje się u Rydza-Śmigłego i składa mu raport o stanie organizacji POW na Ukrainie. Otrzymuje 2-dniowy urlop, odwiedza rodzinę w Rzeszowie i wraca do Lublina.

Pod koniec grudnia 1918 r. otrzymuje nominację na majora i obejmuje dowództwo II batalionu 23 pułku piechoty. W pierwszym dniu Bożego Narodzenia wyrusza na front z zadaniem odsieczy Lwowa, broniącego się zaciekle przed Ukraińcami otaczającymi to miasto ze wszystkich stron. Idąc na odsiecz Lwowa, batalion Lisa-Kuli wchodzi w skład grupy „Bug” dowodzonej przez gen. Jana E. Romera. Po drodze napotyka silne oddziały ukraińskie, z którymi przez cały styczeń i luty prowadzi ciągle walki m.in. w rejonie Bełżca, Machnowa, Rawy Ruskiej, Rudy Żurawieckiej, Uhnowa, Żółkwi, Sokala. W walkach tych Lis-Kula zabłysnął talentami dowódczymi.

We wniosku na odznaczenie Lisa-Kuli Krzyżem Wirtuti Militari napisano: „... Od razu wyróżnił się inicjatywą w działaniu, odrzucając liczne grupy rusińskie od Rawy Ruskiej. W czasie akcji grupy „Bug” na Lwów, ppłk Lis-Kula otrzymał dowództwo nad kolumną, pozostawioną w rejonie Rawy Ruskiej w sile kilku baonów, dwu baterij i szwadronu jazdy. Rozpoczął się dlań okres ciągłych walk z liczniejszym i popieranym przez miejscową ludność przeciwnikiem. Cały styczeń i luty 1919 roku wypełniały mu walki między Rawą Ruską i Żółkwią z jednej strony, z drugiej – walki w rejonie Uhnowa, Sokala itp. Dzięki osobistej brawurze, walki te były z reguły zwycięskie (...) Dzięki tym walkom prowadzonym z zajądlnością przy bardzo ciężkich warunkach klimatycznych (śniegi duże, mrozy ponad 20°) Rawa Ruska została utrzymana w rękach polskich i nieprzyjacieli zlikwidowany w tym obszarze”.

W dniu 24 stycznia 1919 roku batalion Lisa-Kuli zostaje wycofany do Lublina celem uzupełnienia. Lis-Kula otrzymuje 4-dniowy urlop, odwiedza rodzinę w Rzeszowie, oświadcza się swojej narzeczonej i jedzie do Warszawy, tam melduje się Józefowi Piłsudskiemu i asystuje mu przy otwarciu, w dniu 17 lutego 1919 roku, pierwszego posiedzenia Sejmu po odzyskaniu niepodległości. Józef Piłsudski proponuje mu objęcie dowództwa I Pułku Piechoty Legionowej w Jabłonnie, lecz Lis-Kula propozycji nie przyjmuje i prosi o skierowanie go na Front Wschodni, najbardziej niebezpieczny, gdyż twierdził, że interesuje go walka z wrogiem.

Wraca do Lublina, skąd zostaje skierowany do Włodzimierza Wołyńskiego, by przejąć tam dowództwo nad grupą Włodzimiersko-Wołyńską należącą do grupy gen. Rydza-Śmigłego. Zadaniem grupy Włodzimiersko-Wołyńskiej było m.in. rozbicie sił ukraińskich, należących do „grupy operacyjnej Włodzimierza-Wołyńskiego”, rozlokowanych w trzech zgrupowaniach: Poryck, Oździutycz-Twerdyń i Torczyn. Każda z tych grup oddzielnie była silniejsza od wszystkich razem wziętych oddziałów dowodzonych przez Lisa-Kulę.

Grupa Włodzimiersko-Wołyńska, dowodzona przez Lisa-Kulę, w zaciętych walkach zdobywa: Poryck (2 III 1919), Oździutycz-Twerdyń (5 III 1919), Torczyn (6 III 1919). W ataku prowadzonym osobiście na bardzo silnie obsadzony, uzbrojony i broniony Torczyn (wzmocniony niedobitkami Porycka i Twerdynia), Lis-Kula zostaje bardzo ciężko ranny w pachwinę (przerwana tętnica pachwinowa) i następnego dnia, 7 marca 1919 r., umiera. W chwili śmierci, przy majorze Lisie był jego najbliższy przyjaciel – Kazimierz Iranek Osmecki z Łańcuta, późniejszy szef II Oddziału Komendy Głównej AK.

W komunikacie Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich z dnia 8 marca 1919 roku podano: „... dla odciążenia odwrotu nieprzyjaciela, objął dowództwo sam mjr Lis-Kula, biorąc na siebie po raz ostatni najodpowiedzialniejsze i najniebezpieczniejsze zadanie. Śmierć nie oszczędziła tego dzielnego żołnierza, a wróżącego wielkie nadzieje dowódcę. Ciężko ranny wkrótce zmarł. Młoda Armia Polska straciła jednego z najlepszych swych oficerów”.

Trumna z ciałem poległego mjr. L. Lisa-Kuli została przewieziona, z honorami wojskowymi, przez Włodzimierz Wołyński i Lublin do Warszawy. W Warszawie, w Kościele Garnizonowym na Placu Saskim, ciało Bo-

hatera zostało wystawione na widok publiczny i tam żegnały go rzesze mieszkańców stolicy oraz najwyżsi dostojnicy Rzeczypospolitej. Naczelnik Państwa – Wódz Naczelny Józef Piłsudski w uznaniu męstwa i jego wybitnych zasług na polach bitew mianował pośmiertnie mjr. Leopolda Lisa-Kulę podpułkownikiem i pułkownikiem i równocześnie odznaczył go orderem Virtuti Militari, którym udekorował jego trumnę.

W dniu 16 marca 1919 roku trumna z ciałem pułkownika L. Lisa-Kuli zostaje przewieziona koleją przez Kraków do Rzeszowa. Na całej trasie żegnali Bohatera mieszkańcy okolicznych miejscowości. Ze stacji kolejowej w Rzeszowie trumnę przewieziono do Kościoła Świętego Krzyża, w którym odprawione zostało nabożeństwo pogrzebowe. Po nabożeństwie kilkunastotysięczny kondukt pogrzebowy wyruszył z kościoła na cmentarz Pobitno w Rzeszowie. W imieniu naczelnika miasta płk. Lisa-Kulę pożegnał płk Kazimierz Fabrycy, późniejszy wiceminister Spraw Wojskowych (1934-1939), a następnie dowódca Armii „Karpata”, do 12 IX 1939 r. Na grobie Lisa-Kuli złożono stos wieńców od władz i mieszkańców Rzeszowa, żołnierzy, oficerów i harcerzy. Wśród złożonych wieńców nie zabrakło wieńca od Naczelnika Państwa, z napisem na szarfie: „Mojemu dzielnemu chłopcu – Józef Piłsudski”.

W kilka lat później płk. L. Lisa-Kuli wybudowano grobowiec-sarkofag.

W roku 1927 w Rzeszowie powstał Komitet Budowy Pomnika Leopolda Lisa-Kuli, w skład którego wchodził przedstawiciel generalicji i oficerów, legionistów oraz mieszkańcy i burmistrz miasta Rzeszowa dr Roman Krogulecki. Komitetowi przewodniczył gen. Kazimierz Sosnkowski, a honorowy patronat nad nim objęła Aleksandra Piłsudska – żona Marszałka Rzeczypospolitej Polskiej, która w apelu (odezwie) z dnia 6 sierpnia 1927 roku, skierowanym do społeczeństwa, napisała m.in. tak: „... Uczcijmy Go, budując Mu pomnik w Jego rodzinnym mieście. ...Ten pomnik będzie świadczył o tym, że żołnierz polski umie czcić bohaterskiego kolegę, a równocześnie będzie on wielkim głosem wołał do przyszłych pokoleń tę nieśmiertelną prawdę, że śmierć za Ojczyznę jest największym i najszlachetniejszym dostojeństwem.”.

Pomnik płk. Leopolda Lisa-Kuli, o który apelowała Aleksandra Piłsudska i o który zabiegał Komitet Budowy tego pomnika stanął na Placu Farnym w Rzeszowie.

W dniu 18 września 1932 roku odbyła się uroczystość odsłonięcia tego pomnika, w której udział wzięło kilkanaście tysięcy ludzi, mieszkańców Rzeszowa oraz delegacje młodzieży z całej Polski. W uroczystości tej wzięli też udział: Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej – prof. Ignacy Mościcki, marszałkowska Aleksandra Piłsudska z córkami (Jagódką i Wańdzą), b. premier Walery Sławek, ministrowie: Józef Beck, Janusz Jędrzejewicz, Karol Butkiewicz, Stefan Hubicki, generałowie: Kazimierz Sosnkowski, Edward Rydz-Śmigły, Juliusz Rommel, Andrzej Galica, Tadeusz Piskor – szef Sz. G., Bolesław Wieniawa Długoszewski, a także posłowie, wojewodowie i prezydenci miast.

Uroczystości rozpoczęły się od złożenia, przez liczne delegacje, wieńców i wiązanek kwiatów na grobie płk. Leopolda Lisa-Kuli. Wieniec od Marszałka Józefa Piłsudskiego złożyły w jego imieniu córki – Jadwiga i

Wanda. Następnie na błoniach rzeszowskich odprawiona została uroczysta msza polowa, po zakończeniu której wszyscy jej uczestnicy udali się na Plac Farny. Tam Prezydent RP – Ignacy Mościcki przywitał się z matką Bohatera – Elżbietą Kulową, a następnie dokonał odsłonięcia pomnika. Przemówienia okolicznościowe wygłosili: gen. Kazimierz Sosnkowski, gen. Edward Rydz-Śmigły, minister Jędrzejewicz, a także dr Roman Krogulecki – burmistrz Rzeszowa.

Uroczystości zakończyły się defiladą 17. pułku piechoty, 22. pułku artylerii, 20. pułku ułanów, a także Strzelców i Sokołów oraz Straży Ogniowej.

W nocy z 10/11 kwietnia 1940 roku pomnik płk. L. Lisa-Kuli został strącony z cokołu, pocięty i wywieziony do Niemiec. Zdołano z niego uratować tylko głowę, która doczekała końca okupacji.

W dniu 21 listopada 1992 roku, staraniem Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Pomnika Płk. Leopolda Lisa-Kuli w Rzeszowie, w miejscu pomnika zniszczonego w 1940 r. przez Niemców, stanął nowy pomnik, będący repliką poprzedniego.



Fot. Wojciech Preisner

Postać L. Lisa-Kuli jest w Rzeszowie otoczona wciąż należną bohaterowi. Jego imię nosi II Liceum Ogólnokształcące w Rzeszowie, do którego Lis-Kula uczęszczał, a także jedna z głównych ulic Rzeszowa. Jemu poświęcona jest też tablica pamiątkowa umieszczona w 1985 r. na zewnętrznej, frontowej ścianie lewej nawy Kościoła Farnego w Rzeszowie.



Fot. Antoni Mikuszka

Statuetkę płk. L. Lisa-Kuli, odlaną z brązu, będącą repliką jego pomnika z 1932 r. otrzymał w darze Ojciec Święty Jana Paweł II w czasie swojej wizyty w Rzeszowie 2 czerwca 1991 roku.

Na prośbę Zarządu Oddziału TMLiKPW w Rzeszowie, proboszcz rzym.-kat. parafii w Torczynie umieścił, na cmentarzyku przykościelnym, tablicę pamiątkową ku czci płk. Leopolda Lisa-Kuli, który w tej miejscowości zginął.

O życiu i śmierci Bohatera – Leopolda Lisa-Kuli napisano pieśń, znaną w II Rzeczypospolitej i śpiewaną przez młodzież szkolną i harcerzy:

Gdy ruszył na wojenkę
Miał siedemnaście lat,
Miał serce gorące
I lica miał jak kwiat!
Chłopięcą jeszcze duszę
I wątle ramię miał,
Gdy w krwawej zawierusze
Szedł szukać mąk i chwał!
Lecz śmiał się śmierci w oczy,
A z trudów wszystkich kpił,
Parł naprzód jak huragan,
I bił, i bił, i bił!
A chłopcy z nim na boje
Szli z pieśnią, jak na bal,
Bo z dzielnym komendantem,
I na śmierć iść nie żal!
Nie trwożył się moskiewskich
Bagietów, lanc i dział.
Docierał zawsze z wiarą
Tam dokąd dotrzeć chciał!
Gdy szedł już w bój ostatni,
Miał lat dwadzieścia dwa.
Miał sławę bohatera
A moc i dumę lwał!
Świsnęła mała kulka
I grób wyryła Mu,
Bohaterowi toż –
Posłanie wieczne lwul!
Rycerski pędził żywot,
Rycerski znalazł zgon;
Armady mu dzwoniły,
A nie żałobny dzwon!
Chorągwie się skłoniły
Nad grobem na czci znak,
A stara brać żołnierska,
Jak dzieci łkała tak!
Sam nawet Wódz Naczelny
Łzy w dobrych oczach miał,
Ukochanemu chłopcu
Na trumnę order dał...
A wiecie wy żołnierze,
Kto miał tak piękny zgon,
Kto tak Ojczyźnie służył,
czy wiecie kto to On?
Otwórzcie złotą księgę,
Gdzie bohaterów spis,
Na czele w niej widnieje
Pułkownik Kula-Lis!

W uroczystości 84. Rocznicy Śmierci Leopolda Lisa-Kuli w dniu 7 marca 2003 roku, oprócz organizatorów wzięli udział: marszałek województwa podkarpackiego, przedstawiciele władz samorządowych i radni szczebla wojewódzkiego, powiatowego i miejskiego oraz Wojska Polskiego z d-cą 21 Brygady Strzelców Podhalańskich płk. Mirosławem Rozmusem i komendantami WKU Rzeszów – płk. Wojciechem Szyndlarem i Garnizonu Rzeszów – mjr. Zbigniewem Skaleckim, komendanci Policji – wojewódzki – insp. Józef Jedynak i miejski – insp. Stanisław Zawiślak, starosta rzeszowski, działacze Krajowego i Podkarpackiego Związku Piłsudczyków, bratan-

kowie L. Lisa-Kuli (Krzysztof i Leopold Kula), kombatan-ci, żołnierze, harcerze i młodzież szkolna ze sztandarami oraz licznie zebrani mieszkańcy Rzeszowa.

W uroczystości uczestniczyło 20 pocztów sztandarowych oraz kompania honorowa 21 BSP i orkiestra wojskowa.

Uroczystość rozpoczęła się w kościele Świętego Krzyża w Rzeszowie, z którego 84 lata temu L. Lis-Kula wyruszył w swoją ostatnią drogę. Mszę Świętą koncelebrował ks. bp Edward Białogłowski z udziałem ks. infułata Juliana Pudło z Brzozowa oraz ks. prałata Jana Rybaka z Kosiny, miejscowości w której urodził się Leopold Kula – „Lis”.

Okolicznościowe kazanie wygłosił ks. infułat Julian Pudło. Oto fragmenty tego kazania*:

„Ojczyznę wolną pobłogosław Panie!”

Najczcigodniejszy księżu biskupie! Szanowni uczestnicy dzisiejszej, niecodziennej uroczystości! Zebrani dziś w tej prastarej wiatyni, która była i jest świadkiem dziejów Kościoła i naszej Ojczyzny... zechciejmy na chwilę dokonać refleksji i zadumy... nad jej wspaniałą historią, nad jej wspaniałym bogactwem duchowym i materialnym.

Mamy bowiem wyjątkowych ludzi... bohaterów Kościoła i Ojczyzny. Wspominamy ich w tych dniach, a dzisiaj wspominamy szczególnie płk. Lisa-Kulę... Był on wielkim, umiłowanym synem Naczelnika Państwa – Józefa Piłsudskiego i przeszedł swój długi szlak bojowy..., poległ na polu chwały 7 marca 1919 roku w walce pod Torczynem, na Wołyniu.

(...) Chcemy zanieść gorącą modlitwę za jego duszę i nauczyć się, poprzez jego działalność, patriotyzmu na te czasy... Bo brak jest prawdziwego patriotyzmu u współczesnego, młodego pokolenia.

(...) Ojczyzna to krótkie słowo, ale ma głęboką treść... Ojczyzna to zbiorowy obowiązek – tak mówił Ojciec Święty.

(...) Ojczyzna to naród. To nie ta czy inna partia. Ojczyzna nie może być ani kapitalistyczna, ani socjalistyczna, ani komunistyczna, ani demokratyczna. Ojczyzna musi być **POLSKA**. Do takiej Ojczyzny od tysiąca lat my należymy i chcemy kontynuować dzieje tej Ojczyzny u progu trzeciego tysiąclecia. Mamy dla niej pracować, cierpieć, modlić się, bronić wspaniałej wartości.

(...) Odszedł Człowiek..., odszedł płk Lis w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. I my mamy odejść... Oby o nas ktoś kiedyś powiedział: odszedł Człowiek... odszedł syn naszej umęczonej Ojczyzny, odszedł z honorem, według dewizy: „Bóg – Honor – Ojczyzna”, tak jak z honorem odszedł pułkownik Leopold Lis-Kula.

Amen

Po nabożeństwie uczestnicy przeszli na Plac Farny, pod pomnik płk. Leopolda Lisa-Kuli, gdzie odbyła się dalsza część uroczystości, na którą złożyły się: Hymn RP, przemówienie okolicznościowe Prezydenta Rzeszowa, salwa honorowa, złożenie pod pomnikiem wieńców i wiązanek kwiatów oraz koncert Orkiestry Szalameistek II Liceum Ogólnokształcącego im. L. Lisa-Kuli w Rzeszowie, do którego Lis-Kula uczęszczał.

* Fragmenty kazania podano na podstawie taśmy magnetofonowej, nagranej przez Katolickie Radio VIA w Rzeszowie, które nabożeństwo to transmitowało na teren woj. podkarpackiego. Nieautoryzowane. □

Julian Piotrowski

Urywki wspomnień kombatanckich – ze Stanisławowa do Wrocławia przez Afrykę i Powstanie Warszawskie

W grodzie Rewery do 1939 r. Urodziłem się w 1920 r. w Mariampolu nad Dniestrem. Przeprowadzka rodziców (ojciec – Józef, matka – Maria) do Stanisławowa, wówczas miasta wojewódzkiego (w 1939 r. – 69 tys. mieszkańców), związała mnie z grodem Rewery Potockiego. Uczęszczałem do Gimnazjum Humanistycznego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Poza nauką należałem do harcerstwa oraz grałem w piłkę nożną w WCKS „Rewera”. Wychowywałem się na *Trylogii* Sienkiewicza i jeszcze dziś w mojej pamięci zachowała się scena z zakończenia *Pana Wołodyjowskiego* opisująca pogrzeb małego rycerza w kolegiacie stanisławowskiej. I brzmi mi w uszach warczenie bębna księdza Kamińskiego i jego dramatyczne wołanie: „Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum grają! Wojna, nieprzyjacieli w granicach!”.

Po zdaniu matury w maju 1938 r. zostałem powołany na Kurs Podchorążych 11 Karpackiej Dywizji Piechoty w Stanisławowie, który ukończyłem w stopniu kpr. podchorążego, w lipcu 1939 r. Wybuch wojny z Niemcami zastał mnie na praktyce w 48 Pułku Piechoty Strzelców Karpackich. W Ośrodku Zapasowym w Stryju oczekiwaliśmy na dozbrojenie i skierowanie na front. Nie doszło do tego na skutek zdradzieckiego wkroczenia w dniu 17 września 1939 r. wojsk sowieckich na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej. Te tragiczne dni września zachowały się w mojej pamięci detonacjami bomb hitlerowskich Stukasów, krwią i łzami ofiar agresji oraz rozstaniem z rodziną. Wraz z oddziałem 48 PP przekroczyłem w nocy z 17 na 18 września granicę węgierską i zostałem internowany.

Z Brygadą Karpacką na Bliskim Wschodzie. Przebywałem na Węgrzech między innymi w obozach w Esztargom n. Dunajem, Siklos-var i innych. Po kilku bezowocnych próbach dopiero wiosną 1941 r. udało mi się wraz z grupą innych Polaków przekroczyć granicę jugosłowiańską w rejonie miasta Barcz. Droga przez Zagrzeb, Belgrad, Wranje dotarłem do Salonik w Grecji, a następnie do Stambułu, skąd pociągiem przez całą Turcję jechałem do portu Mersin. Statek egipski dowiózł nas do Hajfy w Palestynie (dzisiejszy Izrael). Kilka dni później byłem już w Ośrodku Zapasowym Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w miejscowości Latrun (niedaleko biblijnego Emaus). W trakcie służby w SBSK, pod dowództwem gen. Stanisława Kopańskiego, miałem okazję poznać całą Ziemię Świętą, pielgrzymować i modlić się w miejscach życia i śmierci Chrystusa, między innymi w Betlejem, Nazarecie, Jerozolimie.

W Brygadzie Karpackiej otrzymałem przydział do 3 kompanii 1 baonu piechoty. Jako dowódca drużyny brałem udział, pod dowództwem kpt. S. Trondowskiego, w walkach na Pustyni Libijskiej w obronie Tobruku (18 sierpnia – 10 grudnia 1941 r.) oraz w bitwie pod Gazalą w dniach 15-16 grudnia 1941 r.

Angielski pisarz A. Clifford w książce pt. *Three against Rommel* za decydujący rozdział drugiej kampanii libijskiej uzna bitwę pod Gazalą. Było to pierwsze pełne zwycięstwo jednostki polskiej po wrześniu 1939 r. Dzięki temu zwycięstwu wojska brytyjskie odparły włosko-niemieckie do granic Cyrenajki.

Warunki ponadrocznej służby żołnierskiej w Afryce były nad wyraz trudne. Dawały się we znaki: żar z nieba, burze piaskowe i niedostatek wody (szczególnie słodkiej, do picia) oraz jednostajne, zimne, konserwowe posiłki z sucharami, a także wyczerpujące, nieustanne napięcie – ostrzeliwanie oraz nocne patrole i wypadki, również plaga pcheł i osławione szczury Tobruku, a nadto tęsknota i obawy o los bliskich w kraju.

W drugiej połowie marca 1942 r. Brygada Karpacka została wycofana z Libii i drogą przez Egipt, Palestynę, Jordanię dotarła do Iraku. W tym okresie ewakuowane z ZSRR przez Persję (Iran) oddziały Armii Polskiej, pod dowództwem gen. Władysława Andersa, znalazły się w płn.-zach. części Iraku, w rejonie Kirkutu i Mosulu. Brygada przeformowana w 3 Dywizję Strzelców Karpackich weszła w skład organizującego się 2 Korpusu Polskiego.

Tam w Iraku jako dowódca plutonu, już w stopniu podporucznika, przyjąłem propozycję podjęcia dalszej walki o wolność Polski na terenie okupowanego kraju.

Liberatorem do powstańczej Warszawy. Pod koniec 1943 r. wraz z grupą podobnych ochotników znalazłem się na południu Włoch. W zakonspirowanym ośrodku szkoleniowym Oddziału VI Naczelnego Wodza w Ostuni przeszedłem szkolenie podobne do szkolenia komandosów. Walka wręcz, posługiwanie się nożem, minierstwo, dywersja, znajomość różnej broni, szczególnie niemieckiej, strzelanie, łączność itp. Wykonywanie różnych zadań, nawet w stanie po spożyciu alkoholu, w warunkach zagrożenia, w zespołach i pojedynczo, często nocą. Także szkolenie spadochronowe, najpierw sprawnościowe, a następnie z samolotu. Po siedmiu skokach, w tym jednym nocą, otrzymałem odznakę spadochroniarza. Na jej odwrocie wyryto nr 4447 i niżej napis: „Tobie Ojczyźnie”. W ten sposób z żołnierzy regularnej armii przeobleczonego nas w konspiratorów-cywilów.

Miałem być – i taki stworzyłem życiorys – robotnikiem ogrodu na Czerniakowie w Warszawie, o nazwisku Biodrowski, o pseudonimie „Rewera”. Jestem zatem jednym z 316 spadochroniarzy AK – cichociemnych, którym dane było skakać i walczyć w okupowanym kraju.

Moja ekipa liczyła sześciu cichociemnych i jako jedyna ze wszystkich operacji spadochronowych w latach 1941-1944 odbyła 4 loty do kraju. Pierwsze 3 loty na czteromotorowym Halifaksie zakończyły się niepowodzeniem. Dopiero czwarty lot, czteromotorowym Liberatorem, zakończył się pomyślnie.

Wystartowaliśmy w dniu 30 lipca 1944 r. o godz. 19.00 z lotniska włoskiego Brindisi. Lecieliśmy ponad

Adriatykiem, Jugosławią, Węgrami. Przeskoczyliśmy Tatry, a następnie wzdłuż Wisły dostaliśmy się w rejon Warszawy. Samolot kołuje i odnajduje placówkę AK. Wymiana sygnałów. Action station – go, go, go ..., skaczą wszyscy. Lądowanie nastąpiło 31 lipca około godz. 1 w nocy, w odległości 7 km na południe od Grodziska Mazowieckiego, w pobliżu majątku Osowiec, na placówce „Solnica”.

Dnia 1 sierpnia ok. godz. 14 cała nasza ekipa dotarła na umówioną melinę w Warszawie, przy ul. Natolińskiej 6. Nasza „ciotka”, p. Stefania Dowgiello – ps. „Stefa”, poinformowała nas, że przybyliśmy w ostatnim momencie. Z ulicy słychać było pospieszne, pojedyncze strzały. O godz. 17 rozpoczęła się od dawna oczekiwana walka z Niemcami. POWSTANIE!

Otrzymałem przydział na odcinek taktyczny „Topór”, na stanowisko adiutanta dowódcy ppłk. Jacka Bętkowskiego, w podobwodzie Śródmieście-Południe. Wykonywałem też obowiązki oficera operacyjnego odcinka. Brałem zatem udział w organizacji, obronie i walkach rejonu ulic: Wspólnej i Emilii Plater oraz gmachów Politechniki. Potem walki na Noakowskiego, ponownie na Plater i Poznańskiej. Wreszcie bezskuteczne ataki w celu zlikwidowania niemieckiej obrony w gmachu Urzędu Telekomunikacji na Nowogrodzkiej.

Z tamtych powstańczych dni utkwiły mi w pamięci euforia i entuzjazm pierwszego okresu walk. Walk o każdy dom, barykadę. Powszechne poświęcenie aż do samozaparcia, mimo ofiar, cierpień i łez. W miarę upływu czasu, skoro nierealna stawała się daleka pomoc z Zachodu, a oczekiwane i tak bliskie wsparcie walk ze Wschodu również nie nadchodziło – pozostały determinacja oraz chęć przetrwania i przeżycia. Po 63 dniach krwawych walk i niezliczonych ofiar Powstanie upadło. Nastąpiła kapitulacja.

Wraz z moim dowódcą płk. „Toporem” dostałem się do niewoli niemieckiej. Ożarów, Kostrzyń, Sandbostal i Munau – jeniecka droga. Wyzwolenie przyniosły czołgi 3 Armii amerykańskiej gen. Pattona – 20 kwietnia 1945 r. Po ujawnieniu skierowany zostałem do Anglii.

W Londynie złożyłem sprawozdanie w Sztabie Naczelnego Wodza o moim działaniu w Powstaniu Warszawskim. Podjąłem następnie studia ekonomiczne na Uniwersytecie Londyńskim. Próbowałem odszukać rodziców w kraju. Jednocześnie, jako były tobrucki, starałem się o ewentualny wyjazd do Australii. Wreszcie w 1948 r. poprzez wujka w Brnie (Czechosłowacja) dostałem adres matki we Wrocławiu. Zdecydowałem się na powrót do Polski.

W polskim Wrocławiu. Do Wrocławia przyjechałem 29 października 1948 r.; trwała jeszcze Wystawa Ziem Odzyskanych. Zamieszkałem w domu matki na Karłowicach. Okazało się, że ojciec mój nie żyje już od 1940 r., a bracia Mieczysław i Zbigniew przeszli szlak bojowy z 1 i 2 Armią Wojska Polskiego. Wrocław, mimo zniszczeń wojennych, robił dobre wrażenie. Dużo zieleni, mnóstwo mostów i kościołów. Ludzie pełni żywotności i serdeczności. Wielu mieszkańców wywodziło się z dawnych kresów wschodnich, ze Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola.

Podjąłem pracę w budownictwie, w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym przy ul. Zapolskiej, róg

Świerczewskiego. W tym przedsiębiorstwie (po zmianie nazwy – Zjednoczenie Budownictwa Przemysłowego nr 1, a później WPBP nr 1) spotkałem mego przyjaciela, też cichociemnego, inż. Zbigniewa Specylaka, ps. „Tur”. Od 1971 r. przeszedłem do pracy w Zjednoczeniu Budownictwa Przemysłowego „Zachód”, a następnie do czasu 1981 we WPBP nr 2.

W 1950 r. zawarłem związek małżeński ze Stanisławą z domu Wesołowską, pracownikiem PKP, nb. pierwszą poznaną Polką po powrocie do kraju, do tego stanisławowianką. Wraz z żoną w 1967 r. ukończyliśmy studia na Wydziale Prawa Administracyjnego Uniwersytetu Wrocławskiego. Córka Mirosława i syn Jerzy zostali absolwentami Politechniki Wrocławskiej.

W tym, zdawałoby się uporządkowanym, nowym życiu następują przykre przerywniki. Z początkiem 1950 r. zostaje wezwany do Rejonowej Komendy Uzupełnień we Wrocławiu, gdzie „zweryfikowano” mi mój stopień – porucznika rezerwy na szeregowca. Moje odwołanie nie dało żadnego efektu. Dopiero w 1985 r. przywrócono mi stopień porucznika. Rok później mam z kolei możliwość zapoznania się z metodami pracy Urzędu Bezpieczeństwa PRL. Następują przesłuchania i przetrzymywania. Coraz częściej padają pytania dotyczące mego powrotu do kraju. Kto was wysłał i w jakim celu? Nazwiska, pseudonimy i adresy waszych kolegów i znajomych? Straszenie i nakłanianie do współpracy. Nie mogę się załamać, muszę wytrzymać – powtarzam sobie. Przez z górą 3 lata żyję jakby na uboczu. Wsparcie znajduję u żony i rodziny. Czekam na inne czasy. Wierzę, że takie nadejdą.

Skupiam się na pracy i życiu rodzinnym. Rodzina się powiększyła. Życie umila mi czwórka wnuków: Tomek i Ania oraz Darek i Jacek – doskonale zorientowani w wojennych przygodach swojego dziadka.

Pełnię szereg funkcji kierowniczych w budownictwie. Od 1956 r. działam aktywnie w Związku Zawodowym Budowlanych oraz w Polskim Związku Działkowców. Nie wstępuję do żadnej organizacji politycznej. Uczestniczę natomiast w życiu sportowym Wrocławia, między innymi w KS „Ślęza”, i kibicuję WKS „Ślask”.

Od kilku lat jestem na tzw. zasłużonej emeryturze. Należę i biorę udział w działalności dwóch organizacji kombatanckich: Krajowego Stowarzyszenia Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Tradycyjnie już uczestniczę w corocznych spotkaniach modlitewnych: 18 maja w kościele św. Wojciecha we Wrocławiu, w rocznicę bitwy pod Monte Cassino, oraz 15 lutego w kościele św. Jaka w Warszawie, w rocznicę pierwszego skoku spadochronowego do okupowanego kraju.

Wrocław, maj 1992

Julian Piotrowski – kapitan rezerwy piechoty, żołnierz września 1939, obrońca Tobruku i uczestnik walk na Pustyni Libijskiej w latach 1941-1942, spadochroniarz AK – cichociemny, uczestnik Powstania Warszawskiego, ps. „Rewera”, honorowy wiceprzewodniczący Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego z ramienia byłych żołnierzy SZ na Zachodzie. Odznaczony: Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, 2-krotnie Krzyżem Walecznych. □

Tadeusz Łodziana

Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych 1937-1943 we Lwowie. Wspomnienia (c.d.)

Wycieczka do Kijowa, Moskwy i Leningradu sierpień 1940 r.

Wiadomość o planowanej wycieczce delegacji „uczyszczu” do Kraju Rad była sensacją. Chyba dzięki mojej aktywności sportowej znalazłem się na liście delegacji uczelni. Program wycieczki był ustawiony pod kątem naszych studiów artystycznych, tzn. zwiedzanie muzeów, galerii, akademii sztuk pięknych, współczesnej socjalistycznej sztuki radzieckiej oraz zabytków. Nie mogę posłużyć się notatkami z podróży, zaginęły podczas wypędzania nas ze Lwowa, stąd uogólnienia. Pamiętam, że w wycieczce wzięli udział m.in. prof. **J. Różyski**, **M. Wnuk**, **R. Sielski z żoną**, **J. Mazij** i drobny staruszek, inż. **Goldstein** – konstruktor samolotów i krosien tkackich, koleżanki: **J. Litwińska**, **I. Müller**, a kol. **A. Waltoś** nie stawiała się, mama nie puściła swojej jedynaczki na niebezpieczną wycieczkę, szkoda; i koledzy: **A. Smolana**, **J. Syrałuża** i **W. Tracz**, no i ja – autor wspomnień.

Przez trzy tygodnie, nie licząc podróży, trwała permanentna lekcja historii sztuki. Zgromadzone w muzeach i galeriach wspaniałe dzieła europejskiej i rosyjskiej sztuki, ten nieprawdopodobny majątek trudny do oszacowania społeczeństwo radzieckie zawdzięcza bogatej carskiej burżuazji, kupcom, kolekcjonerom i znawcom przedmiotu. Jak każda wycieczka, i ta nasza na Wschód w nieznane miała swoje blaski i cienie, obfitowała niekiedy w zabawne sytuacje. Na dworcu głównym wsiedliśmy do wagonu z szeroką półką służącą do leżenia dla podróżnych bez względu na płeć, bez zasłon i wygod – sytuacja odpowiadająca doktrynie socjalistycznej „wsiem po równo”. Wagony przystosowane do dalekich i długotrwałych podróży, służące radzieckim obywatelom, nie miały wiele wspólnego z europejskimi sleepingami. Wagony sleepingowe były, ale wyłącznie dla wierchuszki partyjnej, NKWD, oficerów Czerwonej Armii i dyplomacji. Podobnie wagony restauracyjne dla wymienionych wyżej, a także dla posiadaczy dolarów – tu nie obowiązywała doktryna „po równo”. Nie było w tamtych czasach dmuchanych materacy ani śpiworów, jedynym luksusem były koce, o ile ktoś je miał. „Babuszka” w białym kitlu pilnowała zakazu otwierania podwójnych okien w wagonie, a także częstowała nas „czajem” – „kipiatkiem” z samowaru.

W nocy na dawnej granicy II RP mieliśmy „perewirkę” dokumentów. Mimo, że formalnie byliśmy obywatelami ZSRR – potraktowano nas jak „innostranców” z Zachodu. Pociąg zatrzymywał się na stacjach dla uzupełnienia wody w lokomotywie. Na peronach pełno było oczekujących pasażerów z tobołami. Nikt jednak nie wsiadał do naszego pociągu, drzwi wagonów były zamknięte. Nie umieliśmy sobie wytłumaczyć tego faktu.

Kijów. Studenci tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych zachowywali się prowokująco, zadawali pytania naiwne, egzaminując nas niekiedy z wiadomości o sztuce.

Brali nas za „niekulturowy naród”. Upał w Kijowie był nie do wytrzymania, stąd wycieczka na miejską plażę. Moje koleżanki w kolorowych kostiumach kąpielowych wywoływały zamieszanie. Gapowicze otoczyli nas, zaczęto pytać, z czego są stroje, zagradzano nam dojście do wody. Dziewczęta kijowskie odziane w bawełniane gimnastyczne dwuczęściowe stroje po wyjściu z wody przedstawiały sobą żenujący i żalony widok.

Straconym dniem było zwiedzanie muzeum ateizmu na Peczerskiej Ławrze. „Cudowny” obraz płaczącej Matki Boskiej nie zrobił na nas wrażenia. Mechaniczne urządzenie za obrazem było zbyt prymitywne, dobre dla naiwnych. Zwiedzaliśmy też carskie więzienie, umieszczone w drażonych korytarzach i celach aż do poziomu Dniepru, zimne i wilgotne, w którym przedstawione były naturalistyczne sceny z życia skazańców. Nachalna propaganda antyreligijna była narzędziem władzy radzieckiej do zwalczania tradycji i praktyk religii grekokatolickiej. pożegnalna kolacja w restauracji pod gołym niebem, zakrapiana alkoholem i wznoszone toasty, którym nie umieliśmy sprostać – za Stalina, za rodzinu, itp. oraz umizgi towarzyszy oficerów, podrywających moje koleżanki, sztucznie przyjacielski nastrój, był nie do wytrzymania. Gdyby nie przypadek – kelner niechący wylać zawartość talerza na ubranie prof. **M. Wnuka**, co wywołało zamieszanie, z którego skorzystaliśmy kończąc biesiadę – kolacja trwałaby dłużej. Prof. **Wnuk** dał zwyczajowo napiwek kelnerowi, a ten na kolanach wołał: „Polskie pany wernuły się, a my na was czekali w 1939 r.”. Kelner nie był pijany.

Moskwa. Zakwaterowanie wraz z wyżywieniem podobnie jak w Kijowie – w akademiku. Miasto było w przebudowie. Burzono starą drewnianą Moskwę, przebijano szerokie wielkie arterie komunikacyjne według nowych socrealistycznych założeń architektury i urbanistyki. Kurz, pył i plamy wapna na ulicach. Metro dobrze funkcjonowało, jego stacje natomiast przeładowane były propagandą o tematyce socrealistycznej, wyrażonej w malarstwie, rzeźbie czy mozaice, które kontrastowały z szarymi, brudnymi domami i ulicami.

Na placu Czerwonym nie interesowało nas mauzoleum Lenina, do którego stała długa kolejka, uwagę naszą zwracał sam plac, przebogata i kolorowa cerkiew Wasila Błażennego, i tajemnicze potężne mury Kremla, którego nie dano nam zwiedzić.

Któregoś dnia nie stawiał się nasz opiekun, byliśmy zdani na własne siły, co pozwoliło nam przyjrzeć się miastu i życiu moskwiem. Wędrując w upale, nie spotykaliśmy sklepów, udało nam się natomiast znaleźć kawiarnię pustą, ale czynną. Pamiętała ona jeszcze carskie czasy, wybita pluszem, portiere i firanki pachnące starością. Kawy nam jednak nie podano. Okazało się, że bez „bumagi” – zezwolenia, bez „pierewodczika” – „kawy niet” – i słusznie, bo używając języka propagandy: „w godzinach pracy nie przesiaduje się w kawiarni, jak w burżuazyjnej Jewropie” – „nada rabotat”!

W Galerii Trietiańskiej naszą uwagę zwrócił długi czerwony transparent: „wredne iskusstwo zapadno Jewropy”. Za parę rubli weszliśmy tam, gdzie nie wolno było wchodzić radzieckim obywatelom, gdzie byli impresjonisci i współczesna sztuka europejska. Oglądaliśmy i podziwialiśmy, aż nas wyproszono.

Zawieźli nas na wszechzwiązkową wystawę osiągnięć gospodarki ZSRR – takie Targi Wschodnie jak we Lwowie przed wojną, tyle że wielkie. W pawilonach 16 republik oglądaliśmy towary, których nie było we Lwowie. Bogaty wystrój plastyczny, złozenia, kolory i atrapy towarów. Niczego do kupienia. Dynamiczna, wysoka na 24 m rzeźba autorstwa W. Muchiny u wejścia na wystawę: „kołchoźnica i robotnik”, w uniesionych dłoniach trzymających sierp i młot wykonana z blach nierdzewnej stali, łączonych nitami była imponująca. Zdobiła pawilon radziecki na światowej wystawie w 1937 r. w Paryżu. Bogactwo artykułów konsumpcyjnych na wystawie moskiewskiej, propagandowe „wsio jest” – nie dotyczyło lwowskich sklepów. Tłumaczono to złą dystrybucją. Czyżby z tego powodu nie można było kupić pocztówki z widokiem miasta, czy reprodukcji obrazu, by móc przesłać pozdrowienia z podróży rodzinie?

Zauważyliśmy, że dystrybucja nie szwankowała w dostawie, rzecz można, artykułu pierwszej potrzeby – alkoholu. W ryszotkach miejskich spotykało się zamroczonych zupełnie moskwiem, z obojętnością mijanych przez przechodniów. Widok szokujący – na przykład w tramwaju na podłodze ludzka kłoda i okrzakiem przechodzący pasażerowie.

Zwiedzając z kolei gmach ASP oglądaliśmy prace dyplomowe nieutralowane w gipsie. Fakt ten również tłumaczono złą dystrybucją.

Moskwa jako miasto nie przypadła nam do gustu, byliśmy myślami w Leningradzie, w legendarnym Sankt Petersburgu.

Leningrad – wielkie portowe miasto słynące z przejrystej urbanistyki, z licznych wspaniałych pałaców, monumentalnych gmachów i mostów na Newie i jej kanałach, miasto odbiegające swoim charakterem od tych wcześniej poznanych. Wprawdzie zaniedbane, niekonserwowane, niemniej interesujące.

Zwiedzanie zaczęliśmy od słynnej „Aurory”, krążownika przycumowanego do nabrzeża kanału a może Newy. Oglądaliśmy go z marszu, nie byliśmy ciekawi tego starego rdzewiejącego żelastwa.

Interesowały nas zasoby nagromadzonych bogactw w rozległych salach słynnego Ermitażu i jego słynne zbiory sztuki, które znawcy porównują tylko z Luwrem. Powracaliśmy tam wielokrotnie – nie sposób było to wszystko obejrzeć, a interesowało nas wszystko.

Pałac Katarzyny II w Carskim Siole, zbudowany na planach Wersalu, swoim przepychem świadczył o potęgzie i bogactwie władców Rosji.

Również wielkie wrażenie wywarła na nas Bursztynowa Komnata, dzieło artystów niemieckich, rosyjskich i włoskich. Zrabowana przez Niemców, wywieziona w skryniach, została w 1941 r. ukryta w Królewcu w Prusach Wschodnich. Podobno uległa zniszczeniu podczas walk Armii Czerwonej o Królewiec. Optymiści poszukują skrzyń od sześćdziesięciu lat. Napisało wiele książek z hipotetycznymi teoriami na temat komnaty.

Od pałacu do nieczynnej przystani w Zatoce Fińskiej opadają tarasowo fontanny, a liczne rzeźby wokół przyciągają im powagi i piękna.

Wykorzystaliśmy chwilę odpoczynku i razem z prof. **M. Wnukiem** nago popływaliliśmy w zatoczce, „zaliczając” Bałtyk. Kąpiel była wspaniała.

Zwiedzając miasto natknęliśmy się na robotników dobranych wzrostem, w czarnych kombinezonach, którzy na swoich barach przeładowywali bale mokrego i ciężkiego drewna z wodnego kanału na samochody ciężarowe. Po bliższym podejściu okazało się, że to kobiety. Podziwiać czy ubolewać? Nie zdziwiło nas to zbytnio – mieliśmy w pamięci bowiem hasło: „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”.

Turystyki jako takiej na skalę międzynarodową w ZSRR nie zauważyliśmy. Takowa istniała, tyle że w innej formie i wyłącznie dla Polaków. Kibitkami wywożono nas na Sybir za czasów caratu, i ta „turystyka” najnowsza od 1940 roku do Kazachstanu w bydłych wagonach, pod „czułą” opieką NKWD.

Do Lwowa wracaliśmy zmęczeni, ale zdrowi, pełni wrażeń i ciekawi, co w międzyczasie wydarzyło się w mieście. W czasie pobytu w ZSRR nie czytaliśmy gazet – a tym bardziej nie słuchaliśmy radia.

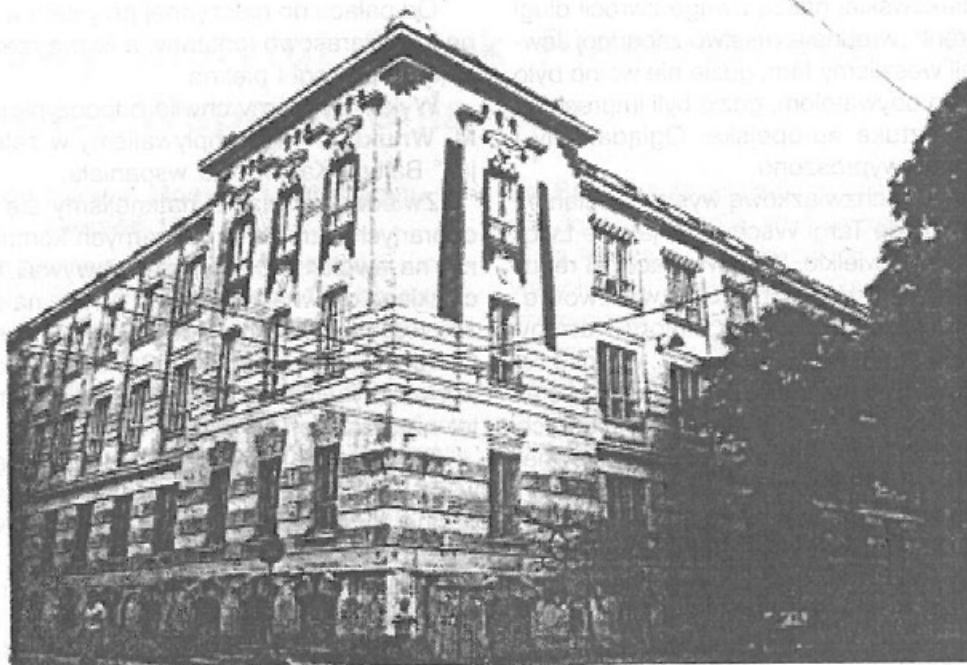
Powrót do Lwowa

Życie codzienne we Lwowie pozornie toczyło się normalnie, jeżeli okupację można uważać za stan normalny. Wszystko było pod kontrolą. Likwidowano prywatną własność – sklepy, restauracje, kawiarnie, itp., zdejmowano szyldy instytucji państwowych i miejskich, lekarzy, adwokatów, prywatnych drobnych zakładów i reklamy. Automatycznie zmienił się charakter niemal każdej ulicy w śródmieściu. Szyldy zastąpiły dziwne nazwy nowopowstałych kooperatyw. Na przykład na ulicy Akademickiej nie było już sklepu sportowego Wacka Kuchara, cukierni Zalewskiego, Welza, Tyliczkowej z witryną pełną dziczyzny, sklepu sportowego Scotta i Pawłowskiego i wielu innych. Nie było to już nasze corso. Szkoły i gimnazja zmieniono na dziesięciolatki i stały się one wyłącznie koedukacyjne.

Nowe porządki – to odwrócenie do góry nogami drabiny społecznej, klasa robotnicza na górze, inteligencja na dole. Taka hierarchia wartości miała wpływ również na życie kulturalne.

Już pod koniec 1939 r. powstał Teatr Dramatyczny i Teatr Miniatur w dawnym kinie „Marysieńka” przy placu Smolki 5. Zaangażowali się tam aktorzy warszawscy. Repertuar raczej lekki, muzyczno-rewiowy. W dawnym kinie „Stylowy” przy ulicy Szaszkewicza była rewia, a gwiazdą sceny był Mieczysław Fogg. Śpiewał po polsku z wielkim powodzeniem paryski przebój pt. „Je t'attendrais” – „Czekam Cię”. Publiczność kojarzyła te słowa z powrotem Polski. Oklaskiwany, także przeze mnie, bisował.

Zimą 1941 r. znany kompozytor z Warszawy, Henryk Wars, założył orkiestrę, tzw. Tea Jazz i w kinie „Apollo” przy ulicy Chorążczyzny dał dwa koncerty, po czym wyjechał na zaproszenie do ZSRR. W zespole Warsa śpiewał Artur, a może Albert Harris – ten sam, który po wojnie wylansował przebój: „Warszawo, ty moja Warszawo”, do którego napisał słowa.



Państwowa Szkoła Techniczna we Lwowie

Po powrocie Wars wystawił komedię muzyczną pt. „Muzyka na ulicy”, a konferansjerkę prowadził niezapomniany Eugeniusz Bodo.

Zespół kończył spektakl chwytliwą piosenką, śpiewaną w kilku językach, również w jidysz, pt. „Bei mir bist Du schön”. Jewrejsko-polska i rosyjska widowia szalała. Zespół ponownie wyjechał na tournée do ZSRR – mieli szczęście, zabrali się z armią gen. Andersa. Eugeniusz Bodo jako obywatel z paszportem szwajcarskim nie wyjechał. Zginął zamordowany podobno we Lwowie – może na Łubiance w Moskwie, a może w łagrze. Różne na ten temat czytałem relacje.

Byłem na wszystkich jego spektaklach.

Teatr Miniatur też wyjechał na tournée i też znalazł się w armii gen. Andersa.

Władze okupacyjne początkowo zezwoliły na oglądanie Panoramy Racławickiej. Po kilku miesiącach pod pretekstem oddania terenu Targów Wschodnich Czerwonej Armii – panoramę zamknięto.

W kinach wyświetlano propagandowe „najlepsze” filmy radzieckie, przeważnie szkalujące Polaków. Kiedy dopuszczano amerykańskie kolorowe filmy: „Wielki walc”, „Serenada w dolinie słońca” i niemy „Dzisiejsze czasy” Chaplina, kina były oblegane.

Radia słuchali tylko ci, którzy mieli wysokiej jakości sprzęt. Tej codziennej propagandowej paplaniny radiowej nie można było słuchać. Zagłuszano Londyn, mimo to „wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe” przychodziły pantoflową pocztą.

Wydawana po polsku gazeta „Czerwony Sztandar” służyła raczej do zrobienia skręta papierosowego, bibułka nie było. Gazetowy papier „Prawdy” i „Izwestii” nadawał się na tulejki, do których wsypywano krojony tytoń podłego gatunku. Natomiast „wytwórne” „Kazbeki” w gilizach, glicerynowane, gasły przy paleniu. O zapalkach nie wspomnę, jeżeli się zapaliła, to co czwarta, nigdy ta pierwsza.

Przy ulicy Pełtewnej za Teatrem Wielkim były słynne „Krakidały” – plac handlowy pod gołym niebem, zwany

też „Paryżem”. Wszystko do kupienia i sprzedania, ratunek dla lwowiaków. Radzieckie „elegantki” kupowały jedwabne koszule nocne naszych mam, w których paradowały w Teatrze Wielkim. Na tym pchlim targu dochodziło do sytuacji zabawnych, śmiesznych i awantur, gdy „batiar” sprzedawał na przykład zegarek chwilowo czynny. Po wojnie zlikwidowano handel, bo po wypędzeniu nas nowi lokatorzy nie mieli czym handlować. Stał w tym miejscu hotel Ukraina, w którym w 1992 r. mieszkalem, ale nie polecam naszym turystom korzystania z „dobrodrojeństwa” cywilizacyjnego tego hotelu. Na wystawy sztuk pięknych chodziliśmy na plac Mariacki pod numer 9, gdzie kiedyś był ZPAP, budynek od paru lat już nie istnieje. Pamiętam echa ostrych dyskusji z towarzyszami partyjnymi, odpowiedzialnymi za kulturę, na temat wystawianych tam dzieł, które nie zawsze trafnie oddawały socjalistyczną treść.

Moi koledzy z boiska zostali aktywnymi sportowcami w klubach Spartaka, Dynama i innych. W piłkę nożną grali m.in. **Kaju Górski**, który po wojnie został arcytrennerem polskiej reprezentacji i nieżyjący już **Olek Hawalewicz** oraz **Tolu Szymański**. W tenisie championem ZSRR był **Józku Hebda**, a **Kaju Olaszewski** też championem w narciarstwie. I wielu, wielu innych, którzy po wojnie sławili polski sport. Ja ograniczyłem się do kameralnej działalności sportowej w szkole. Całodzienne zajęcia w uczelisku nie dawały mi szans na uprawianie sportu z prawdziwego zdarzenia.

Całą paczkę kolegów z boiska Sokoła chodziliśmy wieczorami do hali sportowej, tej przy krytej pływalni na ulicę Wiśniową, boczną od ulicy Jabłonowskich, by dopingować naszych kolegów rozgrywających mecze siatkówki lub koszykówki z drużynami ruskimi. Pod wodzą mojego nieżyjącego już przyjaciela, **Tadeusza Kozioła**, który układał limeryki, skandując je głośno dopingowaliśmy grających kolegów. Bywało i tak, że milicja usuwała nas z hali, ale po paru minutach pojedynczo wracaliśmy, by kontynuować doping. Ruscy

przegrywali, byliśmy dla nich mistrzami. Każde zwycięstwo bardzo nas satysfakcjonowało.

Zimą 1941 roku zaszczylił uczeliszczę tow. A. Gierasimow z Moskwy, chudożnik, członek Akademii Nauk, „zasłużony artyst” ZSRR. Na spotkaniu roztaczał przed nami wspaniałe wizje przyszłości. Zapraszał nas jako przyszłych chudożników do współpracy nad projektem Pałacu Narodów, największej i najwyższej budowli na świecie. Na szczycie pałacu miała stanąć stumetrowej wysokości rzeźba Lenina. Żartowaliśmy na boku, że może towarzysze dadzą nam wykonać obcas Lenina, a ktoś szepnął, że w d... Lenina będzie ambasada Polski (znając stosunek władzy do Polaków).

Profesor **Wnuk** przyjął na asystenta **Henryka Wicińskiego** z krakowskiej awangardy. Schorowanemu, bez środków do życia asystentura dawała szansę przetrwa-

nia. Był cichym skromnym belfrem, niewtrącającym się raczej do korekty; nie uznawał socrealizmu.

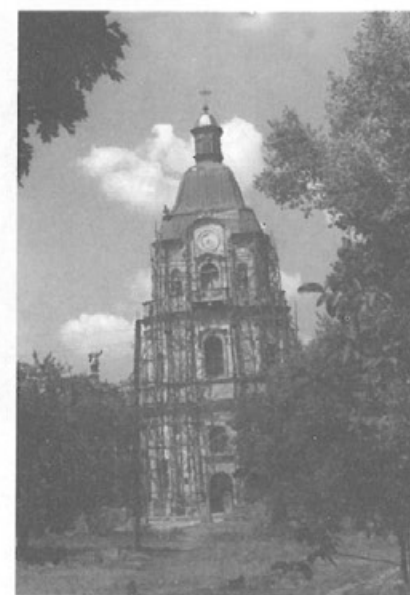
Drugim asystentem był towarzysz **Muchin** z Kijowa, również nie wtrącał się do dydaktyki, korzystał z etatu i miejsca do pracy. Z czarnego tworzywa modelował precyzyjnie małe kompozycje rzeźbiarskie, np. karoca i para koni w galopie. Tworzywo po paru minutach zastygało i rzeźba była gotowa na sprzedaż. Nie zdradził nam składu chemicznego tej masy. W 1941 r. nie uciekł, jak inni towarzysze, na wschód – pozostał we Lwowie. Za niemieckiej okupacji jego czarne kompozycje szły jak świeże bułeczki.

Zbliżał się koniec roku szkolnego. Czekala nas wystawa, egzaminy i zaliczenia. Duża grupa studentów wyjechała w Karpaty na plener do Kosowa, za Kołomyją. (c.d.n.)

Jarosław Tadeusz Leszczyński Na tarnopolskim Podolu

Niezwyczajnie malowniczą krainą jest Podole. Jadąc doliną Seretu poniżej Tarnopola ma się wrażenie jakby to nie była wyżyna, ale Podkarpacie. Tak wydatne różnice w poziomach między wzniesieniami a dolinami przy równocześnie niewielkiej wysokości nad poziomem morza (nieosiągającej tu nawet 400 m) robią przynajmniej takie wrażenie. Teren ten jest rolniczy z niewielką ilością lasów.

Między Tarnopolem a Trembowlą leży miasteczko Mikulińce, lokowane w 1595 r. na mocy przywileju Zygmunta III Wazy. Tenże król nadał miastu cotygodniowe targi we wtorki oraz 3 jarmarki rocznie (Zielone Świątki, św. Michał i niedziela Śródpocia). Miasto było własnością Jordanów, Koniecpolskich, Sieniawskich, Lubomirskich, Konopków i Rejów.



Mikulińce – kościół rzymskokatolicki pw. Św. Trójcy

Na pagórku po prawej stronie Seretu wznosi się wspaniały kościół rokokowy pw. Św. Trójcy, wzniesiony

Jadąc w dół doliny Seretu nie sposób pominąć Trembowli. Sądząc po nazwie powstała ona w miejscu wytrzebionych lasów. Na prawym brzegu Seretu wznosi się wzgórze porośnięte parkiem miejskim, na szczycie którego znajdują się ruiny zamku. Zamek ten wstawił się bohaterską obroną podczas oblężenia przez wojska turecko-tatarskie pod wodzą Ibrahima Szyszmana (1675 r.). Zdecydowana postawa Zofii Chrzanowskiej – żony komendanta zamku Jana Samuela Chrzanowskiego – spowodowała, że Turcy nie zdobyli Trembowli. Dotąd obok ruin zamku znajduje się pomnik z czerwonego kamienia, postawiony przez polskich mieszkańców miasta w 1900 r., a poświęcony bohaterce.

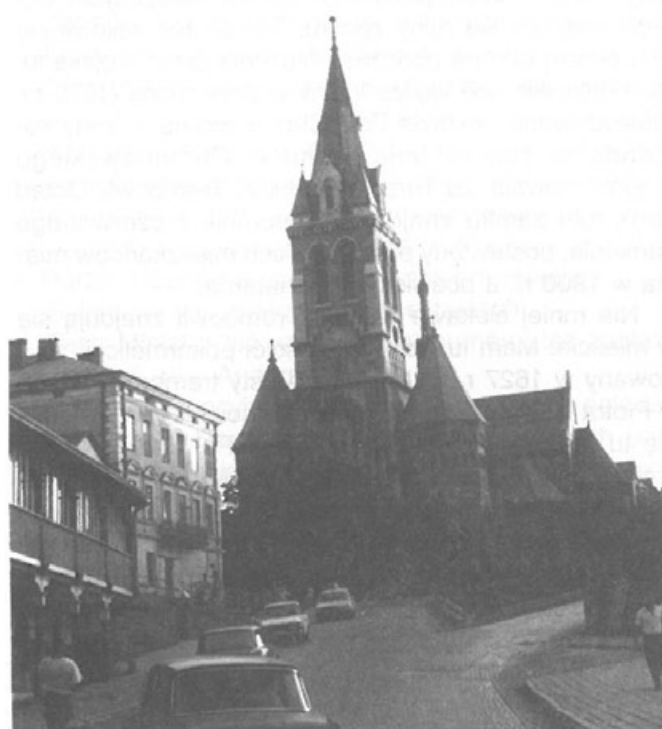
Nie mniej ciekawe zabytki Trembowli znajdują się w mieście. Mam tu na myśli kościół pokarmelicki, zbudowany w 1627 r. z fundacji starosty trembowelskiego – Piotra z Ossy Ożgi. W czasach sowieckich mieściła się tu fabryka ozdób choinkowych. Po 1990 r. obiekt stał się cerkwią należącą do Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Budynki poklasztorne służą jako pomieszczenia dla prawosławnego seminarium duchownego diecezji tarnopolskiej. W pobliżu zespołu pokarmelickiego wznosi się cerkiew greckokatolicka.



Trembowla – cerkiew greckokatolicka pw. św. Mikołaja

licka pw. św. Mikołaja. Idąc od tej cerkwi w kierunku Czortkowa spotykamy kościół rzymskokatolicki pw. św. św. Piotra i Pawła, zbudowany w latach trzydziestych XX w. W czasach sowieckich został zamieniony na dom kultury i taką rolę pełni niestety do chwili obecnej. Władze Trembowli nie oddały świątyni miejscowej wspólnoty rzymskokatolickiej, zezwalając jedynie na odprawianie nabożeństw w niedziele i święta. Na scenie estrady postawiony jest prowizoryczny ołtarz. Ławki wewnątrz są jak w kinie. Do sprawowania codziennej liturgii służy natomiast niewielka kaplica usytuowana na dawnym chórze muzycznym, który oddzielono od wnętrza kościoła przez wybudowanie ścian. Miejskowy proboszcz, pochodzący z podlwowskich Winnik, twierdzi że kościół władze oddadzą, jeśli parafia sfinansuje im dokończenie budowy nowego domu kultury.

Drugim co do wielkości miastem Tarnopolszczyzny jest Czortków z górującą nad nim bryłą neoromańskiego kościoła dominikanów pw. św. Stanisława Bpa. Zbud-



Czortków – kościół oo. dominikanów
pw. św. Stanisława Bpa

wany w początkach XX stulecia, w miejscu wcześniejszego, ufundowanego w 1640 r. przez Stanisława Golskiego – wojewodę ruskiego. W kościele do 1945 r. znajdował się cudowny obraz M. B. Czortkowskiej (obecnie w kościele dominikanów przy ul. Freta w Warszawie). Obecnie w głównym ołtarzu znajduje się jego kopia. Przy ulicy prowadzącej przez miasto nieco poniżej kościoła stoi nowa kapliczka – sztuczna grota



Czortków – fragment miasta

z rzeźbą Matki Boskiej z Lourdes. Figurę tę miejscowa społeczność polska otrzymała w 1992 r. w darze z Francji. Warto w tym momencie wspomnieć, że Ukraińcy wyznania greckokatolickiego szczególnie upodobał sobie przedstawienie M. B. Fatimskiej, które chętnie umieszczają nie tylko w swoich cerkwiach, ale także w formie figur przydrożnych. To umiłowanie tego właśnie przedstawienia Madonny na Ukrainie związane jest ze słowami wypowiedzianymi podczas objawienia w Fatimie (1917 r.), kiedy przedstawiła nawrócenie Rosji jako alternatywę wybuchu III wojny światowej, której to państwo miało być sprawczynią. W związku z powyższym umieszczanie wizerunków M. B. Fatimskiej w czasach sowieckich – nawet w nielicznych czynnych kościołach rzymskokatolickich – było zakazane.

Na prawym brzegu Zbrucza (do 17 września 1939 r. stanowiącego granicę między Polską a ZSRR) leży miasteczko Skala Podolska. Zachowały się tu dotąd ruiny zamku. W samym miasteczku prowadzącym dziś



Skala Podolska – kościół rzymskokatolicki pw. NMP

senny żywot stoi kościół rzymskokatolicki pw. NMP, postawiony w 1719 r. przez Walentego Mierzejewskiego, kasztelana zakroczymskiego. Na centralnym placu stoi pomnik Bohdana Chmielnickiego z 1954 r., przypominający osławioną rocznicę 300-lecia Ugody Perejaśławskiej, na mocy której Rzeczpospolita utraciła lewobrzeżną Ukrainę na rzecz Rosji. □

Remigiusz Węgrzynowicz

Z Kroniki Harcerskiej 34 Lwowskiej Drużyny Żeglarskiej im. Stefana Rogozińskiego

Była jedną z najmłodszych drużyn harcerskich we Lwowie. Wyróżniała się nie tylko efektownymi mundurami na defiladach, ale dyscypliną harcerską „wzbogacaną” żeglarską, obowiązującą na jednostkach pływających. Dbali o to „starzy” harcerze-żeglarze.

Zastępy nazywaliśmy – załogami, a zastępowych – załogowymi. Obowiązywały, jak obecnie, stopnie harcerskie i żeglarskie.

Lwów nie posiadał warunków sprzyjających sportom wodnym. Najbliższe dwa jeziora były oddalone ok. 30 km: w Janowie i Gródku Jagiellońskim. W Gródku była nasza przystań i baza dla sprzętu pływającego (kajaki i łodzie P-70). Na cyplu w „sośninkach” było miejsce kilkudniowych obozów we wszystkie dni wolne.

Twórcą i „duchem żeglarskim” był drużynowy, Harcerz Rzeczypospolitej sternik Włodzimierz Goc. Był z zawodu technikiem. Posiadał stopień bosmanmata z cenzusem Marynarki Wojennej. W czasie wojny podporucznik – dowódca kontrywiadu AK we Lwowie.

Wielu znakomitych harcerzy-żeglarzy tworzyło tę jedną z dwóch drużyn żeglarskich we Lwowie (oprócz naszej, Arciszewskiego). Garstka druhów, która pozostała w pamięci: Gustaw Burtan (drugi drużynowy, przeżył 15 lat na „niehumanitarnej ziemi”), Zenek Piotrowski, Sławek Wilk (po wojnie – docent politechniki), Rysiek Piotrowski, Marian Krzyworączka (p. w. adwokat-żeglarz), Zbigniew i Rysiek Polańscy, Zbyszek Wolański (po wojnie TV-Polska), Jan Stolarczyk (organizator podsluchu radiowego i redaktor gazetki tajnej w Gieorgiew-



1938 – Gródek Jagielloński. Załoga Korsarzy 34 LDH.
Od rufy: Węgrzynowicz, Barszczewski, Jagustyn,
Malik, Wanka. Autor przy sterze

ce (w Azji), po ucieczce do Lwowa zamordowany w więzieniu w Brygidkach), Wacek Barszczewski (syn znanej aktorki, zginął w 1939 r.), Mietek Malik, Zdzisiek Jagustyn (p. w. lekarz), Edek Susłowski (trzeci drużynowy), Adam Borsukiewicz (p. w. lekarz-wet.), Pierożek, Sosnowski, Krzyżanowski, Sawaryn... i inni.

Byłem załogowym „Korsarzy” po Stolarczyku. Harcerstwu poświęciliśmy niemal cały czas pozaszkolny. Ta wspaniała „organizacja wyższej użyteczności społecznej” była szkołą kształtowania charakterów, miłości ojczyzny, bliźnich, przyrody, uczciwości, koleżeństwa i sprawności fizycznej. Harcerz nie palił tytoniu i nie pił alkoholu! W jakim stopniu realizowano prawo obecnie nie potrafiłbym ocenić.

Jeżeli nasze pokolenie zdało egzamin, kiedy Ojczyzna była w potrzebie, zawdzięczamy to w znacznej mierze harcerstwu. Wielu członków Kompanii Harcerskiej Obrony Lwowa 1939 r., walczyło w armii podziemnej, formacjach na Zachodzie (m.in. Wł. Jagiełło – Monte Cassino) i na Wschodzie (Drechsler, Burtan i inni).

Obóz harcerski był spełnieniem naszych pragnień, sprawdzianem sprawności fizycznej, zaradczości i solidarności koleżeńskiej.

W 1939 r. w lipcu wyjechaliśmy na południowe rubieże Polesia, należące administracyjnie do województwa wołyńskiego, nad jezioro Świież. Było ono jednym z największych i najgłębszych w kraju. Odległość ok. 30 km od Włodawy. Wspaniałe warunki do pływania i żeglowania. Woda krystalicznie czysta – używaliśmy do gotowania posiłków. Ogniska z sąsiadującymi drużynami i ludnością miejscową. Po trzech tygodniach obóz wędrowny Prypecią. Transport sprzętu 30 km do wsi Jasnowka. Był to niemal początek rzeki, szerokiej na 2-3 m. W pierwszym dniu pokonaliśmy aż! 8 km. Kajaki i łódź musieliśmy często przeciągać przez wąskie za-



1938 – Gródek Jagielloński. Obóz Załogi Korsarzy 34 LDH. Od lewej: Barszczewski, Węgrzynowicz, Stolarczyk

kręty, brodząc w bagnie po pas. Komary, baki i meszki cięły rojami. Pijawki tworzyły gęste frędzle na nogach. Musiało się je szybko odrywać. Rzeka pokonała nas! Powtórnie załadowaliśmy sprzęt na wozy i przewieźliśmy do miasteczka Ratno, gdzie rzeka była znacznie szersza.

Czar Polesia zauroczył nas. Surowa przyroda pozwałała żyć ludziom mało wymagającym w odosobnieniu na prymitywnym poziomie. Poleszok pozostał na progu epoki żelaza. Socha, wozy, zawiasy, łopaty – drewniane. Chaty kurne, jednoizbowe, często wspólne z bydełkiem, przedzielone żerdzią. Spanie na klepisku na słomie. Łodzie tzw. pychówki albo szuchaleje, ciosane z jednego pnia, były często jedynym środkiem lokomocji na pastwiska czy polowy ryb. Gotowano na paleniskach przed domem. W zimie gotowano w chacie na klepisku. Dym uchodził otworem w dachu. Fascynowała nas sprawność krzesania ognia, przy pomocy krzesiwa i huby, którą preparowano z mchu gotowanego z popiołem. Lud bardzo serdeczny, życzliwy i uczynny. W całym chutorze nikt nie umiał pisać, ale byli szczęśliwi!

Wieczorem wspólna kolacja. Pierwszy raz jedli ryż na mleku. Zapytani o narodowość, odpowiadali poleską gwarą (rusko-białorusko-polską), my tutejsi – poleszacy.

Wędrówka Prypercią po wspaniałych rozlewiskach. Przyroda niezakłócona obecnością człowieka. Płyniemy przez piękne jeziora: Wolańskie, Białe, kanał Białojezierski do Królewskiego. Niski poziom wody. Statki spoczywają na dnie kanału, czekają na otwarcie jazów i puszczenie spiętrzzonej wody. Nikt się nie spieszy, życie płynie powoli. Jedna chata w pobliżu. Kupiliśmy koszyk wiśni. Musi wystarczyć na obiad z tabliczką czekolady. Z trudem, przy przeciwnym wietrze, dopływamy do jazu. Gotuję kolację. „Młodszy kuchcik” odcędzając ziemniaki puścił pokrywę – rozsypały się po schodach do jazu. Biegłem szybciej jak ziemniaki i łapałem co się da uratować. „Obdarły by nas ze skóry” głodomory po całodziennym wiostowaniu. Trochę narzekali, że źle oplukane, bo piasek zgrzytał, oczywiście zaprzeczaliśmy. Piną płyniemy do Pińska. odpoczynek dwudniowy, zwiedzanie miasta. Muzeum regionalne. Sztuka ludowa prymitywna, ale piękna. Rower w całości z drzewa – nawet łańcuch?!

Mamy okazję oglądać paradę jednostek (monitorów) pływających marynarki wojennej. Pińsk był portem wojennym śródlądowym. Rozlepione na murach hasła: silni, zwarci, gotowi. Wyczuwamy narastający niepokój. Jesteśmy jednak pełni nadziei, że do konfliktu nie dojdzie. Drużyna kontynuuje spływ Jasioldą, Kanałem Ogińskiego, Szczorą do Grodna. Ja udaję się do Harcerskiego Ośrodka Żeglarskiego nad jezioro Narocz. Piękny ośrodek otoczony lasami. Na bojach 10 czajek-jachtów czeka na załogi. Komendant Ludwik (pierwszy oficer na „Zawiszy”), kiedy wszedłem zameldować się, zawrócił mnie, polecając „odrefować” spodnie! Miałem podkasane po wędrówce 9 km od stacji kolejowej. Dyscyplinę żeglarską odczuliśmy na przywitaniu.

Na wstępie egzamin z pływania. Pół godziny na głębokiej wodzie (wykluczony odpoczynek na grzbiecie), był warunkiem dopuszczenia do załóg pływających. W programie kursu sprawność „pływaka ratownika” obowiązkowo.

Nasze menu obfitowało w ryby-sielawy dostarczane przez miejscowych rybaków, którzy przez 10 lat procesowali się z państwem o prawo do polowu.

Kurs oprócz wiedzy żeglarskiej dostarczał nam wiele doznań emocjonalnych. Trudno zapomnieć malowniczą i pełną wyrazu mszę św. na brzegu jeziora, odprawianą przez harcerza-jezuitę, który z obozem wędrownym – podharmistrzowskim, zatrzymał się u nas na jeden dzień. Ołtarz polowy, ksiądz w komży na mundurku. Kielich niewielki (podróżny), mszał kieszonkowy. Usługując księdzu do mszy św. biję w gong obozowy w czasie podniesienia. Trębacz wygrywa baczność. Brac żeglarska w białych drelichach, a obok zielone mundurki harcerskie „wędrowców”. „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki...” niosło po falach jednego z najpiękniejszych jezior, nad którym nasi praojcowie wspólnie z Litwinami włodarzowali.

Nocne ćwiczenia pod żaglami, regaty, ogniska. Pamiętne regaty w dniu „święta morza”. Uczestniczyły w nich liczne kluby żeglarskie. Naszej załodze w drodze losowania przypadła jednostka „szpicgat”. Nieporównywalnie mniej zwrotna od naszych czajek. Nazywaliśmy te łodzie krowami. Kiedy dopływaliśmy do mola po zakończeniu regat, usiłowaliśmy wykonać zwrot... i nie „wyszeli”! Siłą pół-wiatru (halb-wind) uderzyliśmy w molo, na którym stała cała świta z generałem na czele. Komendant wśród świty czerwony ze wstydu. Zawsze uważaliśmy się za elitę wśród innych organizacji żeglarskich. „Na pocieszenie”, trzy następne szpicgaty powtórzyły ten sam spektakl. Zrehabilitował nas w oczach publiczności silny wiatr („warunki trudne”) – ale nie w ocenie komendanta.

Nastrój wojenny nasilał się. Na ogniskach gawędy wspaniałe, wychowawcze, szczególnie prowadzone przez braci Michalskich z W-wy (prof. gimn.), pedagogów harcerzy.

Piękny zwyczaj wprowadzili rozpoczynając ognisko. Wszyscy stojąc w kręgu, wznosili rękę nad ogniskiem. Komendant wypowiadał uroczyste słowa: „Niech nam to ognisko płonie na radość, podniesienie i zbratanie dusz naszych”. Po czym wszyscy odśpiewali: wiarą i pracą to jest nasze hasło z nim idziem naprzód pniemy się w wyż, a harcerski krzyż, zda się mówić wiarą i pracą. Ceremonia ogniska rozpoczęta. Płonie ognisko i szumią knieje... – zapelnia dźwięk głosów wieczorną ciszę puszczy wileńskiej. „O rycerstwie podkresowych stanic, o obrońcach naszych polskich granic...” – brzmi pieśń polskiej młodzieży harcerskiej na Kresach w wolnej ojczyźnie po raz ostatni, niestety...! Koła historii wyznaczyły nam inny szlak!

31-go sierpnia zdążyłem do Lwowa. Pierwszego września wojna. Ochotnicza Kompania Harcerska, obrońcy Lwowa... zaczął się nowy rozdział. □

Bogusław Rogowski

Kozielski most na Odrze ma swojego patrona

19 marca br. odbyła się uroczystość nadania jednemu z kozielskich mostów na Odrze (obok stacji benzynowej ORLEN) imienia ich budowniczego – Józefa Długosza. Z inicjatywą tą przed kilkoma miesiącami wystąpili do Rady Miasta byli współpracownicy J. Długosza, a poparła ją RO „Starego Miasta”. Bowiem w tym roku przypada 25 rocznica śmierci tego zasłużonego dla Ziemi Kozielskiej i Opolszczyzny budowniczego. Warto przypomnieć, że w latach pięćdziesiątych Józef Długosz kierował odbudową obydwu mostów na Odrze zniszczonych w połowie kwietnia 1945 roku przez wycofujących się na Zachód żołnierzy niemieckich.

W uroczystości wzięli udział przedstawiciele Rady Osiedla „Stare Miasto” oraz rodzina Józefa Długosza. Przed uroczystością córka Halina Sozańska, jej małżonek Eugeniusz, syn Jan wraz z synową Wandą oraz przewodniczący RO „Stare Miasto” – Stanisław Mróz złożyli kwiaty na grobie śp. Józefa Długosza na kozielskim cmentarzu.



Józef Długosz

Józef Długosz urodził się 12 marca 1908 roku w Zborowie w pow. zborowskim na Wschodnich Kresach Rzeczypospolitej. Swoją przygodę z budownictwem rozpoczął już jako niespełna 15-letni chłopiec. Pracując na budowach uczył się wieczorami. Po ukończeniu szkoły przez wiele lat pracował w różnych firmach budowlanych. W latach 20-tych jako majster budowlany nadzorował budowy blisko 40 obiektów w województwie tarnopolskim i lwowskim, m.in. budowę poczty w Tarnopolu i w Złoczowie, odbudowę klasztoru w Budzanowie i sanatorium we Lwowie. Budowę ochronki i pałacu hrabiego Borkowskiego, a także budowę kościołów w Janowie i Jerzycach. Jako kierownik budowy miał pieczę nad wznoszeniem szkoły i sądu grodzkiego w Borszczowie. W połowie lat trzydziestych, jako pracownik krakowskiej spółki architektonicznej inżynierów Zakrzewskiego i Polańskiego kierował budową hal produkcyjnych Zakładów Lotniczych w Rzeszowie oraz bloków mieszkalnych dla pracowników tej firmy. Po II Wojnie Światowej wraz z rodziną przesiedlony został na Ziemię Odzyskane. W maju 1945 roku przyjechał do Koźla i już 1 lipca 1945 roku podjął pracę w Oddziale Śląsko-Dąbrowskim Przedsiębiorstwa Odbudowy Kraju. Był jednym z jego współorganizatorów na terenie powiatu kozielskiego.



go. W 1945 i 46 roku kierował odbudową Osiedla Pogorzelec w Kędzierzynie w Dziedzicach koło Katowic. Po likwidacji firmy w Kędzierzynie w 1950 roku został kierownikiem Państwowego Przedsiębiorstwa Budowlanego nr 11 w Opolu. W tym czasie sprawował nadzór nad odbudową kozielskich mostów oraz kierował licznymi budowlami na terenie Opolszczyzny. Wraz z inż. J. Kamińskim budował Pomnik Powstańców Śl. na Górze Św. Anny i w Dziergowicach. Pod koniec lat pięćdziesiątych przeniesiono go do Kędzierzyna. W roku 1960 nadzorował remont wieży kozielskiego kościoła parafialnego, a od sierpnia 1960 roku budował w Kędzierzynie osiedle Mariana Buczka. Nadzorował też budowę szkół w Raszowej i Polskiej Cerekwi, budowę Ośrodka Zdrowia przy ul. Harcerskiej, domu handlowego „Chemik” oraz osiedla NDM II, a także osiedla „Leśna” w Kędzierzynie. Prowadził też remont generalny szpitala powiatowego w Koźlu. Józef Długosz dał się poznać jako doskonały fachowiec i organizator. Cieszył się ogromnym autorytetem i szacunkiem podwładnych i przełożonych. Wyszkolił liczną grupę pracowników budowlanych. W roku 1951 za pracę zawodową odznaczony został przez prezydenta Bolesława Bierut – Złotym Krzyżem Zasługi, a w 1963 uhonorowano go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 14 stycznia 1978 roku, spoczywa na kozielskim cmentarzu komunalnym.

Zdjęcia Bogusław Rogowski

Kazimierz Wesołowski

Tarnów w hołdzie błogosławionemu arcybiskupowi Lwowa Józefowi Bilczewskiemu w 80. rocznicę odejścia do Pana

Wśród koncertów związanych z historią naszej Ojczyzny, Kresów i Lwowa, tym razem zespół muzyczny parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Tarnowie dedykował swój koncert bł. J. Bilczewskiemu. Koncert wykonano w Parafialnym Domu Katechetycznym w sali św. Stanisława. W trakcie koncertu przybliżono postać błogosławionego arcywłochianina i wykonano szereg wzruszających pieśni patriotycznych, lwowskich i kresowych, z naszej młodości, a także tych tworzonych dzisiaj.

Na koncert przybyła 95-letnia lwowianka p. Zofia Sacharuk – długoletni pedagog i dyrektor szkoły w Narolu. Jako emerytka osiedliła się w Tarnowie i tu za działalność partyzancką w szeregach AK została uhonorowana stopniem porucznika Wojsk Polskich. Jako 15-letnia uczennica Lwowskiego Seminarium Nauczycielskiego brała udział w 1923 r. w pogrzebie śp. arcybiskupa Józefa Bilczewskiego.

Drugim miłym akcentem było odznaczenie siostry Józefity Bonawentury Noworolskiej, zwanej „Matką Wschodu”, złotą Honorową Odznaką Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich nadaną przez Zarząd Główny. Dekoracji dokonała Halina Żmuda prezes Oddziału TMLiKPW w Tarnowie. Siostra Bonawentura urodziła się na Kresach w Czortkowie, a śluby zakonne złożyła w latach wojny we Lwowie. Do dziś jest bardzo spontaniczna w działaniach dla Lwowa i Kresów. W 2002 roku napisała i wydała swoją książkę pt.: „Ocalić od zapomnienia”, w której opisała odradzanie się działalności Zgromadzenia Sióstr Świętego Józefa na Kresach. Na koncercie było również wielu sympatyków historii tego regionu.

Zespół muzyczny z którym dobrze mi się pracuje, kieruje się zasadą, że wszystko co w tej materii czyni,

jest na chwałę Boga, Ojczyzny i tych co oddali życie za kraj i naszą wolność.

W tym miejscu chciałbym przedstawić skład zespołu: Józefa Sady, Agnieszka Szandula, Sabina Nowakowska, Maria Pasek, Magdalena Bielaszka, Alfreda Moździerz, Andrzej Sanecki, Stanisław Hebda, Zbigniew Jaśkowiec, Leszek Królik, Tadeusz Augustyn i Leszek Ciurej.

Dobrym duchem zespołu jest ks. prałat profesor Stanisław Sojka – proboszcz naszej parafii, który gorąco popiera i wspomaga wszelkie działania zespołu.

Na koncert przybyła też wraz z mężem Zbigniewem, Halina Żmuda – prezes tarnowskich Lwowiaków oraz nieliczna grupa Lwówian zapamiętałych od najdawniejszych lat swojego tułaczego życia w działaniu na rzecz Lwowa i Kresów. Z radością dostrzegłem wśród przybyłych ks. prałata Aleksandra Dychtonia kapelana Oddziału TML-u w Tarnowie, wiceprezesa Edwarda Kupiniaka, Tadeusza Kyrca, Mariana Stanisławskiego, Jana Procia z małżonką i wnuczką, państwa Dychtoniów i Peszaków, Zofię Wijas, Alinę Wesołowską, Kazimierza Deripera oraz panią Irenę Pękale – dyrektor VI Liceum Ogólnokształcącego w Tarnowie.

Kurczą się nasze lwowskie szeregi. Ubolewał nad tym śp. Jerzy Masior, który często pisał do mnie, że „biorą z naszej półki”. A nasze marzenia, że może tam pod naszym lwowskim niebem, gdzie blisko Orląt, stają się niestety mało realne. Śp. Witold Szolginia zostawił nam jak w testamencie słowa zapewne kierowane do naszej lwowskiej Ślicznej Gwiazdy – MATKI BOŻEJ ŁASKAWEJ:

*I usłysz, Pani, jak wołamy:
Matko bezdomnych Twych lwowiaków –
Powróć nas znowu na Łyczaków. □*

Jan Tarnowski

Wieczór autorski Ireny Cisek-Piątkowskiej

W dniu 23 stycznia 2003 r. w Bibliotece Publicznej im. C. K. Norwida w Zielonej Górze odbyła się promocja książki poetyckiej naszej koleżanki Ireny Cisek-Piątkowskiej. Książka została wydana nakładem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Zielonej Górze, Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej w Zielonej Górze, Stowarzyszenia „Wspólnota Bukowińska” w Zielonej Górze, przy pomocy finansowej Towarzystwa Miłośników Lwowa w Gorzowie Wlkp.

Autorka, Irena Cisek-Piątkowska, ur. 20. 09. 1933 r. we Lwowie. Dzieciństwo i lata szkolne utrwaliły w jej pamięci widoki ukochanego Lwowa. Los skierował ją do Nidzicy na Mazurach, gdzie znalazła się jako absolwentka

ta Liceum Pedagogicznego w Gliwicach. Po roku 1960 kończy PWSP w Krakowie. Zamieszkała w Zielonej Górze. Pracuje jako wychowawca młodzieży, ale również odnosi sukcesy w strzelectwie sportowym, jest wielokrotną rekordzistką Kraju w tej dyscyplinie. Należy do RSTK oraz Stowarzyszenia „Jeszcze Żywych Poetów” w Zielonej Górze. Będąc na emeryturze kilka lat poświęciła na napisanie tomu pt. „Śpieszmy się ocalić Kresy od zapomnienia”.

Książka jest poetycką podróżą sentymentalną po Kresach. Poprzez Wilno, Polesie, Wołyń, Podole, Pokucie do Lwowa. W książce jest zawarta tęsknota i miłość do tych ziem utraconych. Są w niej zawarte opisy wydarzeń historycznych z historii dawnej i tej bliższej.

Czytając wiersze zwiedzamy kościoły, cmentarze, piękno uliczek miast oraz zamków kresowych.

Polecam gorąco tę książkę wszystkim Kresowianom. Każdy znajdzie tu coś dla siebie, ze swoich stron rodzinnych. Kol. Irena jest aktywnym członkiem Naszego Towarzystwa. Jest duszą wszystkich wydarzeń kulturalnych naszej społeczności. We wszystkich wycieczkach na Kresy uczestniczy jako przewodnik, przekazując bogatą wiedzę uczestnikom. W czasie promocji fragmenty książki były czytane przez autorkę oraz wnuków.

Słowo o autorce wygłosił aktor Teatru Lubuskiego Tomasz Karasiński. Wystąpił również chór naszego Towarzystwa „Pohulanka” pod dyktando Stanisława Moora, przy akompaniamencie akordeonu kolegi Romana Garbacia.

W wykonaniu chóru usłyszeliśmy pieśni kresowe. Chór od wielu lat jest wizytówką Towarzystwa Miłośników Lwowa w Zielonej Górze. Godnie nas reprezentuje, biorąc udział podczas imprez kresowych, jak również w życiu kulturalnym naszego miasta. Jest to wynik pracy naszego kolegi Stanisława Moora, który jest kierownikiem i dyrygentem.

Jerzy Masior Życiorys

Mam napisać życiorys. Z pisaniem tego rodzaju wypracowań bywa ostatnio sporo kłopotów, biorąc pod uwagę mój wiek i świadomość, że życiorysy mogą prócz rutynowej funkcji sprawić także przepustkę do przyszłości. Oczywiście pisane dostatecznie wcześniej, z talentem i ... chytrze. na tyle chytrze, by umieć usprawiedliwić wszystko. Nie jest to łatwe zadanie chociażby dlatego, że usprawiedliwiamy na ogół to co za nami, a nie zamierzenia. Pisząc życiorys zazwyczaj nie wie się dokładnie, w którym miejscu już jesteśmy. Stąd oglądanie się w tył i w przód bywa nieprecyzyjne, a co najmniej nie zawsze odpowiedzialne. Tego chciałbym uniknąć za wszelką cenę. Aczkolwiek precyzja, dokładność, punktualność to nie najchwalebniejsze cechy mojego sposobu na życie, tym niemniej, skoro ten życiorys ma być czytany przez innych i być może nawet podglądany, komentowany, oplotkowany to przecież na jakąś tam wiarygodność muszę się zdobyć. No, wymienione wyżej wady pozwoliły mi, jak sądzę, na żywot niebanalny o tzw. poszerzonych horyzontach, na dobre tempo, na jego gubienie, na wynalazki z dnia na dzień, w których przydatność ja tylko wierzyłem. Np. wierszy nie pisywałem od samego początku, a więc wtedy, gdy bywa się pierwszym uczniem, zakochanym sztabikiem, pędziwiatrem i bogoojczyźnianym harcerzem. To przyszło później i było moim dodatkowym (?), dość serio zajęciem. To samo z malarstwem, a właściwie z malowaniem, bo to nie to samo. Z czasem te i inne zajęcia stały się orbitami, po których z przyjemnością poruszałem się, szukałem przyspieszenia, miękkiego lądowania, światła bardzo nie postojowych. Tego nie wyuczyłem się, nie wyedukowałem, to stało się z potrzeby tzw. wewnętrznej, co w moim przypadku jest określeniem przypadkowym. W wolnych chwilach usiłuję analizować przypadek własny. Dochodzę do wniosków czasem zbieżnych, to znów bałamutnych i na ogół te moje nocne kazuistyczne wypociny szarokomórkowe nie nadają



Prezentacja trwała ponad dwie godziny, przy wypełnionej po brzegi sali. Na zakończenie były brawa, kwiaty i podziękowania. Mam przekonanie, że takie wydarzenia naprawdę „OCALĄ KRESY OD ZAPOMNIENIA”.

się do publicznego rozstrząsania. Tyle w nich niepewności, luk pamięciowych, łapania za rogi właściwych przyczyn tego wszystkiego, co teraz układa się w życiorys. Jedno jednak wiem zdecydowanie: wpływ na mój emigracyjny, na mnie noworodka, oseska i tą całą dojrzewającą resztę w sposób niezwykle znaczący, ba – przesądający miał krajobraz. Tak krajobraz, czyli środowisko dalsze, bliższe i astralne. Moje pojęcie krajobrazu jest bowiem dość szerokie i dość... mgliste, a równocześnie jego potrzeba nieodparta.

Urodziłem się w małym podolskim miasteczku, w Chodorowie. Widnokrąg tu szeroki, falisty i senny. Rozlewiska rzeczne, trzcin, młyn w Dobrowlanach, którego drewnianą urodą nasyciłem się na zawsze, bo o jego szumach, groblach, wodnych przepływach mogę snuć opowieści do dziś i zawsze dobrze, zawsze kolorowo, z sentymentem, jak dla rzeczy nie na zawsze utraconej. W ten krajobraz miasteczkowy trzeba jeszcze wmontować ze dwie ulice, cukrownię, księcia z jego rezydencją, stację kolejową z nieodłączną bryczką w Dobrowlanach, czekającą na mój przyjazd ze Lwowa na wakacje, które zawsze były truskawkowo-malinowo-śliwkowo-kukurydziane. Były ciepłe, były rzeczne, tatarskie, obłoczne, były wyśpiewane młodymi śpiewem, który niósł się przez całą wieś i dziś nie wiem czy echem był już wtedy, czy dopiero teraz. Do tego dochodziły południowe pojenia koni w młynnym rozlewisku, leśne wyprawy ze Zbychem i z nim muzykowanie na skrzypcach, na fortepianie i na przedziwnych instrumentach perkusyjnych, które wobec doskonałości i ważności współczesnych – nie nazwę. Był Zbych – nie ma dziś Zbycha; zabrała go podchorążacka śmierć gdzieś na Pomorzu w 39 roku. Była Wandzia, uczestniczka leśnych wypraw i adresatka listów, których ówczesna naiwność dziś wydaje się być oczyszczeniem...

Urodziłem się w Chodorowie, a to było Podole. Ta ziemia rodziła odwiecznie i bez wysiłku ziarno, słodkie jabłka, śliwy, kukurydzę i poetów. Tak się jakoś składało. Myślę, że rzecz nie tylko w urodzajnej glebie i przejrzystości powietrza. Nazywają to genius loci. Jedno jest

pewne: ta ziemia wiąże na zawsze i każe nieustannie pamiętać. Potem był Lwów, którego z tego okresu nie pamiętam, a potem były wędrówki rodziców do Nowego Sącza, moja edukacja w szkole powszechnej i znów od 1936 roku – Lwów. Tym razem już odnotowany w pamięci dokładnie, serdecznie i na zawsze. Wspaniała Buda: II Państwowe Gimnazjum im. Karola Szajnochy na Podwalu skąd i Ingarden, i Brückner, i Jerzy Kuryłowicz, Kasper Weigel, Jan Styka, Stanisław Lem i wielu, wielu innych wywodziło swój gimnazjalny znakomity i nie znakomity rodowód. A nasi nauczyciele? Niezapomniany Bolciu Lewicki, późniejszy profesor Szkoły Filmowej w Łodzi, a mój wspaniały polonista, opiekun harcerstwa i sam wybitny działacz harcerski ówczesnego Lwowa. Jemu to w głównej mierze zawdzięczam ciągłość literacką. W gimnazjum wyróżniał mnie wielokrotnie, zwłaszcza za wypracowania na tematy dowolne. Dyrektor Buzath, profesorowie Nawrocki, Ajdukiewicz, Turczyn, Jus, Auerbach (tak, ten od łacińskiej gramatyki), Knobloch, Noskiewicz, ks. Oprzędkiewicz – duchowy wychowawca, rygorysta, który bez mszalika nie dawał zgody na uczestniczenie w niedzielnej, szkolnej mszy św. u Karmelitów. Wiem, że w każdym lwowskim gimnazjum i liceum był najwspanialszy aeropag pedagogów, ale ten był najbliższy, najbardziej sprawdzalny na uczniowskiej skórze, ale i najmiłszy. Dlatego pamięć o nim nie zawodzi.

We wrześniu 39 r. miałem rozpocząć naukę w IV klasie gimnazjalnej, a rozpocząłem wojowanie. Splot wojennych okoliczności spowodował, że stanąłem na czele 40 Lwowskiej Drużyny Harcerzy w jej wojskowej służbie pomocniczej na Dworcu Podzamcze. Potem nauka w b. gimnazjum SS. Nazaretanek (tam był polski język nauczania i z mojej Leśnej było najbliżej). Pierwsze kroki konspiracyjne i pierwsze sztubackie miłości, bo przecież dziewcząt u Nazaretanek nie brakowało. Po wkroczeniu Niemców do Lwowa przybyło już lat, wszystko okrzepło, było bardziej serio. I nauka na kompletach tajnego nauczania, i konspiracja, i miłość. Stałem się żołnierzem kontrwywiadu ze szczególnym zadaniem przechwytywania broni w niemieckich szpitalach. Kochałem się w Ali, a była to miłość wierna i jedyna do chwili zakończenia wojny. Sowiecki patrol rozbroił mnie pod kinem Apollo na Chorążczyźnie i trzeba zniknąć ze Lwowa. W ten sposób znalazłem się w Wojsku Polskim, w IV Dywizji Piechoty i już od Bydgoszczy walczyłem proch jako radiotelegrafista, początkowo w sztabie dywizji, a później w 4 Dywizjonie Artylerii Samochodowej. Jako posiadającego maturę nie chciano mnie zdemobilizować bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych. Okazało się, że co innego hasła o chęci szczerej, a co innego ich praktyczne wykorzystywanie, matura w warunkach wojska, zwłaszcza w jednostkach technicznych. Pętałem się więc po sztabach, raz jako kreślarz, raz jako kierownik i animator zespołu estradowego (co mi całkiem nieźle „szło”), to znów jako słuchacz podchorążych i równocześnie zastępca d-cy plutonu d/s liniowych w oficerskiej szkole lotniczej w Boernerowie. Z tej to szkoły dokonałem dość miłego lądowania do cywila w lutym 1947 r., czyli po prostu wylali mnie do cywila za rzekome uchybienie czci wielkiemu ojcu narodów – Stalinowi. Mój Ojciec w tym czasie wrócił ze zsyłki do Donbasu. Był wywieziony za mnie we wrześniu 44 r. Przyszli nocą do domu. Pytali o syna akowca i nie pomogły tłumaczenia, że przecież poszedł na wojnę z Niemcami. Ktoś za AK, za akcję „BURZA”

musiał odpokutować. A że to był starszy już Ojciec, znaczenia nie miało.

Jesienią 47 roku zaczynam edukację medyczną we Wrocławiu. Wciągam się w ten kierunek studiów powoli, bo go wcześniej nie planowałem. Namawiali kole-dzy, łącząc jako tako pamiętałem, wlałem w to środowisko wcześniej, bo po zdemobilizowaniu szybko zwią-chałem się z wrocławskim środowiskiem starszoharcerskim i jakoś tak trzeba było... żeby nie tracić kontaktu. Doprawdy z dość banalną motywacją startowałem do jednego z najszlachetniejszych zawodów. A później przywykłem i jakoś już było. Szybko związałem się z Kliniką, bo już od III roku jako wolontariusz i tak toczyła się moja edukacja medyczna przez następne lata studiów i kilkanaście lat po nich. Związany stałe z tym samym ośrodkiem i szkołą kliniczną prof. dr. Edwarda Szczeklika pozyskiwałem w dość przyzwoitych terminach kolejne stopnie specjalizacji i tytuł naukowy. Gdzieś tam na IV lub V roku studiów zaczęły się moje wprawki rysunkowe i malarskie. Nie były to pejzaże, ani martwe natury. Zmobilizowany koniecznością zarobkowania i przydatnością dla profesorskiej dydaktyki „two-rzyłem” różne zleczone rysunki mikroskopowe, gastro-skopowe, z przebiegu zabiegów chirurgicznych, zesta-wienia, lokalizacje i całą tę medyczną utylizację, dzięki której odkryłem, że takie działanie sprawia mi przyjem-ność i przysparza trochę pieniędzy. A czasy nie były łatwe. Na zbyt dużą pomoc rodziców, którzy ze Lwowa wyjechali z kosztem statków domowych i niewielką ilo-scią pościeli – nie mogłem liczyć.

Praca, liczne grono przyjaciół, kolegów, założenie rodziny pozwalały na przyzwyczajanie się do Wrocławia, do jego spokojnego pejzażu, do urody rzeki, mostów, parków, do zgiełku tramwajów, które przypominały Lwów. O tym mieście, z którym nie miałem czasu się rozstać, bowiem służba wojskowa była wówczas ucieczką przed NKWD, a nie aktem spontanicznego patriotyzmu – myślałem serdecznie i z tęsknotą. Za-wsze wypełniało mnie uczucie zdecydowanego powrotu, skoro tylko... I tak biegły te lata wrocławskie. Stało się jednak tak, że nadszedł czas tzw. męskich decyzji. Zasób wiedzy nabytej w Klinice upoważnił do samo-dzielnego stanowiska – do ordynatury. Wybrałem Gorlice, bo to blisko Nowego Sącza, z którym związany byłem latami chłopięcymi, szkołą im. A. Mickiewicza, zapamiętaną rzeką i pogodą, po tylu już latach – tylko słoneczną. W Gorlicach jeden człowiek zdecydował o poszerzeniu moich zainteresowań pozamedycznych. Uwikłany w ordynaturę, eo ipso w odpowiedzialność szczególnej wagi, mimo to dojrzywałem do wypełnienia świata dodatkowymi wartościami, które z biegiem lat straciły swą podrzędność. Mgr Wiesław Fusek, ówczesny kierownik apteki w Gorlicach, stał się dla mnie wzorem i podpatrywaczem przyrody, i malarza, aczkol-wiek nieprofesjonalnego (nie lubię tego określenia), to jednakże bardzo biegłego w nastrojowym odtwarzaniu otaczającego świata. Z początkowego kompana przy-cupniętego na stołeczku obok Wiesława, stałem się żądny próby sił. Zresztą mój nauczyciel ukuł dewizę, która mnie mocno wspierała, gdy talentu i odwagi brako-wało: „ten nie maluje, kto nie chce”. Nie było tam mowy o takim co nie potrafi. Wydaje mi się, że to powiedzenie mgr. Fuska jest dobrą receptą. Sam ją przepisywałem takim, którzy z kolei moje późniejsze malarstwo dobrze oceniali, a nie mieli odwagi by zacząć... „Domalowałem” się kilkunastu wystaw indywidualnych. Oceny różne: od

pochwalnych do prześmiewczych. Córką, która jest pla-styczką, skwitowała to moje malowanie lapidarnie i chy-ba prawdziwie: „Tato, to są malowane pocztówki”. Zaś Stanisław Szafran, znany plastyk sądecki: „Niech pan maluje nadal, dużo i po swojemu, tak jak dotychczas, bez podpatrywania innych.”. Być sobą w malarstwie, we wszystkim co się robi, tworzy, oddaje, to działanie odpowiadające mi, usprawiedliwiające tzw. styl. Może nawet życia. Nie zaprzestałem więc malowania do dziś. Ostatnio pasjonuje mnie technika pastelów. Są w niej cieka-we i szybkie możliwości. A ja przecież czasu już nie mam.

Znajomi zadają mi często zasadnicze pytanie. Co wolę: malowanie, czy pisanie? I dodatkowo jeszcze: dlaczego to robię? Na to drugie pytanie bardzo nie lubię odpowiadać. Na początku spotkań autorskich, które nie-kiedy miewam, zastrzegam się, aby mnie o to nie py-tano. Każda odpowiedź jest tu naciągana, do końca nie szczerza i zawsze trochę naiwna, nieodpowiedzialna. Równie nieostrożne jest pytanie błądzących, dlaczego błądzą, a ptaków dlaczego latają.

Moje pierwsze wiersze zostały napisane w latach gimnazjalnych (oczywiście!) i były, rzecz jasna, dla Niej! W 1945, po zakończeniu wojny, będąc jeszcze w mundurze, coś tam „wymyśliłem” w tonacji patriotycz-nej i nawet któraś z wojskowych gazet to wydrukowała. Były także oczywiście liryki do szuflady. Mam je do dziś tam właśnie i bardzo się ich wstydzę. Gdzieś od lat siedemdziesiątych poezję zacząłem uprawiać, jako ważne dopełnienie istnienia. Mój warsztat zawodowy, wyuczony dość precyzyjnie i dający mi więcej niż prze-ciętne kompetencje, nie miał w zaistniałych warunkach szans na rozwój. Medycznie wszystko stało się w miej-scu. Mając kilkanaście lat stażu klinicznego u dobrego szefa, kilkadziesiąt publikacji, doktorat, czułem, że sta-ję się mało płodny, że z twórcy zamieniam się w odtwór-cę. W moim zawodzie to nie powód do zawstydenia. Doświadczeni praktycy byli i są bardzo potrzebni. To jest ta pierwsza linia walki z cierpieniem. Ba, tylko że mój inny temperament, inne nawyki, inne horyzonty... Gdzieś się to wszystko podziało, rozplynęło, pogubiło. Medycyna praktyczna nie potrafiła przyciągnąć mnie do końca. Do dziś, będąc praktykującym lekarzem, staram się i chyba udaje mi się wykonywać swoje obowiązki bez zarzutu jednakże... W tym klimacie podświadomie

począłem poszukiwać rekompensaty. Tak pojawiło się malarstwo traktowane już nie jako coś przypadkowego, chwilowego, lecz uprawiane w miarę systematycznie, z myślą o doskonaleniu warsztatu, o poszukiwaniu swoich możliwości. Tak pojawiła się poezja, jako spo-sób na opisywanie świata, ludzi, uczuć i niekiedy roz-brykanej wyobraźni. Znów z pomocą pośpieszyły krajo-brazy, wśród których wypadło żyć. W Nowym Sączu za-mieszkałem od 1967 roku. Miasto, jego okolice, Duna-jec, Poprad, tyle tu niecodzienności, tyle urody krajobra-zu bliskiej, dotykanej. Jezioro Rożnowskie dopomogło w rozwoju żeglarskich zamiłowań i praktyki. Tu powstał pierwszy tomik żeglarskiej poezji „Chodzenie na wiatr”, a za nim inne, zawsze nasycone urokami otaczającej mnie ziemi. Od czasu możliwości wyjazdów do Lwowa, czyli ok. 1980 r. zaczęły powstawać strofy lwowskie. Nie mogło być inaczej. Pokłady uczuć dla tego miasta drżące, ukryte z konieczności, poczęły w latach 1988-1991 wprost dominować w mojej pisaninie. Każda wyprawa do miasta najlepszej młodości przynosiła nowy plon poetycki. Jego część zawarta jest w przedstawi-onym do recenzji wydawniczej tomiku. Od siebie dodam, że staram się odchodzić od przyjętych w poezjowaniu na lwowskie tematy – jakby schematów. Chcę mieć zapis współczesnego Lwowa. Tego co zachwyca (a jeszcze ma co zachwycać) i co dziś boli. Że ma co boleć – zapewnić nie muszę. Z tych wierszy narodziły się w Nowym Sączu spektakle poetyckie. Znalazł się kompozytor – Aleksander Porzucek, który ma znakomi-te odczytanie tekstów i tworzy przedziwnej urody muzy-kę, ostatnio nawet nowoczesną, atonalną, opartą na tematach lwowskich. To mnie pasjonuje. Uważam to za rodzaj służby dla Lwowa, bowiem w ten sposób wszyst-ko nieomal o Mieście można przekazać szerszym krę-gom publiczności, niejednokrotnie bardzo odległej od spraw polskich za wschodnią granicą. Mam satysfakcję: trafiają się „nawrócenia”. Z obojętnych stają się miłośni-kami Lwowa, nieomal jego patriotami. Jeżeli moja po-ezja dla Lwowa jest misją, to ci o których wspominam, są tej misji spełnieniem. Szczególnie najmłodszy. Bo ktoś po nas...

Nowy Sącz, 21 listopada 1991 r.

P.S. Ten „życiorys” otrzymałem kilka miesięcy przed śmiercią Autora. (A.K.)

Jadwiga Sibiga

Wspomnienie o Jerzym

Trudno pogodzić się z takim określeniem, kiedy nagle odchodzi od nas człowiek, który tak niedawno jeszcze był kimś bliskim, Drogim.

Nie ma Go, a pustka, która tak nagle wytworzyła się po Jego stracie nie jest w stanie zapełnić się przez nikogo.

Jerzy Masior, był moim serdecznym Przyjacielem od wielu lat, razem pracowaliśmy w Makroregionie Połu-dniowo-Wschodnim, tworzyliśmy wspólnie Biuletyn na-szego makroregionu.

Spotkania i częsta wymiana korespondencji zbliżyła nas w formie szczerzej serdecznej przyjaźni i tak się utarło, że nie tylko radości i powodzenia w działalności Kresowej dzieliliśmy, ale smutki i kłopoty z tym związa-ne były treścią naszych listów.

Liczyłam się ze zdaniem Jerzego i kierowałam wskazówkami, w niektórych sprawach był dla mnie autorytetem i chociaż starałam się, nie mogłam Mu dorównać.

W swojej miłości do Lwowa i Kresów, Jerzy dał z siebie wszystko, był Jednym z tych, którzy do ostat-niej chwili nie zdradzili tego uczucia. Nie ma Go wśród nas, tak trudno się z tym pogodzić, ale w swoim wielkim trudzie pisania pozostawił dla nas „testament pamięci”, dla młodego pokolenia przesłanie jak kochać ojczysty kraj.

O zasługach Jerzego trudno jest mówić, myślę, że jest ich tak wiele, zbyt wiele jak na jednego człowieka, a my po prostu znaleźmy Go tak dobrze. Żegnaj Cię Jerzy – nie będę Ci towarzyszyć na miejsce spoczynku, ale żegnaj Cię wraz z innymi tak, jak żegna się najlep-szego Przyjaciela.

Jarosław, 23.04.2003 r.

Jadwiga Sibiga

Listy donikąd

Jerzy, Przyjacielu Drogi,
piszę ostatni list do Ciebie
jeszcze wciąż uwierzyć nie mogę,
że Twoja gwiazda zgasła na niebie.

Gdziekolwiek jesteś będziesz z nami
jak miłość i tęsknota wieczna,
którą darzyłeś nas latami
w swoich wspomnieniach i swych wierszach.

Posłuchaj ciszy, ona jest naszym wyznaniem,
kiedy odszedłeś zatrzymał się czas,
nie ma Ciebie – tylko Twoje „Pamiętania”
żyć będą wśród nas.

Wybrałeś drogę ku Światłości
w niebieskich obłokach nad Lwowem,
aby ostatnim gestem miłości
Miasto kochane pozdrowić.

Spójrz, jak wiosna rozkwita
w ogrodach i parkach Lwowa,
w barwach różowych poranki spowite
i Pohulanka w mgłach seledynowych.

Żegnać Cię będą wiatr z Podola
i Kajzerwaldu stoki,
pokryte dywanem zawilców białych
i fiołków pachnących bukiety.

Piszę ten list ostatni
by wysłać go donikąd,
na stole zostaną puste kartki
i Twoje „wiersze stamtąd”.

Jarosław, 23.04.2003 r.

Dzieci wędrowanie

Nowy Sącz. W Galerii im. S. Szafrana

(Przedruk z „Dziennika Polskiego” z dn. 3 IV 2003 r.)

W sądeckim Młodzieżowym Domu Kultury otwarta została wystawa pt. „Dzieci wędrowanie po Nowym Sączu”. W Galerii im. Stanisława Szafrana prezentowanych jest ponad dwieście prac przedstawiających różne zakątki miasta.

Podczas wernisażu młodzież z MDK śpiewała i recytowała wiersze napisane niegdyś przez dr. Jerzego Masiora. Autor był wyraźnie wzruszony: – Po raz pierwszy spotykam się z tym, że moje utwory wykonują tutaj młodzi ludzie. Bardzo się cieszę i dziękuję za zaproszenie mnie do obejrzenia tej ekspozycji.

W ciągu trzech miesięcy młodzież uczęszczająca na zajęcia plastyczne do MDK przygotowała ok. 600 prac wykonanych w różnych technikach (ceramika, tkaniny, fotografie, obrazy olejne, pastele, akwarele). Ponad dwieście zawieszono na ścianach Galerii im. Stanisława Szafrana.

Pomysłodawczynią zorganizowania wystawy była jedna z instruktorek plastyki Wioletta Rola: – Dzieci są bardzo spostrzegawcze i zauważają w swoim mieście to, czego często nie dostrzegają dorośli. Pochodzę z Dolnego Śląska, ale znam dobrze Nowy Sącz, dużo spaceruję po jego ulicach. Dzięki pracom naszych podopiecznych zobaczyłam wiele ciekawych miejsc, których wcześniej nie widziałam.

Dodajmy, że młodzi sądeczanie na co dzień rozwijają swoje zainteresowania pod okiem Małgorzaty Gromali, Beaty Płanety, Agaty Rolki, Wioletty Roli i Antoniego Reszkiewicza. Autorzy najciekawszych prac otrzymali dyplomy i nagrody.

(PG)



Dr Jerzy Masior (pierwszy z lewej)
i bohaterowie wystawy.

Fot. PG

Kazimierz Wesołowski

Zachowajmy Go we wdzięcznej pamięci

Doktora Jerzego Masiora – prezesa TMLiKPW w Nowym Sączu poznałem 16.06.1996 roku na uroczystości nadania tarnowskiej Szkole Podstawowej Nr 9 imienia „Orląt Lwowskich”. Jerzy Masior przybył na tę uroczystość z zespołem artystycznym tamtejszej szkoły nr 16, również imienia „Orląt Lwowskich”. Dane mi było występować na tej uroczystości z zespołem muzycznym parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Tarnowie. Występowaliśmy wspólnie na estradzie obok budynku szkoły. Słowo wiążące głosił Jerzy Masior. I tak od naszego pierwszego spotkania poczuliśmy do siebie wzajemną sympatię. Później dane mi było skomponować kilkanaście pieśni i piosenek do Jego pięknych tekstów. Jednym z ostatnich naszych utworów był HYMN DO MATKI BOŻEJ ŁASKAWEJ. Prowadziliśmy też ożywioną korespondencję, której tematem był nasz ukochany Lwów. W jednym z listów Jerzy Masior pisał: „Cóż, usiłuję póki sił starcza (skończyłem 7 II 78 lat!) coś tam jeszcze zrobić dla Lwowa, coś utrwalić, coś wygrać, wyśpiewać”. Zaś o tworzeniu poezji i piosenek o Lwowie napisał: „Mam świadomość – zapewne tak jak i Pan – że są potrzebne. Więc póki jeszcze żyjemy i coś tam w duszy gra.”. Katolicki tygodnik „Niedziela” w dniu 25.05.2003 r. zamieścił artykuł Aleksandra Markowskiego ZAPOMNIANA PIOSENKA, GDZIEŚ POD NIEBEM UKRYTA..., w którym autor pisze: „Na majowe święto Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski zamieściłem w „Niedzieli” Hymn do Matki Bożej Łaskawej Jerzego Masiora i Kazimierza Wesołowskiego. Gdy pozdrowiałem autora przejmujących tęsknotą słów, jeszcze nie wiedziałem... – Jerzy Masior zmarł w Wielką Sobotę Wielkanocy. Niech Matka Boża

Łaskawa, Śliczna Gwiazda Miasta Zawsze Wiernego, czuwa nad Jego duszą”. Po ukazaniu się w „Niedzieli” Hymnu czytelniczka poetka z Wieliczki rodem ze Lwowa – Aniela Birecka z wdzięczności za doznane wzruszenie przysłała swoje wiersze, a wśród nich wiersz poświęcony Matce Bożej Łaskawej z Lwowskiej Archikatedry, wiersz nagrodzony na konkursie literackim: „U progu Kresów”. Dziękuję Pani Anielo! Zadedukujemy ten wiersz Jerzemu Masiorowi. Niech mi wolno będzie w wigilię Dnia Matki zwrócić się w imieniu Tego wspólnego człowieka z gorącą prośbą do wszystkich Matek. Kochane Mamy! Przypomnijcie swoim dzieciom, że Lwów, miasto po zachodniej stronie Bugu, istnieje na historycznej ziemi Mieszka I, ziemi polskiej. Uczniowie! Przypominajcie tym nauczycielom, którzy zapomnieli. Bolał nad tym także J. Masior, który twierdził, że SZKOŁY ORŁĄT powinny być kuźnią wiedzy o Lwowie i Kresach. Do końca życia rozmiłowany w pięknie, kulturze, pieśni, historii Lwowa i Kresów cierpiał nad tym, że tak nie jest, zaś wielu nauczycieli tych szkół nazywał „hamulcowymi”. Ta Jego postawa i działalność o utrwalenie pamięci narodowej w wydawanych publikacjach i poezji została uhonorowana Krzyżem II Obrony Lwowa i Złotą Odznaką TMLiKPW. Odszedł od nas Arcylwowianin i Syn Kresów, a pamięć o wiernym Lwiemu Grodowi patriotcie żyć będzie długo w naszych sercach i umysłach, zaś poezja i publicystyka, którą nam zostawił, pozostanie testamentem dla potomnych na wieki. Myślę – Drogi Panie Jerzy, że dusza Twoja za wstawiennictwem Ślicznej Gwiazdy Miasta Lwowa – Maryi, uleciała nad ukochany Lwów, bo przecież gdzie indziej nie mogła.

Tarnów 22.05.2003 r.

Aniela Birecka

Matka Boża Łaskawa z Archikatedry Lwowskiej

Nie przypadkiem
Ziemi i Nieba
Królowa
Najjaśniejsza Konstelacja
Śliczna Gwiazda Miasta Lwowa
ma słodką twarzyczkę
ukochanej Mamci –

Ma tak być – i tyle
że Jej z tęczy aureolą
ponad tuzin zawiaduje – niebiańskich
Synów pyzających
Aniołków

Jak się patrzy zasiadłszy
w chmurzyskach kłębiastych
w faldzistej sukni szkarłatnej
i w rozwianym wicherzyskiem
płaszczu –

z Przenajświętszym Chłopiędziem
w swych objęciach jak włóczka ciepłych
w ramionach najmiększych patrzy
na zawsze wiernie
zielone jak ogród
Jej Miasto.

Hymn do Matki Bożej Łaskawej

Słowa.: Jerzy Masiur

Muzyka: Kazimierz Wesołowski



O, Matko nasza, przed Twym obliczem
serca wygnanców wciąż płoną zniczem.
My Tobie wierni, my na kolanach,
Panno Łaskawa, bądź razem z nami.
Lwowską jasnością Tyś malowana,
pod lwowskim niebem koronowana.
Z królewskich dłoni Twoja korona,
dar Twojej łaski nam przeznaczony.

Z lwowskiej świątyni Tyś wypędzona,
Tam ziemia łzami bólu zroszona.
Z niebios nad nami, z nieba nad Lwowem
kłębią się chmury tamte, kresowe.
Z tych chmur, o Pani łaski nam użycz,
gdy czas wygnania trwa coraz dłużej.
Nam tu nie lwowskie kołaczą dzwony,
a Twoje „Zdrowaś” nie tam mówione.

Na wschód niech płyną szepty, modlitwy,
tam chcemy ciszy, nie chcemy bitwy.
Matko Łaskawa, daj nam nadzieję,
byśmy wytrwali, byśmy wiedzieli.
O, śliczna Gwiazdo, Gwiazdo nad Lwowem,
bądź naszą Matką, bądź nam Królową
Łask Twych prosimy, łask Twych błagamy,
nie zapominaj, że my tu trwamy.

Z warg naszych usłysz modły, błagania,
wygnanców Lwowa, wysłuchaj Pani.
Ty ponad wszystko, Tyś nad granice,
stamtąd otuchy przynosisz znicze.
Tobie śpiewamy tę Antyfonę,
my, dzieci Lwowa nie utulone.
O, Matko Świata, Twymi łaskami
nam, Twoim dzieciom, sprzyjaj, o Panil

Zdzisław Kuhl

Jurek Masiur

Mój stary kumpel z Nazaretu*
Wieczny bradiaga doktor Jurek
Znawca wytrawny lwowskich ulic
Kościołów placów i podwórek

Zawsze we Lwowie zakochany
Jego sylwetki piórkiem kreśli
Wciąż lwowskie kwitną mu kasztany
Wciąż uczy dzieci lwowskich pieśni

Szronem siwizny jego głowa
Bieleje, choć młode jego serce
Do kochanego tęskni Lwowa
Tylko Lwów kocha i nic więcej

Niech w dobrym zdrowiu Cię zachowa
Ta którą wielbił już od dziecka
Pani z Górnego Łyczakowa
Materka nasza Jazłowiecka

Jej gwiazda niech Ci zawsze świeci
Za trud niesiony lata całe
Żeś uczył Lwowa dzieci małe.
Niech Ci po różach czas przeleci.

Więc dzisiaj część mu swą oddajmy
Na festiwalu pieśni lwowskiej
w Lesznie, tym mieście ukochanym
Sławnym z tradycji, chlubie Polski

Żyj nam choć sto lat Jurku drogi
Bądź wiecznie młody, jak przed laty
Musi przeminąć czas złowrogi
Wizja polskiego Lwowa, niech będzie ci zapłatą.

* Gimnazjum sióstr Nazaretanek we Lwowie.

P.S. Wiersz napisany przed nagłą śmiercią śp. Jerzego Masiura

Był wśród nas...

JERZY MASIOR



Obchody „lwowskich” rocznic i wydarzeń historycznych, Dni Lwowa, organizowane przez TMLiKPW, przybliżyły to miasto społeczeństwu Nowego Sącza. Na zdjęciu poniżej: Prezydent Nowego Sącza Józef Wiktor gratuluje Prezesowi J. Masiurowi koncertu z okazji rocznicy Obrony Lwowa



Nowy Sącz był dla Jerzego „małym Lwowem”. Zamieszkał w nim na stałe, bo - jak mawiał - „stąd blisko do Lwowa”, Jego utraconego miasta rodzinnego nad Półtwią. Nigdy nie przestał go żarliwie kochać, tęsknić za nim. Odwiedzał je często - sam, tropiąc ślady młodości, z przyjaciółmi, a szczególnie z młodzieżą, której chciał przekazać swoje uczucie, nauczyć miłowania dumnego grodu „Semper Fidelis”. To była Jego życiowa pasja. Spełniona.

Na zdjęciu: Jerzy z małżonką Romualdą i prezesem A. Kamińskim na tle zabytkowego ratusza w Nowym Sączu



Jerzy z młodymi miłośnikami Lwowa, Jego wychowankami - laureatami festiwalu piosenki kresowej



VIII Dni Lwowa we Wrocławiu. Jerzy przemawia na inauguracji wystawy fotogramów kresowych Z. Zielińskiego, towarzyszącej wrocławskim obchodom Dni Lwowa



Jerzy w towarzystwie najbliższych przyjaciół z Oddziału Lubelskiego TMLiKPW oraz Zarządu Głównego Towarzystwa



Jerzy spoczął w gościnnej ziemi Jego „małego Lwowa”. W ostatnim Pożegnaniu na nowosądeckim cmentarzu uczestniczyli Jego przyjaciele-lwowiacy z całej Polski oraz setki mieszkańców Nowego Sącza.

Była wśród nas... **KRYSTYNA KARBOWNIK**

Pasją Krystyny - Prezes Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW była praca z młodzieżą. Przybliżenie jej kultury, zabytków, sławnych obrońców i mieszkańców Lwowa. Była inicjatorką i nieustraszoną organizatorką corocznych Młodzieżowych Rajdów Szlakami Zabytków Lwowa we Wrocławiu i kończących je Konkursów Wiedzy o Lwowie. Uczestniczyły w nich każdorazowo dziesiątki drużyn szkół podstawowych, gimnazjów i liceów z Wrocławia, a także sąsiednich miast. W tym roku odbył się dziewiąty - już bez Niej.

Na zdjęciu: Krystyna na tle wrocławskiego Pomnika Obrońców Lwowa inauguruje VIII Rajd Szlakami Zabytków Lwowa we Wrocławiu.



4 lipca każdego roku, w rocznicę zamordowania profesorów lwowskich na Wzgórzach Wuleckich, Krystyna wraz z wrocławskimi Lwowiakami składała hołd Ich Pamięci u stóp Pomnika Pomordowanych Profesorów Lwowskich, wzniesionego na pl. Grunwaldzkim we Wrocławiu.



Krystyna była głównym moderatorem uroczystości poświęcenia sztandaru ZG TMLiKPW przez Metropolitę Wrocławskiego ks. Henryka kardynała Gulbinowicza z okazji X-lecia Towarzystwa.



Jako prezes Oddziału Wrocławskiego TMLiKPW Krystyna była inicjatorką i organizatorką corocznych DNI LWOWA we Wrocławiu. Na zdjęciu: Inauguruje kolejne DNI.



Krystyna, w towarzystwie senator RP Marii Berny, podczas jednej z „lwowskich” imprez na wrocławskim Rynku.



Ostatnie zdjęcie Krystyny Karbownik - dyrektor Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”, członka ZG TMLiKPW z inauguracji VIII DNI LWOWA we Wrocławiu w Muzeum Medalierstwa, gdzie znajduje się makieta średnio-wiecznego Lwowa. Obok Niej, z prawej wiceprezydent wrocławia Sławomir Piechota i prof. Gerwazy Świdorski. Krystyna pełna, jak zawsze, życia, uśmiechnięta...



Andrzej Barącz Wspomnienia (c.d. – cz. III i IV)



Fot. A. Sołtys-Kulinicz
Andrzej Barącz

Część III

21 lipiec 1995 rok

Grzebię w pamięci i wyciągam z niej stare rupiecie, spłowiałe szczątki starych sukien, wyblakłe fotografie, rzeczy, zdarzenia i dźwięki, które już nie powrócą, gdyż nie pasują do dzisiejszej rzeczywistości, nie mają sensu, a jednak stanowiły tamtą rzeczywistość, która była kiedyś i która istnieje gdzieś w pamięci, a na której kształtowało się całe późniejsze życie.

Pamiętam te domy, bramy, podwórka, z których dochodziło głośnie wołanie: „garki drutować! garki drutować!”

Pamiętam tego starego Żyda pchającego przed sobą wózek i wołającego „handele, handele, szmates, łaches, szmaty kupuje!”

Pamiętam te latarnie gazowe i idącego wieczorem latarnika z długim kijem, na którego końcu tlił się niebieskawy płomyk. Szedł on od latarni do latarni, końcem kija przesuwając dźwignię kurka gazowego i płomyczkiem zapalał latarnię. Rano odbywał znów swoją wędrówkę, z powrotem przesuwając dźwignię kurka i gasząc latarnie przed nadchodzącym świtem. Nie ma już tych latarni, nie ma zawodu latarnika, który miał w sobie coś romantycznego, jakby był wysłannikiem Prometeusza, który wykradł ogień bogom. Dziś zastąpił go odległy automat ustawiony na pewne godziny, włączający prąd do połączonych drutami żarówek.

Odebraliśmy Zeusowi piorun i uczyniliśmy z niego związanego drutami niewolnika. Wdarliśmy się do jego arsenału i brutalnie w nim grzebiemy, wykradając mu jeszcze większe tajemnice i moce.

Nie ma już tych druciarzy garnków, ani starego Żyda handlującego szmatami, świadków naszej biedy. Ich wołania chyba nigdy już nie zabrzmiały echem w studniach podwórek, gdzie kuchty w chusteczkach na głowie trzepały dywany.

Świat zmienia się szybko. Przecież dopiero w 1845 roku zbudowano w C.K. Imperium kolej parową łączącą Lwów z Wiedniem. Maszyna parowa umożliwiła powstanie przemysłu i komunikacji kolejowej. Następne stulecie dało nam rozwój elektryczności. Rozwój samochodu i lotnictwa został umożliwiony przez proste wynalezienie lampy naftowej przez lwowskiego aptekarza Łukasiewicza. Mało o tym wiekopomnym zdarzeniu świat wie, a przecież zaczęło ono nową epokę.

Potem w krótkich odstępach czasu przyszło radio, energia atomowa i loty międzyplanetarne. Straszliwa wojna totalna jeszcze bardziej przyspieszyła postęp techniczny. Dowiedzieliśmy się, że prawa fizyki, na których opieraliśmy dotychczasową technikę, ważne są tylko w pewnym przedziale, że materia jest tylko pewną formą energii. A czym jest energia?

Dowiedzieliśmy się przede wszystkim jak mało jeszcze wiemy. Piszę te słowa na komputerze, którego nieśmiało początki sięgają czasu ostatniej wojny, a który dziś jest przedmiotem powszechnego użytku. Bez niego nie byłoby lotów międzyplanetarnych i bez niego już nie możemy wyobrazić sobie normalnego, nowoczesnego społeczeństwa.

Wydaje nam się, że życie zostało ulepszone przez te wynalazki, ale czy człowiek jest szczęśliwszy dziś niż był nim za dawnych czasów? Czy szczęście ludzkie zależy w jakimś stopniu od tych cudów techniki?

Stworzyliśmy nowe warunki dla rozwoju człowieka. Coraz to mniej noworodków umiera i coraz to dłużej żyje człowiek dzięki postępom higieny i medycyny. Jest nas coraz więcej, coraz mniej miejsca dla każdego z nas. Zanim zaczniemy kolonizować wszechświat, musimy gospodarować oszczędnie ograniczonymi środkami, jakimi dysponujemy na Ziemi. (...)

Spojrzelśmy na Ziemię z przestrzeni, z powierzchni Księżyca, ale nie spotkaliśmy tam ani pana Twardowskiego, ani barona von Munchausena. Być może, że polecili już dalej. Ale czy te wszystkie osiągnięcia dały człowiekowi szczęście? Co to jest ludzkie szczęście?

Ta tu wszystku praua, ali co tu ma wspólnego zy Lwowem? Ta niby nic, tylko, ży ja zy Lwowa i tak sy myślím.

Część IV

24 sierpnia 1993 roku

Był koniec sierpnia 1939. Z głośników dochodziły ryki Hitlera i ckiwe dźwięki „Lili Marlen” towarzyszące odgłosowi żołnierskich butów, oraz zapowiedzi Rydza Śmigłego, że nie oddamy (wrogowi) ani guzika (od munduru).

Czarne chmury burzowe zaciągały horyzont.

Będąc pilotem w Aeroklubie Lwowskim, oczekiwałem lada chwila wezwania od oficera łącznikowego, przydzielonego do naszego aeroklubu, ale nic nie nadchodziło.

Dnia 26 sierpnia zatelefonowałem do niego z pytaniem o instrukcje. Instrukcja brzmiała: czekać cierpliwie.

W końcu nadszedł dzień 1 września. Poszedłem jak zwykle do instytutu, gdzie pracowałem. Już doszła nas wiadomość, że w nocy Niemcy zaatakowali Polskę.

Panował nerwowy nastrój dezorientacji. Nagle około 9-tej usłyszeliśmy dźwięk nadlatujących samolotów i potem huk serii bomb rzuconych najpierw na dworzec kolejowy. Wojna więc doszła do nas. W nerwowej atmosferze oczekiwania przechodziłem przez zaciemnione ulice, słuchając wiadomości (od mijanych ludzi), nie mogąc rozróżnić prawdy od plotek. W końcu „ktoś” powiedział, że dowództwo lotnictwa znajduje się w kinie Roxy przy ul. Gródeckiej.

Poszedłem więc tam. W holu kina panowała atmosfera paniki. Palono i niszczone papiery i wszędzie miała miejsce nerwowa biegania. Spotkałem kilku znajomych, oficerów lotnictwa, między nimi kpt. lotnictwa Haleckiego, który powiedział mi, że bym starał się dostać do Kut, gdzie koncentrują się lotnicy. Poszedłem

więc do kolegi z aeroklubu – Dzierzbickiego i postanowiliśmy pojechać na lotnisko, aby dostać benzynę do naszych motocykli.

Jechaliśmy na lotnisko Skniłowskie, po zaciemnionych drogach oświetlonych przez światło księżyca, kiedy nagle Dzierzbicki jadący przodem znikł mi z oczu i w sekundy potem poczułem, że walę się wraz z motocyklem w jakiś dół. Wylądowałem na Dzierzbickim, na szczęście nikt z nas nie odniósł poważnych obrażeń. Okazało się, że na środku drogi był lej po bombie, którego nie zauważyliśmy. Wyciągnęliśmy motocykle z leja i pojechaliśmy dalej. Na lotnisku zastaliśmy spustoszenie, rozwalone hangary i zbiorniki benzyny. Wróciliśmy więc z niczym do miasta.

Pojechałem do kilku przyjaciół pożegnać się, nie mówiąc gdzie jedziemy, tylko że „na wojnę”.

Rano pojechaliśmy do jakiejś jednostki wojskowej, gdzie udało nam się napełnić zbiorniki motocykli. Po drodze wstąpiłem do kolegi Kotowskiego, którego chciałem zabrać ze sobą. Nie chciał on jednak jechać, bo za kilka dni miał bronić dyplomu.

Pojechaliśmy więc dalej.

Po całodiennej jeździe (motocyklem), znaleźliśmy się w Kutach. Tam już było dużo młodych ludzi, ubranych po cywilnemu, ale wyraźnie zachowujących się w sposób wojskowy. Spoglądali na nas nieufnie. Dopiero kiedy spotkałem znajomych oficerów z 6 Pułku Lotniczego, skierowano nas na kwatery w chałupach huculczego, skierowano nas na kwatery w chałupach huculczego, skierowano nas na kwatery w chałupach huculczego, skierowano nas na kwatery w chałupach huculczego. Moja kwatera była nadzwyczaj czysta, z podłogą skich. Moja kwatera była nadzwyczaj czysta, z podłogą skich. Moja kwatera była nadzwyczaj czysta, z podłogą skich. Moja kwatera była nadzwyczaj czysta, z podłogą skich. Najbardziej bał się żeby nie wkroczyli bolszewicy, gdyż „wtedy będzie koniec z nami”.

Na drugi dzień przydzielono nas do jakiegoś oddziału prowadzonego przez majora lotnictwa. Oddział składał się z samych cywilów. Byli tam piloci z PZL, z LOT-u i z aeroklubów. Z tym oddziałem zmieniliśmy kilkakrotnie miejsce postoju, aż 17 września stanęliśmy w miejscowości Kobaki, w szkole ukraińskiej. Nauczyciel przyjął nas bardzo gościnnie, zagotował ogromny baniak mamaligi z mlekiem, która była jedynym zapasem żywności jaki posiadał.

Poszedłem słuchać radia, które było w świetlicy szkolnej na I piętrze. W głośniku usłyszałem język rosyjski i zrozumiałem tylko, że mówił towarzysz Mołotow i że mowa była o Polsce.

Zawolałem więc jednego z pilotów mówiącego po rosyjsku. Słuchając zbladł i natychmiast zawiadomił naszego komendanta, że bolszewicy wkraczają do Polski.

Natychmiast kazano nam wsiadać na motocykle i do samochodów i pojechaliśmy do granicy rumuńskiej w Kutach.

Zapadła noc i zaczął padać pierwszy we wrześniu deszcz. Wszędzie dookoła widać było łuny pożarów, które wzniecała armia czerwona idąca „na pomoc” Polsce.

Kazano nam zjechać z całym naszym taborem do rowu i przemknęły obok nas czarne limuzyny rządu (polskiego), po czym skierowano nas na most do Rumunii. Za mostem droga zaczęła się wspinać stromo pod górę. Jadąc w korowodzie ciężarówek i aut osobowych, spaliłem korkowe sprzęgło mego motocykla. Postawiłem go więc na podwórzu jakiejś żydowskiej karczmy, a sam wsiadłem na najbliższą przejeżdżającą ciężarówkę. Byłe dalej od bolszewików, których wkroczenia wszyscy się obawiali.

Rano byliśmy w jakimś rumuńskim miasteczku, gdzie spotkałem wielu kolegów. Dalszą drogę odbyłem z Dzierzbickim, jako pasażer na jego motocyklu. Nasz mały oddziałek pozbierał się i nasz major poprowadził go dalej w głąb Rumunii.

Byliśmy na przodzie kolumny samochodów. Zapytałem majora gdzie jedziemy. Odpowiedź brzmiała: do obozu internowanych.

Dzierzbicki wspominał mi wtedy, że ma kuzynkę w Bukareszcie. Wydawało mi się oczywiste, że należy jechać do Bukaresztu, zamiast do obozu i tak postanowiliśmy.

Zatrzymaliśmy się więc i zaczęliśmy majstrować przy motocyklu. Nadjechał major, któremu powiedzieliśmy, że ich dogonimy, a gdy kolumna przejechała, skręciliśmy na drogę do Bukaresztu.

Okolo 50 km przed Bukaresztem, drogi rumuńskie pełne dotąd dziur i wybojów, nagle poprawiły się. Doskonały asfalt doprowadził nas przez Ploeszti do Bukaresztu, który wydawał się być miniaturowym Paryżem. Dojechaliśmy do Strada Popa Tatu, gdzie mieszkała kuzynka Leszka, zamężna „za oficerem” lotnictwa rumuńskiego, o nazwisku Kuba (Kubicki). W domu rozmawiano po polsku. Przyjęli nas bardzo gościnnie. Natychmiast zgłosiliśmy się do Ambasady Polskiej, gdzie znów kazano nam czekać. Mieliśmy już jakieś paszporty, które wydano nam po drodze w jakimś konsulacie polskim. Ja byłem zaopatrzony w gotówkę, bo w dniu 1 września dostałem „renumerację” od dyrektora instytutu, inż. Stępniewskiego, którą udało mi się zamienić po dobrym kursie. Wtedy jeszcze polski złoty był honorowany przez Rumunów.

Jak zwykle w takich okolicznościach krążyły plotki i pogłoski. Jedna z nich głosiła, że z Konstancy odchodzi transporty wojskowe do formującego się w Syrii – wojska polskiego. Wsiadliśmy więc na motocykl i wyruszyliśmy do Konstancy. Wspaniała asfaltowa szosa wkrótce skończyła się i leżeliśmy kilka razy w dziurach i kałużach ubabrani błotem.

W Konstancy zorientowaliśmy się, że w istocie były transporty do Syrii. Niestety jakiś gorliwy pułkownik zrobił zbórkę cywilów w porcie, w dwuszerogu, czym zainteresował niemieckich agentów. Oni to wywarli presję na Rumunach, aby wstrzymać transporty. Wróciliśmy jak niepyszni do Bukaresztu.

W Bukareszcie poszedłem do Ambasady Polskiej i spotkałem tam pułkownika Makowskiego, dyrektora LOT-u i późniejszego mego dowódcy w dywizjonie bombowym 300, któremu powiedziałem, że mamy papiery i pieniądze i że prosimy tylko o skierowanie nas do wojska. Po kilku dniach czekania dostaliśmy wizy przez Jugosławię i Włochy do Francji, oraz pieniądze na przejazd.

Po drodze przez te kraje spotkaliśmy bardzo życzliwych ludzi. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że ci „turcyści” jadą do wojska.

Na granicy francuskiej w Modane, spotkaliśmy redaktora Rubla, który miał przewieźć nas do obozu wojska polskiego w Camp Coetquidan w Bretanii. Tutaj, mimo naszych protestów, wsadzono nas do Szkoły Podchorążych Piechoty, gdzie przesiedzieliśmy przez okropną, bretońską zimę. Chodziliśmy w starych ubraniach z demobilu z I-szej wojny światowej, z uzbrojeniem z roku 1845 (karabiny Kropaczek konstrukcji czeńskiej, a produkcji portugalskiej z ołowianymi kulami, owiniętymi w papier natłuszczony lojem). Dopiero pod

koniec dostaliśmy lepsze ubrania i buty, gdyż do tego czasu chodziliśmy na ćwiczenia w drewnianych „clog’ach” znanych z obrazów Van Gogha.

Po ukończeniu tej szkoły postarałem się o przydział do łączności lotnictwa w Base Aerienné Saint Jean d’Angely w departamencie Cognac. Stacjonowaliśmy w miasteczku Matha. Tutaj zapoznawaliśmy się z francuskim sprzętem łącznościowym.

Był już rok 1940 i Niemcy ruszyli na Francję, która czuła się bezpieczna za Linia Maginote’a. Nie pomogły więc próby naszego dowódcy, który był starym halerczykiem, znał osobiście marszałka Petain’a i wierzył w absolutną supremację Francji. Musieliśmy zwinąć manatki i samochodami z francuskiego demobilu z I-szej wojny światowej, wyruszyliśmy na południe.

Oczywiście nigdzie nie dojechalibyśmy na starych Renaultach o pełnych gumach, gdyby nie angielski oficer, który widząc naszą sytuację, dał nam ze swojego transportu dwa Bedfordy.

Po drogach, na których porządek utrzymywała polska żandarmeria wojskowa, kierująca Polaków i Anglików do portów, a Francuzów w głąb kraju, dotarliśmy po wielu przygodach do Saint Jean de Luz na granicy z Hiszpanią. Tutaj, po kilku nieudanych próbach zostaliśmy zaokrętowani na statek pasażerski, który był zamieniony na transportowiec wojskowy „Arandora Star” i przewiezieni w eskorcie dwóch niszczycieli do Liverpoolu. Na statku było prawie całe lotnictwo polskie (3500 ludzi). Byliśmy w ciągłym alarmie, gdyż szła za nami łódź podwodna, która jednak bała się niszczycieli.

W parę dni po przybyciu do Liverpoolu „Arandora Star” wypłynęła do Kanady bez eskorty, z internowanymi Włochami i Niemcami, zaraz za portem dostała torpedę i poszła na dno – łódź podwodna wykonała zadanie.

Po krótkim pobycie pod namiotami w Szkocji, przeniesiono nas na kwatery w Blackpool, gdzie była szkoła dla elektryków i radiooperatorów, skąd potem dywizjon lotnicze czerpały personel techniczny. Po zapoznaniu się ze sprzętem elektrycznym, zostałem przeniesiony do dywizjonu bombowego 300, w Swinderby w Lincolnshire.

Stamtąd po kilku miesiącach zostałem skierowany do szkoły oficerskiej łączności w Cranwell i po jej ukoń-

czeniu zostałem mianowany podporucznikiem i przeniesiony do dywizjonu bombowego 301 w Hemswell. Dywizjon 301 został przemianowany na Dywizjon 138 i przeniesiony do Tempsford obok Bedford, gdzie początkowo latał na Halifax’ach, a potem został przebrojony na Liberator. Miał on załogi złożone z różnych narodowości i zadaniem jego były zrzuć materiałów i skoczaków na okupowane kraje. Na tym samym lotnisku stacjonował też dywizjon 161, który specjalizował się w lądowaniach na terenach okupowanych i używał samolotów Lysander.

Pod koniec 1944 roku wojna już się kończyła. Katastrofa gibraltarska była dla nas straszna i postawiła nasz powrót do kraju pod znakiem zapytania. Właściwie od tego czasu wiedzieliśmy, że pomimo naszego wysiłku wojennego nie będziemy mogli wrócić do domów. Że Polska, oszukana i zdradzona przez aliantów, została wydana na łaskę czerwonego dyktatora. W dywizjonie wywieszono ogłoszenie, że dla Polaków, którzy mają rozpoczęte studia w Polsce, otwierają się możliwości dokończenia ich w Anglii. Zgłosiłem się więc.

Mój angielski dowódca zawezwał mnie i zażądał ode mnie decyzji, gdyż mógł mnie zatrzymać w dywizjonie, ale nie chcąc stać mi na drodze, pozostawił do mojego wyboru: czy pójść z dywizjonem do Włoch w randze majora, czy pójść na studia.

Zdecydowałem się pójść na studia i po obznajomieniu mego zastępcy z pracą w dywizjonie, zostałem relegowany do Londynu.

Był to czas, gdy konająca Trzecia Rzesza ostatnim paroksyzmem urządziła bombardowanie Londynu bombami V-1 i V-2. Bomby V-1 spowodowały największe zniszczenia w Londynie.

Ukończyłem studia w roku 1949 i otrzymałem pracę w firmie Electro Methods Ltd. w Edgware, a potem w Stevenage. Po roku byłem naczelnym konstruktorem. Po pięciu latach pracy zdecydowałem się na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracowałem początkowo w przemyśle, a potem przez 16 lat w służbie rządowej, w arsenale pracującym dla armii.

Po przejściu na emeryturę osiadłem w Hiszpanii. □

Roman Dąbek, Saltillo, Coahuila, Mexico

Pomnik dla Ludwika Kolankowskiego (1882-1956), pierwszego rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

W Toruniu, w miasteczku uniwersyteckim na Bielanych, w dniu 1 października 2001 roku, uroczystie odsłonięto pomnik poświęcony pierwszemu rektorowi i twórcy Uniwersytetu M. Kopernika – Ludwikowi Kolankowskiemu, również profesorowi Uniwersytetu Jana Kazimierza (UJK) we Lwowie w latach 1937-1944. Celem tej notatki nie jest przedstawienie pełnego biogramu Kolankowskiego, gdyż takie zostały już opublikowane, lecz przedstawienie czytelnikom „Semper Fidelis” tylko niektórych, mało znanych informacji z życia i działalności tego uczono.

W życiu Kolankowskiego daje się wyróżnić trzy, a może lepiej kwestię ujmując, cztery etapy. Pierwszy, obejmujący lata młodości, który można nazwać okresem stanisławowsko-lwowskim, drugi – krakowsko-warszawsko-wileńskim, trzeci – lwowsko-warszawskim i czwarty, ostatni etap – toruński. L. Kolankowski urodził się 21 VI 1882 r. w Nadwórnej koło Stanisławowa, w rodzinie wywodzącej się z drobnej szlachty. Studia historyczne odbywane we Lwowie (pod kierunkiem T. Wojciechowskiego, B. Dembińskiego i L. Finkla) zakończył w 1906 r. doktoratem. W 1905 r. rozpoczął praktykę w Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie. Po pery-

grynacjach, w czasie których prowadził działalność polityczną, naukową i społeczną w: Krakowie, Berlinie, Wilnie, Wiedniu i Warszawie, powrócił w 1937 do Lwowa, gdzie został profesorem zwyczajnym historii Polski na UJK. Odtąd dzielił swój czas między Lwów i Warszawę. Po wojnie, od 1 III 1945 r. organizował nowy uniwersytet w Łodzi.

Jednakże Minister Oświaty (d. 13.08.1945) deleguje prof. L. Kolankowskiego (wówczas prorektora uniwersytetu w Łodzi) do organizowania uniwersytetu w Toruniu. Prof. Czeżowski (1889-1981), którego rodowód jak i wiedza też były lwowskie, w piśmie (z d. 12.08.1945) napisał: „W najbliższym tygodniu ma nareszcie przybyć z Łodzi Kolankowski, jako mianowany rektor, w którego ręku jest skupiona cała władza i bez którego kroku naprzód nie można było uczynić” (...) „wczoraj rozmawialiśmy z Konradem (Górskim), który ma być naszym dziekanem, organizację personalną Wydziału. Dowiedziałem się, że w skład obsady ma wejść też pewna liczba lwowskich humanistów... Na psychologię jest zgłoszony Kreutz ze Lwowa...”. Była to kolejna zapowiedź o przybyciu niektórych profesorów lwowskich, którzy obejmą katedry na nowym uniwersytecie w Toruniu. W charakterze delegata ministra prof. Kolankowski pozostawał do 30 IX 1945, kiedy to powierzono mu aż do odwołania, pełnienie obowiązków rektora UMK.

Tak więc prof. Kolankowski jako pierwszy (ale nie jedyny wówczas) członek lwowskiego środowiska naukowego przybył do Torunia w dniu 22.08.1945 r. Pierwsze miesiące jego pobytu w Toruniu nie były łatwe – „jestem obecnie dość daleko od naszych stron, sprawując urząd Rektora Uniwersytetu w Toruniu. Swoją drogą czuję się tu dość obco i samotnie – mimo, że mam sporo zawodowych kolegów. Wszystko to jednak ludzie również tu obcy, głównie wysiedleni z Wilna, a więc także skłopotani i obciążeni troskami...” (z listu L. Kolankowskiego do Michaliny Serugowej, d. 29.09.1945). Niewątpliwie z biegiem dni, miesięcy, Kolankowski w Toruniu czuł się coraz lepiej.

Prof. L. Kolankowski poświęcił bardzo wiele sił i czasu w tworzeniu i organizowaniu uniwersytetu w Toruniu, rozpoczął też akcję ściągania ze wszystkich stron kraju lwowskich profesorów, w tym także z samego Lwowa. W tym też celu np. będąc na przełomie sierpnia i września 1945 r. w Krakowie, upoważnił kilku profesorów ze Lwowa (którzy już wcześniej transportami wysiedleńczymi przybyli do Krakowa) do przeprowadzenia rozmów na temat ewentualnego przejścia ich do Torunia. Np. w liście z d. 1.09.1945 w sprawie zatrudnienia profesorów lwowskich na UMK, prof. St. Hoszowski (1904-1987) informuje o swoich rozmowach z kadrą naukową z UJK i dalej pisze: „Profesorowie Hertleb, Czerny, Kuryłowicz, Kucharski, Bulanda jeszcze nie przyjechali. Przyjazd ich jest przewidywany na jesień. Niektórym z nich już posłano wyzew i propozycje katedr we Wrocławiu.” Z wymienionych w tym liście uczonych do Torunia ostatecznie przbyli: St. Hoszowski, K. Hartleb, Z. Czerny, E. Kucharski i W. Hejnosz. Takich „lwowskich” interwencyjnych listów, które pisali profesorowie: Łempicki, Czerny, Hejnosz, Hartleb i inni oraz którzy na zlecenie rektora Kolankowskiego, w Krakowie werbowali profesorów lwowskich do Torunia, było bardzo wiele. Przybycie profesorów lwowskich do Torunia za-



Fot. Roman Dąbek

Pomnik prof. L. Kolankowskiego, Toruń, Bielany, UMK.
1 X 2001 r.

pewne poprawiło samopoczucie Kolankowskiego. Godnym podkreślenia jest fakt, że członkowie lwowskiego środowiska naukowego bardzo aktywnie uczestniczyli w tworzeniu – a w latach następnych i rozwoju – Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu (będzie to tematem odrębnego artykułu).

Obowiązki rektorskie z nominacji pełnił prof. Kolankowski do 31 V 1947 r. W dniu tym po raz pierwszy w historii UMK odbyły się wybory rektora na rok ak. 1947/48 i 48/49. Rektorem na dwuletnią kadencję ponownie wybrany został prof. K. Kolankowski. Lecz niestety były to już ostatnie miesiące jego rektorstwa. Ten przedwojenny senator i działacz Obozu Zjednoczenia Narodowego, po wojnie zaś rektor, nie był już właściwą osobą na stanowisku rektora, bowiem na UMK: „Największym skupiskiem reakcji obecnie jest Senat Akademicki i profesorowie.” (cytat ze Sprawozdania Koła Akademickiego PPR za okres 1 XII 1946 do 13 III 1947 r.). Sytuacja powyższa spowodowała zapewne, że rektor Kolankowski, ze względów politycznych został zmuszony (d. 28 VI 1948) do rezygnacji i odwołany ze stanowiska rektora (d. 31.08.1948 r.). natomiast jeszcze tego samego roku, uchwałą Senatu UMK (d. 16.09.1948) nadano mu doktorat Honoris Causa UMK w Toruniu. Niestety, Minister Oświaty nie zgodził się na realizację tej uchwały.

W okresie swego rektorstwa, Kolankowski stał się postacią ogólnie znaną w Toruniu. Np. w miejscowej prasie drukowano jego przemówienia, wywiady z nim przeprowadzone oraz pisano o sukcesach i trudnościach nowego uniwersytetu, wówczas często cytowano jego nazwisko. Oto jak wspomina ówczesnie student, później profesor UMK prof. dr hab. J. Wojtowicz, zajęcia i ... „Wykłady prof. Kolankowskiego to było prawdziwe misterium. Sala była zawsze pełna. Słuchacze czekali w napięciu. Otwierały się drzwi, wkraczał jako pierwszy adiunkt – dr Adam Dygdała (później zastąpił go mgr Andrzej Tomczak). Rektor kroczył powoli, dostojnym krokiem, na końcu szedł pedel, który zostawał przy drzwiach, zamykał je i nie wpuszczał spóźnialskich. Wykładowcą był znakomitym, do wykładanego przed-

miotu (epoka jagiellońska) miał bardzo subiektywny, emocjonalny stosunek.”. Oto relacja na inny temat. „Razu pewnego na samym początku studiów stałem z kimś w korytarzu Collegium Maius. W pewnej chwili w głębi mrocznego dość korytarza pojawiła się wysoka postać starszego pana, sunącego rytmicznie i postukującego laseczką (ten stukot słyszę jeszcze dzisiaj po upływie kilku dziesiątków lat). Mijając mnie spojrzał na mnie ostro i powiedział: „a dzień dobry panu” – i pokuszył dalej. Zdziwiony, nic nie rozumiejący, odbaknąłem swoje „dzień dobry”, po czym natychmiast zapytałem kogoś przechodzącego, kim jest ten starszy pan? Odpowiedź brzmiała: „jak to? pan nie wie? to przecież rektor Kolankowski”. Nieco dalej prof. Wojtowicz napisał: ... „O Rektorze dużo w owym czasie mówiono w środowisku studenckim np. o jego zamiłowaniu do gry w szachy, przesiadywaniu w kawiarni „Europejska”. Krą-

żyło wśród nas powiedzenie jego żony (może tylko rze-kome?) „Kiedy ten Ludwik miał czas to wszystko napi-sać?” – to ostatnie dotyczyło oczywiście prac nauko-wych.

W r. 1949 prof. Kolankowski mianowany został dyrektorem Biblioteki Uniwersyteckiej UMK i prowadził też seminarium magisterskie (z którego wyszło kilku późniejszych znanych historyków) lecz: „Siły jego słabły, zaczęły się choroby. W rok po przejściu na emeryturę zmarł 19.03.1956 r.” i pochowany został na cmentarzu św. Jerzego w Toruniu.

Jeżeli dziś Uniwersytet M. Kopernika w Toruniu ma ugruntowaną pozycję w polskich i nie tylko polskich środowiskach naukowych, to należy pamiętać, że u początków jego świetności znajduje się pełna ofiarności i umiejętności działalność pierwszego rektora UMK prof. dr. Ludwika Kolankowskiego. □

Marek Rogalski

Wędrówki po Kresach – Szczerec

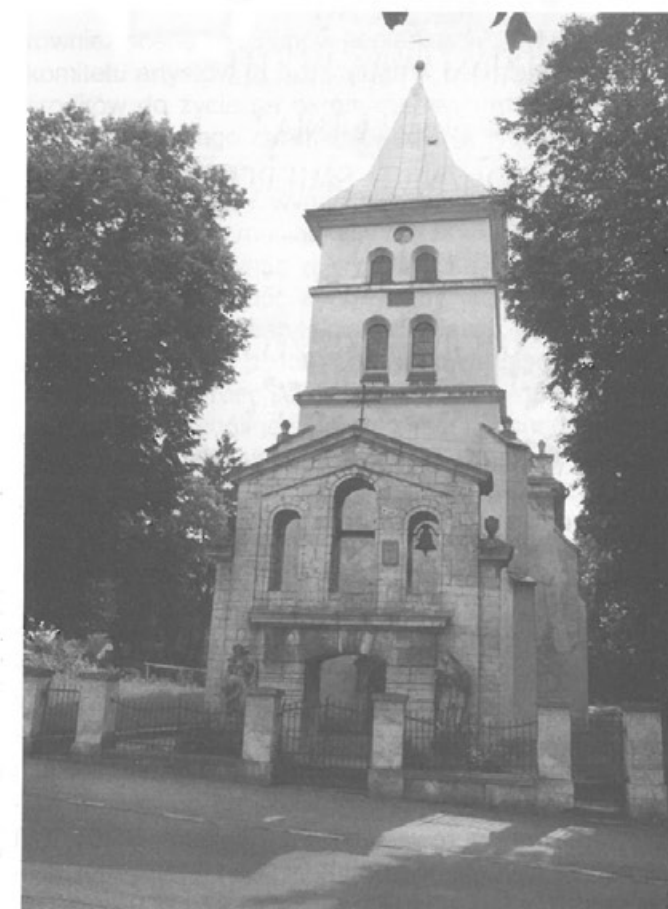
Ze Lwowa na południe, szosą na Drohobycz, przez „Zieloną Rogatkę”, polską wieś Sokolniki – nabiałowa baza zaopatrzenia Lwowa – przejeżdżamy przez Pustomyty! Proszę Państwa! Ta to też znana wszystkim miejscowość! Już w roku 1880-tym działał tu znany Zakład Kąpielowy p. Longina Sajo Dunka, właściciela Zakładu, jak i całego miasteczka! Wykorzystał on bowiem miejscowe źródła siarczane i budowa Zakładu była już czystą formalnością! Przysłowiowe dwa kroki dalej i jesteśmy w naszym Szczercu!

Istniał on już w 1131 r., kiedy to zawarli tam pokój dwaj skłóceni bracia: Włodzimierz ks. swinogrodzki i Rościław ks. przemyski. Po nich kupił Szczerec Hanko Schwarz ze Lwowa od bojara Oleszka Maleczkowicza. W 1397 r. Jan Tarnowski, starosta Rusi, nadał wójtostwo zasadzcy Mikołajowi z poleceniem przeprowadzenia lokacji, a po uzyskaniu potwierdzenia królewskiego, przeniósł miasteczko na prawo magdeburskie. XVI i XVII wiek – czas zniszczeń wojennych nie ominął i Szczerca. W 1786 r. starostwo szczerczeńskie zostało objęte przez kamerę austriacką.

Parafia i kościół – pw. Św. St. Biskupa

W literaturze występują różne daty erekcji parafii: 1391, 1397, 1410 r. Najbardziej prawdopodobna data, to 1397 r.: powstanie parafii z lokacją miasta. Zamiar fundacji kościoła odnotowany jest w dokumencie Jana Tarnowskiego z 04.01.1397 r. W 1787 r. parafię w Szczercu objęli franciszkanie. Najstarsze dzieje kościoła w Szczercu nie są znane. Wiemy, że w 1488 r. miejscowy pleban Mateusz wniósł skargę do konsystorza lwowskiego na posesora wsi – Stanisława, który zburzył kościół parafialny, a na jego miejscu zbudował sobie prywatną kaplicę. W 1526 r. kaplica ta, względnie wybudowany później kościół, został zniszczony przez najazd Tatarów. Odbudowany w 1556 r., niszczone 2 razy przez pożary: 1610, 1648 r. Odnotowano, że w 1762 r. kościół był w złym stanie technicznym. W 1774 r.

remont. Ściany były tynkowane, a posadzka z kamienia. Na dachu była wieżyczka na sygnaturkę. Plac wokół kościoła był obwiedziony murem kamiennym z bramką i daszkiem. Stała murowana dzwonnica z 3-ma dzwonami, przykryta daszkiem z krzyżem. Cztery ołtarze były snycerskiej roboty, malowane na



Fot. M. R.

Szczerec. Kościół parafialny pw. Św. Stanisława Biskupa powstały najprawdopodobniej w 1397 r.
Odbudowany w 1556 r.

niebiesko i złoczone. Nad arkadą tęczową – drewniany krucyfiks, kamienna chrzcielnica, konfesjonał i 12 ławek. W 1775 r. kościół otrzymał wielki dzwon ozdobiony napisem łacińskim. W 1793 r. następny dzwon. W 1812 r. dach pokryto blachą. W 1834 r. kościół uległ pożarowi – zawaliła się wieża. W 1840 r. założono nowe sklepienia, ambonę oraz sygnaturkę. W 1854 r. wzniesiono dzwonnice, potem pokryto ją tynkiem. Na początku XX w. Gronu Konserwatorów Galicji przedłożono projekt odnowienia i przebudowy kościoła opracowany przez Józefa Hornunga; poprawiony projekt przez Wojciecha Brettnera został zatwierdzony, a odnowienie nastąpiło w 1912 r. Po rekwizycji dzwonów przez Austriaków, w 1924 r. kupiono nowe dzwony (2) i wzniesiono nowe ogrodzenie od zachodu kościoła.

Po 1945 r. kościół jako jeden z nielicznych nie został zamknięty, a proboszcz rezydował na miejscu!

Opis kościoła

Usytuowany jest na pld.-wschód od rynku, przy wjazdowej ulicy od strony Lwowa, murowany z kamienia, otynkowany. Złożony z trójpłaszczyznowej nawy i niższego, dwupłaszczyznowego prezbiterium, zamkniętego trójbocznie.



Fot. J. Sz.

Kościół parafialny w Szczercu pw. Św. Stanisława Biskupa. Odbudowany w 1556 r. Pamiątkowa tablica

Od zachodniego – głównego wejścia przez kruchtę-wieżę przez półkoliście zamknięty otwór wejściowy dostajemy się do wnętrza kościoła. Chór drewniany wsparty na 2 słupach, dostępny schodkami z kruchty. Elewacje zwieńczone profilowanym gzymsem. Przy narożnikach nawy masywne przypory. W wieży na osi otworu wejściowego, marmurowa tablica z napisem: KRÓLOWI WŁADYSŁAWOWI JAGIELLE W 500-LETNIA ROCZNICĘ ŚMIERCI SKŁADA HOŁD GRÓD SZCZERZECKI 31 MAJA 1934. W drugiej kondygnacji wieży, na osi, tablica z czarnego marmuru z napisem: PAMIĄTKA GRUNWALDZKA 1410-1910. Nad nawą i prezbiterium dach dwuspadowy, nad przybudówkami pulpitowy, kryte bla-

chą. Na wieży dach namiotowy, zwieńczony kulą z krzyżem. Wieżyczka na sygnaturce wieloboczna, z ażurową latarnią, zwieńczona daszkiem z krzyżem. Wewnątrz 3 ołtarze, ambona drewniana polichromowana, złoczona (1840 r.), organy z 1890, krypta kamienna, puklowana.

Otoczenie kościoła

Od zachodu ogrodzony kutym, żelaznym płotem, z kamienną podmurówką i filarkami, a z pozostałych stron – kamiennym murem. Przed kościołem murowana dzwonnica wolnostojąca, dwukondygnacyjna po bokach z przyporami. Na osi kondygnacyjnej dolnej, przejście zamknięte łukiem odcinkowym, w obramieniu, zamkniętym gzymsem. W górnej kondygnacji 3 prześwity na dzwony, nakryte dwuspadowym daszkiem. Po bokach przejścia, rzeźby kamienne: Św. Anna i Św. Jan Nepomucen – XVIII w. Dzwony: „Jan”, „Florian”, „Stanisław” – wykonała firma Felczyńskich, Przemyśl 1928 r.

Nie tylko datą powstania może szczyścić się miasto SZCZERZEC; nie tylko jako miasto królewskie króla Władysława Jagiełły; oto u schyłku XIX w. 31 marca 1892 roku, czyli ponad 100 lat temu, urodził się tutaj znany wszystkim Polakom, późniejszy kresowy zagończyk – Stanisław Władysław Maczek! W dniu wybuchu I-szej wojny światowej powołany do wojska austriackiego jako oficer rezerwy, wysłany na front włoski. Rok 1918 – porucznik St. Maczek jest dowódcą kompanii piechoty, już w wojsku polskim, w walkach o Małopolskę Wschodnią, o swój ukochany LWÓW! Za to awansuje na kapitana! Zostaje oficerem sztabu 5 Dywizji Piechoty. W stopniu majora obejmuje dowództwo 26 pułku piechoty. W latach 1923-24 jest słuchaczem Wyższej Szkoły Wojennej, po której awansuje na ppłk. dypl. zostając kolejno: z-cą do-cy 76 p.p., dowódcą 81 p.p., d-cą piechoty dywizyjnej (pułkownik), a w 1938 r. dowódcą 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej. W wojnie 1939 r. jako jednostka zaporowa w Armii „Kraków” opóźniała działania niemieckich sił pancernych, cofając się przez Łańcut, Rzeszów, Jordanów do Lwowa, w rejon Kulikowa – Zboisk. 17 pamiętnego września napadli na Polskę „WYZWOLICIELE”! Ze swoim szefem sztabu przedostał się do Francji, gdzie został gen. brygady. Tu zabiegał u Francuzów o stworzenie brygady zmotoryzowanej. Po jej sformowaniu wziął udział w osłanianiu wciąż cofających się oddziałów armii francuskiej. Poddanie się Francji i pełne forteli przedostanie się do Anglii to dalsze losy gen. Maczka i Jego żołnierzy. W maju 1944 r. nowa dywizja osiągnęła gotowość bojową. Przeprowadzona do Normandii we Francji, weszła do akcji 8 sierpnia 1944 r.. W walkach podchodzą do miejscowości Chambois i wzgórza nazwanego przez Polaków „maczugą” – nazwa przyjęta formalnie w literaturze wojskowej. Nastąpiły dni zażartej walki z wycofującymi się oddziałami różnych formacji rozbitej armii niemieckiej. I zwycięstwo!... Po krótkim odpoczynku, dywizja rusza przez półn. Francję, wzdłuż kanału La Manche, oswobodzając kolejne miasta, forsując rzeki i kanały, zdobywając: Abbeville, Ypres, Brede i bardzo broniony przez Niemców Moordijk. Na wiosnę 1945 r.

Alianci wznowili działania i dywizja zdobywa kolejne miasta, ale już na terenie Niemiec, podchodząc pod Wilhelmshaven. Tu zastaje dywizję koniec wojny. Ostatni akord: gen. St. Maczek jako dowódca Polskich Sił bierze udział w podpisywaniu przez Niemców bezwarunkowej kapitulacji! Po zakończeniu wojny pozostaje w Anglii. Na wieczną wartę odchodzi w dniu 11 grudnia 1994 roku, w wieku 102 lat.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

W kościele, dnia 8 maja 1996 r. umieszczono taką oto tablicę:

SEMPER FIDELIS
WIERNI PAMIĘCI
NIEZŁOMNEGO ŻOŁNIERZA
GEN. STANISŁAWA MACZKA
SYNA ZIEMI LWOWSKIEJ
ur. 31 marca 1892 r. w SZCZERCU
zm. 11 grudnia 1994 r. w ANGLII
TEN ZNAK UMIEŚCILI RODACY
LWÓW SZCZERZEC 8 MAJA 1996.



Fot. M. R.

Szczerzec. Pamiątkowa tablica wewnątrz kościoła pw. Św. Stanisława Biskupa (1556 r.)

Piotr Marek Stański

Okoliczności powstania i otwarcia Teatru Wielkiego we Lwowie

Na mocy cesarskiego przywileju, uzyskanego przez Stanisława Skarbka w 1837 r., wzniesiony został specjalnie na potrzeby teatru budynek, oddany miastu w bezpłatne użytkowanie na pięćdziesiąt lat. Stanął on przy ówczesnym Krakowskim Przedmieściu, według planów Ludwiga Pichla, dostosowanych do miejscowych warunków przez Jana Salzmana.

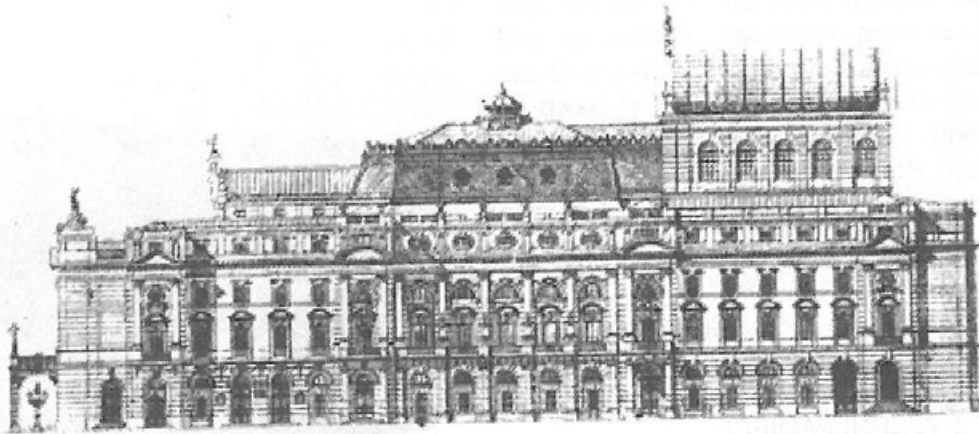
18 marca 1842 r. odbyło się ostatnie przedstawienie „Piątego Aktu” Józefa Korzeniowskiego w zaadaptowanym na teatr pofranciszkańskim kościele św. Krzyża przy placu Castrum, utworzonym na miejscu dawnego Niskiego Zamku. Natomiast dziesięć dni później otworzył swe podwoje Teatr Skarbkowski, którego widownia pomieścić mogła 1460 osób. Jak donosiła „Gazeta Lwowska” nr 38 z 31 marca 1842 r. „podczas gdy się załona podnosi, podciągają i lampion w środku wiszący, aby amfiteatr był w cieniu, przez co dla widzów lepiej scena się wybija”. Zarazem jednak według współczesnych przekazów dawać się miały we znaki przeciągi oraz brak foyer. Inauguracji dokonał zespół niemiecki, przedstawiając sztukę Franza Grillparzera „Życie snem”, a nazajutrz zespół polski dał „Śluby panieńskie” Aleksandra Fredry. W tym miejscu nadmienić należy, że polska trupa dzieliła budynek z niemiecką, grając w „gorsze” dni (poniedziałki, środy, piątki). W niepodzielne władanie objęła tę scenę dopiero w roku 1871, wraz z ustanowieniem galicyjskiej autonomii.

We wspomnianej komedii Fredry w roli swojej imienniczki wystąpiła Aniela Aszpergerowa. Ta sama aktorka 58 lat później, 9 września, zasiadła w jednej z łóż podczas ostatniego w tym gmachu przedstawienia, zamykającego cykl historycznych składanek, zawierających

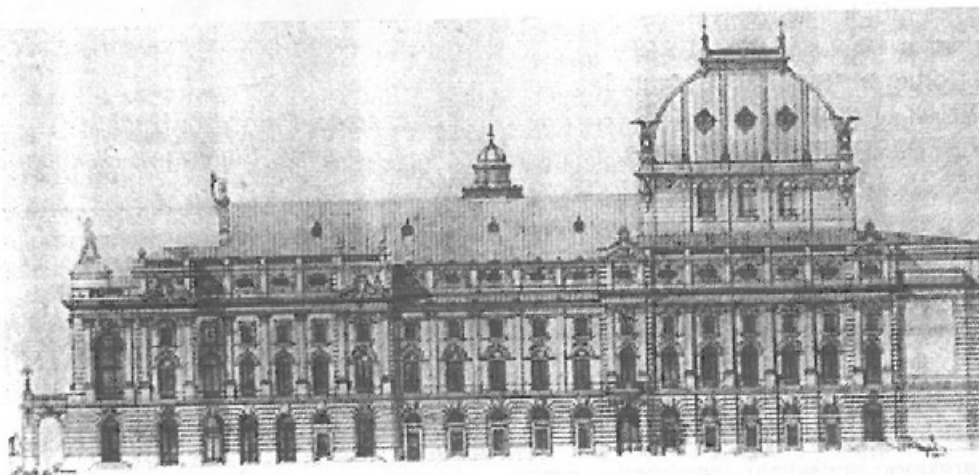
również scenę ze „Ślubów panieńskich”. Były to imprezy komitetu artystów, zawiązanego w celu zapewnienia im środków do życia na okres interregnum po rezygnacji dotychczasowego dyrektora Ludwika Hellera, a przed nastaniem nowego.

28 marca 1892 r. wygaś przywilej Stanisława Skarbka i odtąd miasto musiało z tytułu użytkowania budynku płacić rocznie czynsz w wysokości 17 tysięcy złotych reńskich, a więc dość wygórowany, jeśli zważy się daleko posuniętą dekapitalizację obiektu. W tej sytuacji zdecydowano się postawić obok nową siedzibę Teatru Miejskiego. Na rozpisany z tej okazji konkurs, w którym uczestniczyć mogli jedynie architekci pochodzenia polskiego lub ukraińskiego, wpłynęły ostatecznie cztery prace, przy czym dwie zdyskwalifikowano z powodu przekroczenia terminu. Drugą nagrodę przyznano twórcy Teatru Miejskiego w Krakowie – Jerzemu Feintuch-Zawiejskiemu – którego projekt stanowił syntezę eklektycznych wzorców budownictwa teatralnego z terenów Austro-Węgier i Niemiec. Zwycięzcą okazał się natomiast Wielkopolek Zygmunt Gorgolewski, dyrektor miejscowej Szkoły Przemysłowej. Przypadło mu 6 tysięcy koron oraz prawo wzniesienia budowli, która stała się dziełem jego życia. Koszt całej inwestycji oszacowano na milion koron (ostatecznie zamknął się w kwocie półtora miliona), z czego władze miejskie wyasygnowały siedemset tysięcy, a krajowe, czyli Galicji, dołożyły pozostałe trzysta tysięcy.

30 kwietnia 1898 r. położono kamień węgielny, a już dwa lata później oddano gmach do użytku. Niczym Bièvre pod Operą Paryską Garniera, tak zasklepiona Peltew toczy swe wody pod lwowskim teatrem, co spo-



Jerzy Feintuch-Zawiejski – Projekt Teatru Miejskiego we Lwowie (boczna fasada) – I wersja



Jerzy Feintuch-Zawiejski – Projekt Teatru Miejskiego we Lwowie (boczna fasada) – II wersja

wodowało skądinąd osunięcie się fundamentów, tak że wbrew pierwotnym zamierzeniom wchodzi się do niego wprost z poziomu ulicy, a nie po paradnych schodach. Posiada on cechy stylowe włoskiego renesansu, wzbogaconego pierwiastkami klasycyzującymi (wieńczy fasadę tympanon). Najmniej fortunnym rozwiązaniem okazała się kopuła nadscenia, przypominająca nieco architekturę ówczesnych dworców. Zwrócił już na to uwagę obecny na uroczystości otwarcia warszawski pisarz Antoni Sygietyński (ojciec Tadeusza, założyciela „Mazowsza”), pisząc w „Kurierze Lwowskim” z 9 października 1900 r.: „Jeśli chodzi o stronę zewnętrzną, to teatr lwowski imponuje przede wszystkim rozmiarami, a następnie wybornie tłumaczy się w całości.”

Nie jest to zbieranina przystawek i przybudówek, westybuli, sali i sceny nakrytej oddzielnym dachem, ale gmach jednolity, związany w korpusie liniami, a fantastycznie uwieńczony w górze żelazną kopułą z takąż glorią na samym wierzchu. Nie czuć w tym wdzięku artystycznego, to prawda, ale jest w tym logika.” Widownia obliczona została na 1200 osób, przeważając w tym względzie ówczesny Teatr Wielki w Warszawie. Szczególnie reprezentacyjne były dwie loże proscenowe I piętra: cesarska i marszałkowska, z salonami i odrębnymi toaletami, przy czym do pierwszej prowadziło osobne wejście. Zastosowano też najnowocześniejsze rozwiązania technologiczne, jak system betonowych fundamentów, hydrauliczna maszynaria sceniczna, oświetlenie elektryczne i centralne ogrzewanie.

O tym ostatnim tak pisał warszawski „Tygodnik Ilustrowany” nr 40 z 1899 r.: „System ogrzewania będzie także bardzo praktyczny, uniemożliwiający przeciągi i wznoszenie się kurzu w sali widzów, rozprowadzający normalnie świeże powietrze ogrzane, a uprowadzający zepsute powietrze, użyte już przez publiczność”. A przy tym – jak ogólnie podkreślano – wszystko to było dziełem rodzimego przemysłu (np. konstrukcje żelazne wykonała nowosądecka fabryka wagonów) i wzniesione własnymi, miejscowymi siłami.

Zgodnie z duchem epoki i jej gustem, zdobnictwo elewacji oraz wystrój wnętrz posiadały wybitnie alegoryczny charakter. W ryzalitach, okalających loggie na wysokości foyer, umieszczono kamienne statuy Tragedii (po prawej) i Komedii (po lewej) w siedzących pozach, a ich szczyty wieńczyły miedziane figury Poezji (z prawej) i Muzyki (z lewej) oraz uskrzydlonego Geniusza na tympanonie. Podobne zasady rządziły polichromią w palarni oraz kompozycją mitologiczną na kurtynie Henryka Siemiradzkiego, bliźniaczej wobec krakowskiej. Na marginesie warto wspomnieć o unikalnym przyozdobieniu żelaznej kurtyny według miasta, widzianego od strony Łyczakowa, a wykonaną przez teatralnego dekoratora Stanisława Jasieńskiego.

I wreszcie nadszedł z dawna wyczekiwany dzień inauguracji – 4 października roku 1900 – o którym tak pisała nazajutrz „Gazeta Narodowa”: „po dwutygodniowej spiekocie, dzień wietrzny i mniej upalny, niebo zasnuwane chmurami”. Z tej okazji prezydent Lwowa Godzimir

Małachowski zwrócił się z apelem do członków rady miejskiej „aby jawili się (...) w strojach polskich. Dla wszystkich zresztą obowiązuje strój galowy. Spodziewać się należy, że nie tylko radni, ale i liczni zaproszeni goście pojawią się w strojach narodowych” („Dziennik Polski” z 3 października). Spotkało się to jednak z częściowym zaledwie odzewem, albowiem według późniejszych relacji prasowych na uroczystościach przeważały fraki i gdzieś tam tylko można było dojrzeć kontusze, a nawet sukmanę posła Jakuba Bojki.

Po mszy, odprawionej w Katedrze Łacińskiej o godzinie jedenastej, zebrano się w teatralnym westybulu, gdzie w obecności m.in. pastora Grafla i rabina Ezechieła Caro, poświęcenia dokonał arcybiskup ormiański Izaak Issakowicz, ponieważ stolice dwóch pozostałych obrządków pozostawały nieobsadzone po śmierci ich ordynariuszy, co odnotowywał Akt Pamiątkowy, podpisywany przez zgromadzonych. Po oficjalnych przemówieniach kolejnych uczestników (prezydenta miasta, namiestnika Leona Pinińskiego, marszałka krajowego Stanisława Badeniego) rozlegały się hymny: austriacki, polski i czeski. Ten ostatni odegrano na cześć praskiej delegacji z burmistrzem Vladimirem Srbem i byłym dyrektorem Narodowego Divadla Františkem Adolfem Šubertem. Całości dopełniła okolicznościowa kantata Jana Galla do słów Witolda Schreibera z Tarnopola.

Wieczorem odbyło się premierowe przedstawienie. Otworzyło je poetycko-choreograficzne widowisko „Baśń nocy świętojańskiej”, ze słowami Jana Kasprowicza i oprawą muzyczną Seweryna Bersona. Po nim nastąpiły „Odlutki” Aleksandra Fredry, najbardziej związanego z Lwowem pisarza scenicznego. Głównym punktem programu była jednak dwuaktowa opera werystyczna Władysława Żeleńskiego „Janek”, specjalnie na tę okazję zamówiona i skomponowana. Układ ten nie był przypadkowy, gdyż inaugurowany teatr miał być w równej mierze domem artystycznym dramatu literackiego, jak i muzycznego (już niebawem miały tu mieć miejsce pierwsze polskie wykonania kolejnych ogniw Wagnerowskiego cyklu „Pierścień Nibelunga”).

Dyrekcję nowej instytucji powierzono Tadeuszowi Pawlikowskiemu, który zdążył się już sprawdzić w tej roli, kierując analogiczną placówką w Krakowie. „Dziennik Polski” z 4 października sformułował pod jego adresem następujące postulaty, które zwłaszcza obecnie znów nabrały aktualności: „teatr ma także niezaprzeczenie wartość czynnika cywilizacyjnego i społecznego. Ma ją, jeśli wierzy niezachwianie wyższym ideałom, nie ogranicza się na poziomie przedsiębiorstwa finansowego, lecz usiłuje oddawać swemu społeczeństwu usługi, jako propagator ojczystego słowa, jako krzewiciel zdrowych haseł i idei, jako nauczyciel i przewodnik nieskażonego niczym smaku estetycznego”. Anachronicznie brzmi natomiast z dzisiejszego punktu widzenia zapowiedź południowego bankietu w ratuszu, uświadamiając zarazem przepaść, jaka dzieli nas od tamtych czasów w zakresie obyczajowości: „Po uroczystości bezpośrednio odbędzie się przyjęcie w sali ratuszowej – po staropolsku poczęstunek – na które rada miejska zaprosiła uczestników zebrania, naturalnie tylko mężczyzn. Artystki nie są proszone, bo ani charakter, ani pora zebrania nie nadawała się do zapraszania pań. Natomiast artystki zaproszone zostały na główny akt uroczystości, tj. poświęcenie, jakkolwiek z reguły pań nie proszono. Wieczorem odbędzie się również męskie zebranie u marszałka krajowego”. Z kronikarskiego obowiązku godzi się odnotować, że w tym ostatnim przypadku usprawiedliwione to było nieobecnością Cecylii Badeni z powodu żałoby po śmierci matki. Panie dopuszczono natomiast do rautu w Kole Literackim. Wydany on został po drugim spektaklu 5 października na cześć Tadeusza Pawlikowskiego, w którego ręce toast perswadował Ludwik Solski.

W przywoływanym „Dzienniku Polskim” dano ponadto wyraz przekonaniu, że „wzniesiliśmy twierdzę, która ma być po wieczne czasy nie tylko świadkiem wymownym naszej miłości i szacunku dla sztuki, ale także jednym z ognisk polskiej oświaty”. Podobne akcenty znalazły się również w przemówieniach, wygłoszonych na ceremonii inauguracji. Zygmunt Gorgolewski nawoły-



Teatr Miejski we Lwowie

wał, „aby ten budynek poświęcony sztuce narodowej był rzeczywiście przybytkiem sztuki w najsłabszym znaczeniu, aby w nim długie lata i wieki rozbrzmiewała polska mowa i pieśń serdeczna oraz uczucie narodowe, których w innych dzielnicach polskich publicznie wyznawać nie wolno”, a Goźdźmir Małachowski zapewniał, że „w tym gmachu i z niego brzmieć będzie zawsze nasza droga mowa ojczysta na użytek miasta, narodu i wielkopomną sławę polskiego imienia”. Szczególnie z dzisiejszej perspektywy zdania te nabierają gorzkiego posmaku. Dla równowagi warto jednak nadmienić, że z kolei w statucie niemieckiego Teatru Miejskiego w Poznaniu (dziś Teatr Wielki im. Stanisława Moniuszki)

zastrzeżono, że w jego murach nigdy nie padnie polskie słowo. Stało się inaczej, choć częściowo zapis ten odżył, odkąd opery grywa się w oryginalnych wersjach. We Lwowie natomiast w nowszych czasach polski język i sztuka powróciły dwukrotnie w progi Teatru Wielkiego (obecnie Ukrainiejskiej Opery im. Salomei Kruszelnickiej). Po raz pierwszy w dniach 20-24 października 1990 r. za sprawą gościnnych występów warszawskiego Teatru Wielkiego „Halką” i „Strasznym dworem” (granym tu osiem lat wcześniej po ukraińsku jako „Zaczarowany zamek”). 12 października 1999 roku zagrano natomiast „Credo” Krzysztofa Pendereckiego pod dyktando samego kompozytora. □

Witold Reiss

„Nie pisz, a daj na Berdyczów”

W listopadzie 2002 r., w ramach społecznej działalności Pełnomocnika Oddziału Stołecznego TMLiKPW ds. polskich szkół na Ukrainie, zawędrowałem do Berdyczowa. Miasto i jego historia całkowicie mi do tej pory nieznane, kojarzone jedynie z powiedzonkiem, które znała kiedyś cała Polska „Pisz do mnie na Berdyczów” jako synonim „Pipidówki”, głębokiej prowincji skąd do świata daleko, gdzie niewiele się dzieje, zaskoczyło mnie licznymi śladami i zabytkami polskości z czasów Pierwszej Rzeczypospolitej, a co najważniejsze – liczną i prężną polską diasporą, która przetrwała dwustuletnią carską i sowiecką rasyfikację. Obecność dużego skupiska Polaków w tym mieście (na 89,0 tys. mieszkańców, 4100 osób zadeklarowało narodowość polską w ostatnim spisie powszechnym Ukrainy z grudnia 2001 r.) – niestety słabo znanego i wspomaganego przez środowiska kresowe w Kraju i „Wspólnotę Polską”, której działalność głównie skupia się na sąsiednim Żytomierzu, wyzwały potrzebę zwrócenia uwagi publicznej w Kraju na problemy i potrzeby rodaków w Berdyczowie. Omówiliśmy sprawę w Oddziale Stołecznym TMLiKPW. Prezes Oddziału pan Ryszard Orzechowski wymyślił i rzucił hasło akcji:

„Nie pisz, a daj na Berdyczów”

W aspekcie tego hasła chciałbym przybliżyć Kresowiakom i ich Sympatykom w Kraju środowisko polskie w Berdyczowie i przypomnieć najciekawsze polskie akcenty w historii tego miasta.

Oto jej skrót, zaczerpnięty ze zbiorów Biblioteki Narodowej.

Na mocy traktatu z 1366 r. ziemia Halicka, Belska i Chelmska zostały przy Polsce – reszta Wołynia przy Litwie. Wielki Książę Litewski, Świdrygiello, najmłodszy brat Króla Polski Władysława Jagiełły, nadał okolice Berdyczowa – bezludną pustkę – namiestnikowi putywelskiemu Kalenikowi, protoplaście rodu Tyszkiewiczów. Poddany Kalenika, przewłaskiem Berdycz, założył nad rzeką Hnytopiat chutor, który od jego imienia zwali Berdyczewem. Dziedzicami tej osady Berdycz byli wnukowie Kalenika, którzy od swojego ojca Tyszki przezwali się Tyszkiewiczami.

Pierwsza wzmianka o wsi Berdyczów figuruje w dokumencie rozgraniczenia Polski i Litwy za Zygmunta Augusta w 1548 r. – jako własności Fedora Tyszkiewicza. Syn Fedora, Janusz Tyszkiewicz, wyniesiony na wojewodę kijowskiego, towarzyszył bitew hetmanów Wi-

śniowieckiego, Koniecpolskiego i Żółkiewskiego, wzięty do niewoli tatarskiej w 1627 r. W niewoli miał widzenie – zakonników modlących się do Matki Boskiej o jego uwolnienie. Wtedy to ślubował, że jeśli zostanie wyzwolony, to zbuduje na cześć Matki Boskiej Kościół i klasztor, co też uczynił. Na jego prośbę biskup kijowski Andrzej Szoldryk w 1634 r. sprowadził do Berdyczowa Karmelitów Bosych, gdzie na Łysym Wzgórzu nad rzeką Hnytopiat Tyszkiewicz zbudował tzw. Dolny Kościół i klasztor z murami obronnymi. Nadał też zakonnikom wielkie obszary ziemi i kilka wsi koło Berdyczowa, a przede wszystkim podarował dla budowanego kościoła obraz Najświętszej Maryi Panny, znajdującej się od dawna w posiadaniu rodu Tyszkiewiczów. Z obrazem tym wiązały się dalsze dzieje klasztoru i Berdyczowa jako ostoji katolicyzmu i polskości na Kresach. Obraz o rozmiarach 1,5 m x 1,0 m był doskonałą kopią obrazu Matki Bożej Śnieżnej z kościoła Majoris w Rzymie, namalowany ok. 352 r., podobno przez świętego Łukasza. Obraz z upływem lat nabierał rozgłosu jako cudowny na całych Kresach I Rzeczypospolitej; do 1756 r. zanotowano 263 cudy w tym 14 wskrzeszeń umarłych.

Komisja wyznaczona przez biskupa kijowskiego, Samuela Ożgę 7 maja 1752 r. uznała obraz za cudowny. W związku z tym Karmelici powzięli myśl ukoronowania obrazu. 28 stycznia papież Benedykt XIV wydał pozwolenie i sam ufundował dwie szczerzłote korony ozdobione drogocennymi kamieniami oraz przysłał do kościoła berdyczowskiego ciało męczennika, żołnierza, św. Teodora wraz z częścią chorągwi św. Jerzego z dedykacją: „Dla obrony i opieki tamtych krajów”. Akt koronacji odbył się 30 października 1757 r.

Obraz umieszczono na ołtarzu z napisem:
Królowa i Ozdoba
Stepów Ukrainy, Wzgórzy Podola i Wołyńskich Lasów
Przecudowna w Berdyczowskim Obrazie
Marya

W dalszej historii obraz był kilkakrotnie okradany i ograbiony z drogocenności, ale zawsze ofiarnością społeczeństwa Kresów odtwarzany.

W 1853 roku papież Pius IX powtórnie wydał dekret koronacyjny i ofiarował nowe korony na cudowny obraz.

W latach powstań i rebelii kozackich Karmelici uciekli z obrazem do Lwowa, gdzie przebywał w kościele Karmelitanek Bosych w latach 1648 do 1721 roku tj. przez 73 lata. Do dzisiaj obraz jest czczony przez

katolików i greko-katolików Ukrainy; miejsce pielgrzymek i corocznych uroczystości.

Wracając do historii miasta należy odnotować jeszcze kilka szczególnych wydarzeń związanych z klasztorem. W 1664 roku Berdyczów i okolice przeszły we władanie rodu Zawiszów, a od 1734 roku – rodu Radziwiłłów.

Ci wzniesli w latach 1739-1754 tzw. „Góry Kościół” i rozbudowali zespół klasztorny według projektu architekta Jana de Witte – kościół murowany w kształcie krzyża łacińskiego, bazylikowy, trzynawowy z kopułą oraz klasztor w kształcie czworoboku z kwadratowym dziedzińcem w środku.

Zespół klasztorny otoczono murem obronnym ze strzelnicami, basztami i fortyfikacjami – miejsce postoju stałej wojskowej załogi. W starej części klasztoru znajdowała się podziemna część – więzienna, gdzie w 1704 roku siedział kozacki ataman Palij, uwięziony przez hetmana Mazepę, sprzymierzeńca cara Rosji Piotra I.

W 1758 roku król Polski August III udzielił zezwolenia i nadał przywilej klasztorowi o.o. Karmelitów Bosych w Berdyczowie na założenie własnej drukarni, która funkcjonowała od 1758 roku do 1844 roku pod nazwą „Drukarnia Góry Karmelu Fortecy N.M.P.”. Drukarnia – tłocznia i sztycharnia – wślawiła się na całą ówczesną Rzeczpospolitą drukiem kalendarza gospodarczego, który miał olbrzymie powodzenie wśród szlachty i mieszczan. Karta druku kalendarza przeplatana była kartą czystą, na których całe pokolenia pisały najważniejsze zdarzenia rodzinne, ciekawostki i rozporządzenia gospodarskie. Dochód ze sprzedaży kalendarza przeznaczony był na utrzymanie szkoły przy klasztorze. Biblioteka Ossolińskich we Lwowie posiadała do 1939 roku w swoich zbiorach 8 unikalnych dzieł tej drukarni z lat 1765-1785. Drukarnia posiadała własną fabrykę papieru. Piękne i okazałe czcionki przewyższały wszystkie jakie były wtedy w Polsce; drukarnia sławiła się też znakomitymi rytownikami, najslawniejszy z nich – Teodor Rakowiecki. W 1844 roku rząd carski skasował drukarnię jako symbol polskości „i niebłagonadziejności”.

Z najistotniejszych wydarzeń z okresu schyłku I Rzeczypospolitej związanych z Berdyczowem należy wymienić:

1. Pobyt króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego w 1781 roku i w 1787 roku w Berdyczowie.

On też w 1765 roku nadał miastu przywilej organizowania w Berdyczowie, położonym na handlowym szlaku między Wołyniem a Podolem, wielkich jarmarków przez co ogromnie wzrosło znaczenie miasta na Ukrainie.

Dość powiedzieć, że na takie doroczne jarmarki jak Onufriewski czy Uspieński przypędzano do 150,0 tys. sztuk bydła; było tu też centrum handlu zbożem Wołynia i Podola. W związku z tym znacznie zwiększył się napływ Żydów do Berdyczowa, którzy gnębieni w imperialnej Rosji znaleźli tu swoją ukraińską stolicę (w 1884 roku na 72,4 tys. mieszkańców Berdyczowa – 63,0 tys. stanowili Żydzi).

2. W 1768 roku Kazimierz Puławski, przywódca Konfederacji Barskiej po rozbiciu konfederatów pod Żytomierzem schronił się z wojskiem w fortecy berdyczowskiej, gdzie przez 17 dni bronił się przed armią generała carskiego Kreczetnikowa, po czym, z powodu braku amunicji, na mocy układów, opuścił fortecę.

W 1792 roku na rozkaz księcia Józefa Poniatowskiego usunięto z fortecy berdyczowskiej załogę.

3. W 1863 roku, po upadku powstania styczniowego, rząd carski skonfiskował klasztor. Zakonnicy rozjechali

się do innych klasztorów, a w pomieszczeniach poklasztornych ulokowano policję i straż miejską; resztę pomieszczeń oddano Żydom pod sklepy i skład. Dla potrzeb religijnych zostawiono tylko Górny Kościół.

4. Z upadkiem Rzeczypospolitej wiąże się upadek Berdyczowa, jako ośrodka kultury polskiej i centrum handlowego ziemi wołyńskiej.

Po 1863 r. nastąpiła masowa wywózka szlachty i inteligencji polskiej na Syberię, chłopstwo rusyfikowano, doprowadzono do ruiny wielkie okoliczne latyfundi magnackie Tyszkiewiczów i Czartoryskich i dwory szlacheckie.

Proces przechodzenia ziem polskich w obce posiadanie, na przykładzie powiatu żytomierskiego (obejmował Berdyczów), ilustrują następujące dane za okres dwudziestu lat (dane w dziesięcinach; jedna dziesięcina = 1,0925 ha):

Ziemia we władaniu:	1865 r.	1885 r.
– Polaków	2776,0 tys.	1889,0 tys.
– Ruskich i Ukraińców	145,0 tys.	663,0 tys.
– Niemców	0,0 tys.	139,0 tys.
– Żydów	30,0 tys.	250,0 tys.

Jerzy Stępowski w „Eseju Berdyczowskim”, który ukazał się na łamach paryskiej „Kultury” opisał swoją młodzieńczą podróż, którą odbył w 1909 roku po obrzeżach dawnej Rzeczypospolitej Jagiellońskiej. Píše: „dawna Rzeczpospolita zostawiła w tym kraju niezliczone grupy społeczne – narodowościowe, wyznaniowe i zawodowe; każda wydawała się zamknięta w swym języku i obyczaju, bez żadnej więzi i nawet bez bliższego kontaktu z innymi”.

Żeby zakończyć historię losów najznajomitszego obiektu Berdyczowa – kościoła i zespołu klasztorowego – odnotowujemy, że Karmelici powrócili do Berdyczowa w 1918 roku, ale znowu w 1926 roku cały obiekt przeszedł w posiadanie władz rządowych – tym razem sowieckich. Górny Kościół zamieniono w muzeum, a w dolnym urządzono kino.

Cudowny obraz zachowano jako zabytek artystyczny. W 1941 roku w czasie napadu Niemców na ZSRR wybuchł pożar – mury kościelne, chociaż bardzo zniszczone – ocalały. Dolny kościół zachował się w dobrym stanie. Niestety cudowny obraz spłonął w tym pożarze.

Po II wojnie światowej kilkakrotnie na krótki okres Górny Kościół oddawano wiernym i znowu odbierano; ostatecznie zwrócono go w 1991 roku po rozpadzie ZSRR i utworzeniu niepodległej Ukrainy, lecz bez głównej części klasztornej, w której aktualnie funkcjonuje państwowa szkoła.

Kolejną kopię cudownego obrazu, na podstawie opisu i fotografii z 1928 roku wykonała krakowska artystka-malarka pani Bożena Sowińska. W 1997 roku obraz był po raz trzeci (w Krakowie w kościele św. Jadwigi) poświęcony i koronowany przez Papieża – tym razem Polaka Jana Pawła II i zwrócony Karmelitom z Berdyczowa.

Aktualnie proboszczem kościoła NMP jest ksiądz Benedykt Krok, przeorem klasztoru o. Piotr Gewalt.

W części klasztoru działają Karmelitanki Bose, prowadzą szkołę sobotnio-niedzielną; wydawany jest tutaj rocznik w języku polskim pt. „Zamkowe wzgórce”.

Następnym ważnym zabytkiem i mocnym polskim akcentem Berdyczowa jest Kościół i Parafia Św. Barbary, zbudowany w 1759 roku. Słynny przede wszystkim tym, że tutaj 14 marca 1850 roku odbył się ślub Eweliny



Kościół św. Barbary w Berdyczowie, gdzie proboszczem jest ks. Albert Galecki. Fot. St. Parille

Hańskiej z Rzewuskich z Honoriuszem Balzakiem. parafianki tego Kościoła, właścicielki olbrzymich domów i wspaniałego pałacu w pobliskiej Wierchowni. Balzak mieszkał i tworzył w Wierchowni przeszło dwa lata – od 13 września 1847 roku do 25 kwietnia 1850 roku.

W latach 1930 Kościół został zniszczony przez sowieńców (głównie fasada i interior), a ostatecznie w 1957 roku przerobiony na magazyn i salę sportową – nawet podzielono stropem na dwa piętra. Po rozpadzie ZSRR Kościół w 1992 roku, staraniem środowiska polskiego w Berdyczowie, odbudowano, jednakże z powodu braku środków nie usunięto dzielącego nawet stropu. Z powodu braku izolacji pionowej i poziomej nastąpiło zawilgocenie i zagrzybienie ścian Kościoła do wysokości 1,5 metra, co wymaga natychmiastowych prac remontowych o szacunkowej wartości około 5 tys. dolarów. Usunięcie stropu dzielącego nawet w celu przywrócenia Kościołowi pierwotnego wyglądu architektonicznego wymaga dodatkowych kilku tysięcy dolarów.

Aktualnie – listopad 2002 rok – przy Kościele i Parafii św. Barbary działają:

- Szkoła Sobotnio-Niedzielną dla Młodzieży,
- Szkoła Języka Polskiego dla Dzieci i Dorosłych,
- Niedzielną Szkoła Katechetyczna dla Dzieci, Sierot z Internatu.

Proboszczem parafii i dziekanatu jest od 1998 roku ksiądz Albert Galecki, który działa nie tylko na terenie parafii, ale i w miejskich państwowych szkołach, gdzie coraz więcej dzieci uczy się języka polskiego.

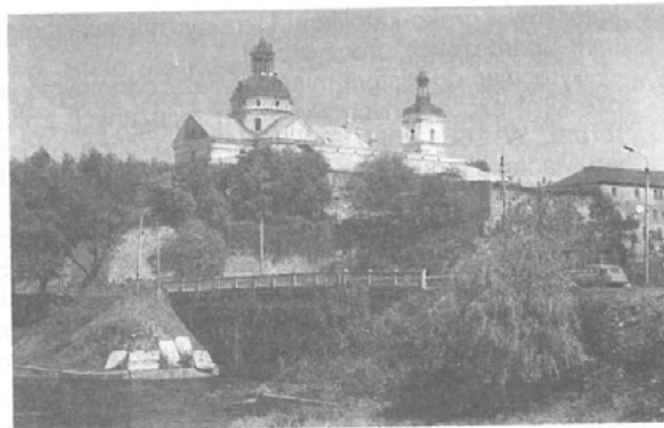
Na uwagę polskiej opinii publicznej zasługuje też w Berdyczowie stary cmentarz katolicki, założony w XVIII wieku, w ruinacji, z częściowo zachowanymi pomnikami okolicznych wielmoż, szlachty i mieszczan Berdyczowa.

W Berdyczowie noszą się z zamiarem powołania Społecznego Komitetu Odbudowy Cmentarza. Warto go wesprzeć!

Kończąc opowiadanie o związkach Berdyczowa z polskością należy przytoczyć kilka faktów z teraźniejszego życia odradzającej się diaspory polskiej w tym mieście.

Mieszkający tu Polacy jednoczą się w berdyczowskiej filii Oddziału Związku Polaków na Ukrainie, przewodnicząca Oddziału Pani Larysa Warmińska, która wydaje od 1994 roku w języku polskim dwumiesięcznik „Mozaika Berdyczowska” oraz w Towarzystwie Polskiej Kultury, przewodniczący, Pan Feliks Paszkowski, Dyrektor Szkoły nr 3.

Jako się rzekło wyżej działają także ośrodki polskie przy dwóch parafiach rz.k. – Św. Barbary i NMP (Kościół Pokarmelicki).



Kościół św. Barbary w Berdyczowie

3 maja corocznie organizowane są w Berdyczowie, przy pomocy Konsulatu Polskiego z Kijowa i miejscowych władz Dni Kultury Polskiej.

W państwowych szkołach nr 3, 4, 7, 10, 15, 17 aktualnie 237 dzieci uczy się fakultatywnie języka polskiego.

W szkole nr 7 (Dyrektor Antonina Gronkowska) od 1 marca 2002 roku 49 dzieci – II-IX klas – rozpoczęły naukę języka polskiego.

W szkole nr 15 język polski wykładany jest jako obcy od pierwszej klasy (pięć godzin tygodniowo).

W Berdyczowie działa Filia Kijowskiego Uniwersytetu Słowianistyki, gdzie aktualnie studiuje język polski na I i II kursie 27 studentów.

Na koniec informacja dla zainteresowanych – przez Berdyczów przechodzi bezpośrednie połączenie kolejowe z Polską, relacje: Warszawa-Symferopol i Warszawa-Dniepropietrowsk.

W grudniu 2002 roku Oddział Stołeczny TMLiKPW zaprosił do Warszawy proboszcza Parafii Św. Barbary księdza Alberta Galeckiego oraz opiekunkę Szkoła Sobotnio-Niedzielną przy tej Parafii Panią Marię Podgórecką.

Rozmowy z nimi umocniły decyzje Zarządu.

Warto i trzeba pomagać Rodakom w Berdyczowie!

DAJ NA BERDYCZÓW!

Tym apelem kończymy opowieść o berdyczowskich związkach z polskością.



Fot. St. Parille

Szkoła Niedzielną prowadzona przez ks. Alberta Galeckiego przy kościele św. Barbary w Berdyczowie woj. żytomierskie

Wanda Butowska Mościska i Poznań

W końcu marca br. odwiedziły nas Panie ze Lwowa i Mościsk: Emilia Chmielowa, Halina Sokółowska i Teresa Tetrycz. W miłej atmosferze rozmawiano o bieżących sprawach, problemach szkoły w Mościskach, o Lwowie.

Panie przyjechały do Poznania na kilka dni wraz z grupą nauczycieli z Mościsk na zaproszenie Szkół Podstawowych nr 10, 26, 77, Gimnazjów 51 i 54 oraz III Liceum Ogólnokształcącego w Poznaniu.

Kontakty ze szkołą w Mościskach nawiązano podczas wyjazdów delegacji przedstawicieli szkół Wydziału Oświaty Urzędu Miasta w Poznaniu na Ukrainę w 2001 r. Szkoła mieściła się wówczas jeszcze w starym budynku. W kwietniu ubiegłego roku Szkoła Podstawowa nr 10 z p. dyrektor Magdaleną Katarzyńską zorganizowała zbiórkę darów dla szkoły na Ukrainie w drodze powrotnej przywożąc delegację ze Szkoły Polskiej w Mościskach. Pedagodzy z Mościsk uczestniczyli w zajęciach szkolnych, odbyli oficjalne spotkania w Radzie Miasta, z wiceprezydentem Maciejem Frankiewiczem. Owocem tych spotkań było ufundowanie przez poznańskie szkoły 11-stanowiskowej pracowni komputerowej. Otwarcia pracowni dokonał wiceprezydent Frankiewicz – 29 września 2002 w obecności wielu gości. Nowa szkoła prezentuje się okazale.

W lutym i marcu bieżącego roku Sz. P. nr 10 koordynowała kolejną zbiórkę darów dla polskich dzieci na Ukrainie. W drodze powrotnej przywieziono delegację z Ukrainy, dla której pobyt zorganizowali dyrektorzy wyżej wymienionych szkół. Goście zwiedzali szkoły, uczestniczyli w zajęciach dydaktycznych, spotkaniach z wiceprezydentem miasta Maciejem Frankiewiczem, dyrek-



Fot. Feliks Sikorski



Fot. Feliks Sikorski

cją Wydziału Oświaty i przedstawicielami Kuratorium.

Należy mieć nadzieję, że wszystkie te kontakty zaowocują jeszcze ściślejszą współpracą, wymianą doświadczeń i jak zamierzają uczestnicy spotkań rozszerzeniem jej o wymianę kulturalną dzieci i młodzieży w ramach programu szkół partnerskich co będzie interesującym doznaniem dla obu stron. □

Jan Johnson

43-ci

Przychodzą i odchodzą bolesne rocznice,
Nabrzmięte łękiem i strasznym wspomnieniem.
Łzami się przelały kresowe krynice
I udręczone z Kresów dobiega westchnienie.

Kwiaty utraciły swój urok niewinny
Ziemia krwią przesiąknięta milczy
Została rozpacz i ten ból bezsilny,
Bo to był „Rok szakala”, „Rok wilczy”!

Gdzieniegdzie niezapominajki zostały.
Skromniutki, wśród mogił ukryte.
O dawnych Polakach zawsze pamiętały
A tamte dzieje, są w sercach wyrze.

Szemrzą strumyki pośród pól kresowych
Modlitwą, w której nienawiści nie ma.
Choć smutną, czekającą „Czasów Nowych”,
Przebaczającą. A o „starych” pamiętać trzeba.

Gdy czasy zła przeminą, złość opadnie
Lecz wstyd mordercom pozostanie
Sumienie przypomni czyny szkaradne
Oby nie pozostało im tylko ...szlochanie...

Nie ma na świecie takiej głębokości
Która by prawdę na zawsze ukryła
I również nie ma takiej możliwości
By bez przeprosin, ofiara wybaczyła.

W 60-tą Rocznicę ludobójstwa Polaków
na Kresach II RP przez nacjonalistów
ukraińskich z OUN-UPA

Nysa, 2003 r.

Alicja Zbyryt

„Złota Brama” i „Szczербіec”

Z jakim wydarzeniem, datą i osobą kojarzą ci się nazwy „Złota Brama” i „Szczербіec”? Okazało się, że odpowiedź na to proste pytanie nastęrczyła trudności wielu uczestnikom III Konkursu Wiedzy o Historii Kresów Wschodnich, ale najlepsi odpowiedzieli dobrze na to pytanie. Chociaż to tylko legenda, ale piękna legenda, a „Szczербіec” – miecz koronacyjny królów Polski jest jednym z najcenniejszych skarbów historycznych na Wawelu. Zresztą o tym podaniu wspominają w swoich dziełach historycy tej miary co Paweł Jasienica, czy Norman Davies. Konkurs Wiedzy o Historii Kresów Wschodnich organizowany jest przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Brzegu już po raz trzeci w gościnnych murach I Liceum Ogólnokształcącego, dla uczniów szkół średnich z Brzegu, Grodkowa i Namysłowa. Tegoroczny konkurs odbył się dnia 2 kwietnia br. A na zaproszenie wysłane do 10 szkół odpowiedziało 7 szkół, delegując na konkurs trzyosobowe i mniejsze zespoły. Ostatecznie w konkursie uczestniczyli uczniowie sześciu szkół. Należało odpowiedzieć w sumie na 13 pytań: na 10 pisemnie, na 3 ustnie. Wszystkie pytania do konkursu opracował mgr Ludwik Toporowski – wieloletni nauczyciel historii w brzeskich szkołach średnich. Zakres pytań obejmował historię obszarów dawnych Kresów Południowo-Wschodnich Polski. W tym roku z największą liczbą punktów na I miejscu uplasował się Rafał Rozmus z I LO w Brzegu, który w nagrodę pojedzie na wycieczkę do Lwowa, zaś piękny, bogato ilustrowany przewodnik

po tym mieście otrzymał jako dodatek do tej wycieczki. Tuż za nim, na drugim miejscu, różnicą jednego punktu, znaleźli się trzej uczestnicy konkursu: Michał Jaskuła z LO w Brzegu, Jakub Horodyski z LO w Grodkowie i Krzysztof Sikorski z Z. S. Zawodowych nr 1 w Brzegu. Za nimi, też z różnicą jednego punktu, zajęli III miejsce: Konrad Rejman z LO w Grodkowie, Adam Pieczka z Z. S. Ekonomicznych w Brzegu i Dariusz Szeniszewski z I LO w Brzegu. Wyróżnienia otrzymali: Monika Leonowicz z Z. S. Budowlanych w Brzegu i Łukasz Pierz z LO w Grodkowie. Laureaci II i III miejsca oraz wyróżnień otrzymali cenne nagrody książkowe: dzieła wybitnych historyków, encyklopedie, słowniki, przewodniki po Lwowie.

W jury konkursu zasiadli: mgr Witold Linard – historyk z Zespołu Szkół nr 1 z Oddziałami Sportowymi, mgr Marek Suflita – historyk z Gimnazjum nr 3, mgr inż. Janusz Wójcik – dyrektor Departamentu Oświaty, Kultury i Sportu Urzędu Marszałkowskiego Woj. Opolskiego, radny powiatu brzeskiego, inż. Alicja Zbyryt – prezes TMLiKPW w Brzegu.

Serdecznie dziękujemy sponsorom nagród w konkursie, którymi byli: Urząd Marszałkowski Woj. Opolskiego, Z.P.C. „Odra” w Brzegu, Urząd Gminy Skarbimierz, Starostwo Powiatu Brzeskiego i Urząd Gminy Olszanka.

Fakt, że aż 7 uczestników konkursu zdobyło nagrody główne, a 2 wyróżnienia przy niewielkich różnicach punktowych świadczy o wysokim poziomie ich wiedzy historycznej i wyrównanym poziomie nauczania w różnych szkołach. Do zobaczenia za rok! □

Minęły 4 kolejne lata Stołecznego Oddziału TMLiKPW

29 marca 2003 w godzinach przedpołudniowych odbyło się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Stołecznego Oddziału TMLiKPW. Zebranie otworzył kol. Ryszard Orzechowski – dotychczasowy wiceprezes Oddziału witając przybyłych gości: Sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika, prof. Ryszarda Brykowskiego, prof. Janusza Garlickiego, redaktor Irenę Dziedzic i zaprosił ich do prezydium. Serdecznie powitał wszystkich obecnych na sali członków Oddziału.

Poprosił zebranych o uczczenie minutą ciszy zmarłych w okresie minionej kadencji członków Oddziału: ks. prałata Janusza Popławskiego prezesa Oddziału i kapelana Towarzystwa, Adama Hollankę, Macieja Podłowskiego, Andrzeja Hiolskiego oraz innych, o których odejściu nie powiadomiono Zarządu Oddziału.

W dalszym ciągu kol. R. Orzechowski zaproponował na przewodniczącego zebrania kol. Stanisława Leszczyńskiego prezesa Klubu Stanisławowiaków. Propozycję przyjęto aklamacją.

Wybrany przedstawił propozycję porządku dziennego zebrania, który zebrani jednomyślnie zaakceptowali.

Zaproponowane protokulantki zebrania kol. kol. H. Piotrowska oraz J. Zbyszewska zajęły swoje miejsca i zaczęły spisywać przebieg obrad.

Przewodniczący zebrania na wstępie odczytał list red. Jerzego Janickiego – honorowego przewodniczącego Oddziału Stołecznego. W tym liście kol. Janicki przesłał zebrany serdeczne pozdrowienia i życzenia

owocnych obrad oraz usprawiedliwił swoją nieobecność w obradach spowodowaną koniecznością wyjazdu do Lwowa.

Następnie zabrał głos min. Andrzej Przewoźnik. Poinformował obecnych o stanie prac przy Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Według ustaleń z władzami ukraińskimi, prace mają być ukończone do końca czerwca br. W dalszym ciągu swego wystąpienia nakreślił szeroki zakres upamiętniania przez ROPWiM różnych miejsc zbrodni na Polakach (Łuck, Huta Pieniacka, Wichrowice oraz inne miejsca na b. Kresach). Podkreślił wagę uczczenia 60. rocznicy mordów Polaków na Kresach przez bandy UPA. Na zakończenie zwrócił się do zebranych z apelem o przesyłanie do Rady Pamięci informacji o wszelkich aktach eksterminacji Polaków na Kresach południowo-wschodnich, a szczególnie w województwach lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim.

Prof. Ryszard Brykowski reprezentujący Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i prezesa Andrzeja Stelmachowskiego przekazał życzenia pomysłnych obrad wszystkim zebrany. Zwrócił się z propozycją, aby w ramach obchodów 60. rocznicy mordów na Kresach, zorganizować tematyczną wystawę w porozumieniu z organizacjami kombatanów. Zwrócił uwagę na fakt, że zbrodnie na ludności polskiej miały miejsce nie tylko na Wołyniu, ale także na terenie całych Kresów od północy po południe.

Po jednomyślnym wyborze Komisji Wniosków i Uchwał oraz Komisji Skrutacyjno-Wyborczej przewodni-



Fot. Parille

Prezydium Zjazdu od lewej: prof. Janusz Garlicki, prof. Ryszard Brykowski, Ryszard Orzechowski, Stanisław Leszczyński, min. Andrzej Przewoźnik, Danuta Szydłowska, red. Irena Dziedzic.

czący zebrania poinformował zebranych, że na sali jest zgromadzonych 147 członków Oddziału Stołecznego na aktualnych 483 osób i zgodnie z § 23 Statutu TMLiKPW zebranie rozpoczęte w drugim terminie jest prawomocne, a uchwały podjęte na nim będą obowiązujące.

W kolejnym punkcie zebrania kol. Danuta Szydłowska, Skarbnik Zarządu, odczytała sprawozdanie Zarządu Stołecznego z prac w ubiegłych 4-ach latach.

Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej Oddziału przedstawił zastępca przewodniczącego Komisji kol. Kazimierz Czerski. Sprawozdanie Komisji, na ogół pozytywne, zakończył wnioskiem udzielenia ustępującemu Zarządowi Oddziału Stołecznego absolutorium.

Na propozycję z sali przesunięcia dyskusji nad obu sprawozdaniami po przeprowadzeniu wyborów składu przyszłego zarządu Oddziału Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego wyrażono zgodę większości zebranych przy jedynie 3 głosach sprzeciwu.

Kolejną propozycję z sali, aby przegłosować przyjęcie sprawozdań zarządu oraz komisji rewizyjnej – zebrani uchwalili jednomyślnie i w głosowaniu zaakceptowali je bez zastrzeżeń. Nie wykluczało to możliwości krytycznej opinii poszczególnych działów zarządu w trakcie planowanej dyskusji.

Po udzieleniu absolutorium ustępującemu zarządowi (jednomyślnie), zebrani zdecydowaną większością głosów (przy jednym sprzeciwie) ustalili głosowanie jawne w wyborach władz zarządu, komisji rewizyjnej oraz sądu koleżeńskiego.

Zgłoszone kandydatury do składu zarządu w ilości 9 osób uzupełniono do ilości 13 osób.

Ustalono również, że 4 osoby wejdą w skład komisji rewizyjnej, a sądu koleżeńskiego 3 osoby i tylko tyle kandydatur podano.

Dodatkowy wniosek zgłoszony przez zebranych o głosowanie na całe listy kandydatów został jednomyślnie przyjęty przez obecnych.

Przeprowadzone głosowanie dało następujące wyniki:

- listę Zarządu Oddziału Stołecznego przyjęto jednomyślnie
- listę Komisji Rewizyjnej Oddziału przyjęto przy 2 osobach wstrzymujących się
- listę Sądu Koleżeńskiego przyjęto przy 1 wstrzymującym się
- listę delegatów na Zjazd Krajowy przyjęto jednomyślnie.



Fot. Parille

Pamiątkowe zdjęcie uczestników Zjazdu

W ramach dyskusji nad sprawozdaniem połączonej z dyskusją nad tekstem projektu Uchwały Walnego Zebrania poruszono poniższe zagadnienia:

- potrzebę zapewnienia bezpłatnej opieki lekarskiej nad młodzieżą z Ukrainy studiującą w Polsce
 - konieczność zwiększenia wysokości składek członkowskich: emeryci 30 zł rocznie, a pracujący 48 zł rocznie. Przegłosowano ten projekt większością głosów przy 8 sprzeciwiających się i 10 wstrzymujących się
 - uzyskanie paszportów konsularnych dla studentów z Ukrainy
 - przyczyny depolonizacji Polaków na Ukrainie
 - konieczność godnego uczczenia 60. rocznicy mordów Polaków na Kresach oraz nie traktowania jednakowo ogółu Ukraińców
 - pozytywną działalność Zarządu Oddziału w minionej kadencji
 - gorąco przyjęto wypowiedź dyrektora Gimnazjum nr 27 im. Orłąt Lwowskich p. A. Stawickiego o satysfakcjonującej współpracy Zarządu Stołecznego ze szkołą
- W szczególności omówionej Uchwale, przyjętej jednomyślnie, zawarto poniższe wnioski i postulaty:

1. Dalsze zakładanie kół młodzieżowych TMLiKPW.
2. Permanentne organizowanie Dni Lwowa.
3. Prowadzenie spójnej polityki polonijnej na Ukrainie.
4. Poszerzenie wymiany młodzieży szkolnej Polski i Ukrainy.
5. Rozwijanie pomocy dla szkół sobotnio-niedzielnich na Ukrainie w połączeniu z pomocą humanitarną.
6. Opracowanie strony internetowej Oddziału Stołecznego.

Po zakończeniu Walnego Zebrania odbytego bez zastrzeżeń i z pełnym zaangażowaniem obecnych, część zebranych zrobiła sobie pamiątkowe zdjęcie wraz z nowo wybranym składem władz Oddziału.

Bezpośrednio po zebraniu Zarząd Oddziału Stołecznego ukonstytuował się następująco:

Prezesem Oddziału został jednomyślnie kol. Ryszard Orzechowski.

Wiceprezesem Oddziału wybrano kol. Stanisława Leszczyńskiego.

Sekretarzem Oddziału wybrano kol. Joannę Bajtyn-gier.

Skarbnikiem Oddziału wybrano kol. Danutę Szydłowską.

Ukonstytuowanie składu Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego nastąpi w terminie późniejszym.

Opracował Stanisław Leszczyński

Piotr Franków

XI Spotkania Wykonawców Piosenki Kresowej „KRESOVIANA 2003” w Gorzowie Wielkopolskim

Po raz jedenasty Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich zorganizował festiwal piosenki kresowej.

Konkurs odbył się w dniach 10-11 maja br. w sali koncertowej Miejskiego Centrum Kultury. Udział w spotkaniu wzięło 31 wykonawców – w tym chóry, zespoły wokalne-muzyczne, zespoły śpiewacze, duety i soliści, głównie z Ziemi Lubuskiej, a także z Dolnego Śląska – słynne „Węglińskie Bajbusy”.

Patronat honorowy nad festiwalem „Kresoviana 2003” objął – już po raz drugi – Jan Kaczanowski, Przewodniczący Rady Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, który był także fundatorem nagród głównych konkursu.

W imieniu organizatorów powitał zaproszonych gości prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW Piotr Franków. Zarząd Główny TMLiKPW reprezentował sekretarz generalny Alfred Janicki.

Po otwarciu „Kresoviany 2003” przez Patrona honorowego nastąpił uroczysty moment wyróżnienia działaczy TMLiKPW Odznakami Honorowymi Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, przyznawanymi przez Radę Miasta. Jan Kaczanowski udekorował wiceprezesów Towarzystwa: Władysława Olszowego i Władysławę Staryszak oraz sekretarza Konstancję Markiewicz.

Ponadto wyróżniono dyplomem honorowym Wołyński Komitet Budowy Pomnika Polakom Pomordowanym w latach II wojny światowej, działający w Marwicach. Dyplom w imieniu Szczepana Siekierki – prezesa SU-OZUN – na ręce Ewy Kołoszyck przekazał Piotr Franków – prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Po tych wstępnych uroczystościach rozpoczął się konkurs, prowadzony sprawnie przez młodych konferansjerów z Zespołu Szkół Medycznych. Reżyserem koncertu była Władysława Staryszak.



Laureaci „Kresoviany 2003” zespół wokalne-muzyczny „Appassionata” z Domu Kultury „Małyszyn” z Gorzowa Wlkp. Od lewej: Urszula Czereda, Krzysztof Koziołek, Mieczysław Świątek, Jadwiga Puchała, Kazimierz Cymbrykiewicz, Elżbieta Jackowiak, Zdzisław Słoiński, Janina Kaczmarczyk

Rywalizujące zespoły oceniało Jury w składzie: Anna Makowska-Cieleń – przewodnicząca oraz Leszek Bończuk, Czesław Ganda i Bogdan Zalewski – członkowie.

Salę gorzowskiego MCK wypełniała żywo reagująca publiczność.

Laureatami konkursu zostali następujący wykonawcy:

– „Wega 2” z zespołem mandolinistów z klubu „Jedynka” w Gorzowie Wlkp. pod kierownictwem Hanny Bednarczyk i Anny Koniecznej – w kategorii szkół podstawowych;

– „Kłaster 2” z Młodzieżowego Domu Kultury w Gorzowie Wlkp. pod kierownictwem Zbigniewa Bociana (wielokrotnego laureata festiwalu piosenki kresowej w Lesznie) – w kategorii szkół średnich;

– duet „Wena”: Maria Krynojewska i Michał Ciesielski z Zielonogórskiego Oddziału TMLiKPW – w kategorii dorosłych;

– „Węglińskie Bajbusy” z Węglińca (Dolny Śląsk) pod kierownictwem Beaty Smętek, Radosława Słabolepszego i opieką prezesa Węglińskiego Oddziału TMLiKPW Alfreda Janickiego – w kategorii zespołów dziecięcych;

– „Appassionata” z Domu Kultury „Małyszyn” w Gorzowie Wlkp. pod kierownictwem Zbigniewa Herezo – w kategorii zespołów wokalne-muzycznych;

– „Biały Orzeł” ze Stowarzyszenia Kresowian w Sulęcinie pod kierownictwem Zbigniewa Chomickiego – w kategorii chórów.

Każdy zespół biorący udział w konkursie otrzymał nagrodę, wyróżniono także instruktorów i dyrygentów.

Ponadto każdy zespół otrzymał od organizatorów zestaw 72 piosenek lwowskich z nutami w opracowaniu Jerzego Masiora.

Fundatorami nagród byli: Patron Honorowy imprezy Jan Kaczanowski – przewodniczący Rady Miasta Gorzowa Wlkp., Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego.



„Węglińskie Bajbusy”: dziecięcy urok, styl i lwowski styl

skiego, Wojewoda Lubuski, Prezydent Gorzowa Wlkp., Lubuski Kurator Oświaty, Regionalne Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze, Wydział Kultury Urzędu Miasta Gorzowa Wlkp., Wojewódzki Ośrodek Metodyczny w Gorzowie Wlkp., Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Miejskie Koło Związku Sybiraków, Oddziały TMLiKPW w Zielonej Górze i Gorzowie Wlkp.

Patronat nad dwudniowym pobytem w Gorzowie „Węglińskich Bajbusów” przejął Gorzowski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Troskliwą opieką najmłodszych gości „Kresoviany 2003” otoczył Władysław Olszowy, któremu zespół podziękował piękną piosenką.

W drugim dniu „Kresoviany 2003” wystąpiły dwa zespoły laureatów: „Appassionata” i „Węglińskie Bajbusy”. Małyżński zespół wystąpił w składzie: Urszula Czereda, Krzysztof Koziołek, Mieczysław Świątek, Jadwiga Puchała, Kazimierz Cymbrykiewicz, Elżbieta Jackowiak, Zdzisław Słoiński i Janina Kaczmarczyk; kierownik – Zbigniew Herezo. „Appassionata” zaprezentowała półtoragodzinny program z pięknymi piosenkami lwowskimi i wileńskimi, z których jedną opracował sam Zbigniew Herezo (tekst i muzyka) specjalnie na „Kresovianę”. Zespół ten pod koniec maja br. wystąpił z koncertem w Berlinie na światowym zlocie ekumenicznym.

Na program koncertu zespołu „Węglińskie Bajbusy” złożyły się piosenki Jerzego Masiora, Aleksandra Porzuczka, a także Mariana Hemara, Feliksa Konarskiego, W. Budzyńskiego i innych.

Andrzej Przewoźny

XI Ogólnopolski Dziecięcy Festiwal Piosenki Lwowskiej „Ta joj!” – Leszno 2003

Podróż z nutą sentymentu

„Kto we Lwowie urodzony, zawsze wraca w swoje strony” – fragment piosenki napisanej przez nieżyjącego już poetę, prozaika oraz kompozytora dr. Jerzego Masiora, doskonale oddaje klimat odbywającego się w Lesznie pod patronatem honorowym marszałka Sejmu RP Marka Borowskiego XI Ogólnopolskiego Dziecięcego Festiwalu Piosenki Lwowskiej „Ta joj!”. Bo czym innym mogło być dwudniowe spotkanie z piosenką lwowską, jeśli nie sentymentalną podróżą do miasta, w którym niejedną z obecnych na koncercie spędził wiele lat?

Odbywający się cyklicznie w Lesznie festiwal jest jedną z nielicznych imprez kulturalnych, które potrafią wypełnić całą salę Miejskiego Ośrodka Kultury. I to nie tylko podczas dwugodzinnego koncertu galowego. Także podczas odbywających się w sobotę przesłuchań konkursowych sala była wypełniona.

– Cieszę się, że coraz więcej zespołów wokalnych z Wielkopolski bierze udział w festiwalu – mówi Janusz Ragankiewicz, prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oddziału w Lesznie. – W ubiegłych latach ten region był najbardziej reprezentowany.

Podczas koncertu galowego przed zgromadzoną publicznością wystąpili laureaci wyłonieni przez sześciu-

Zespół zaprezentował wysoki kunszt wokalny, obficie estradowe, wniósł na scenę radość i prawdziwie lwowski humor. Zgromadzonej w sali koncertowej gorzowskiego MCK publiczności szczególnie przypadły do gustu piosenki „Lwowski kwiaty”, „Całujironczki”, „Bilet do Lwowa”, „Preclarka”, „Nie ma Lwowa” (rap) i „Węglińskie Bajbusy” (piosenka napisana specjalnie dla tego zespołu przez Jerzego Masiora).

Trzygodzinny koncert laureatów w drugim dniu „Kresoviany” umożliwił gorzowskiej publiczności wysłuchanie pięknych piosenek, które zawsze budzą tęsknotę i przypominają starszym wiekiem słuchaczom lata młodości, przybliżają rodzinne kresowe strony.

Artystom za piękny koncert podziękowali organizatorzy XI „Kresoviany” – Patron Honorowy Jan Kaczanowski i Prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW – Piotr Franków.

W imieniu „Węglińskich Bajbusów” wystąpił prezes Węglińskiego Oddziału TMLiKPW i jednocześnie Sekretarz Generalny Zarządu Głównego – Alfred Janicki, reprezentujący na „Kresovianie” prezesa ZG Andrzeja Kaminskiego. W swoim wystąpieniu podkreślił potrzebę organizacji tego typu spotkań, utrwalających historię i polskie tradycje kresowe i pozwalających pamiętać, że nasze pokolenie ma swoje korzenie rodzinne właśnie tam, na Kresach.

Miłym momentem było wręczenie przez Alfreda Janickiego plakietki z herbem Lwowa Przewodniczącemu Rady Miasta Janowi Kaczanowskiemu.

Na zakończenie wszyscy pożegnali się słowami: do zobaczenia za rok. □



Fot. Feliks Sikorski

osobowe jury, któremu przewodniczyła Marzanna Skrzypczak-Mizgalska.

Nostalgiczną atmosferę stwarzały przeplatane się nostalgiczne piosenki, mówiące „co za świat, już nie ten, co sprzed lat”, wesole lwowskie przyspiewki, którymi żyła wówczas cała ulica. Nie zabrakło także interesujących eksperymentów muzycznych, jaki np. zaprezentowała Agata Jaśkie-



Fot. Feliks Sikorski

Uczestnicy Festiwalu

wicz z MOK w Koszalinie, śpiewając piosenkę pt. „Akrobata Mucha”.

Opinie publiczności o festiwalu podkreślają jego wysoki poziom artystyczny, ale nie tylko.

– **Niepowtarzalną atmosferę stwarzają zarówno wykonawcy jak i reagująca żywiołowo publiczność** – powiedział Waldemar Zamlewski, krytyk literacki oraz tłumacz języka niemieckiego z Poznania.

– **Poziom festiwalu z roku na rok jest coraz wyższy, stając się ogólnopolską wizytówką Leszna** – stwierdził Janusz Sawicki, emerytowany nauczyciel z Leszna.

„Jest takie miasto co zwie się Lwów, dziś o nim można już pamiętać” – śpiewała Paulina Korthals z Góry. A pamiętać to znaczy pielęgnować wspomnienia, wracać myślami, snuć marzenia i śpiewać. Miejmy nadzieję, że lwowskiego śpiewu w Lesznie nigdy nie zabraknie.

Organizatorami tegorocznego festiwalu byli: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Urząd Miasta Leszna, Starostwo Powiatowe w Lesznie, Miejski Ośrodek Kultury w Lesznie i redakcja tygodnika „Panorama Leszczyńska”.

Wyniki festiwalu:

– Grupa A:

Soliści:

- I m. – Marta Kochan – Dom Kultury w Górze,
- II m. – Radosław ŁOMEJKO – MOK w Koszalinie,
- III m. – Zuzanna RĘBISZ – MOK w Koszalinie

Zespoły wokalne:

- I m. – Gabriela Mokrzycka, Kamila Naruszewicz – „Promyki Krakowa” – ZPSM w Krakowie,
- II m. – „Wiolinki” – MOK w Lesznie,
- III m. – „Iskierki – małe” – Szkoła Podstawowa w Maciejowej



Organizator XI Festiwalu prezes Janusz Ragankiewicz z honorowymi gośćmi: prezes ZG TMLiKPW Andrzej Kaminski, wiceprezes oddziału poznańskiego Stanisław Łukaszewicz i laureat Grand Prix Maciej Adamczyk

– Grupa B

Soliści:

- I m. – Magdalena Gajdzica – MOK w Koszalinie,
- II m. – Paulina Korthals – Dom Kultury w Górze,
- III m. – Katarzyna Misiak – MOK w Koszalinie

Zespoły wokalne:

- I m. – „Biedronki” – TML i Klub Garnizonowy w Brzegu,
- II m. – „Wiolinki II” – MOK w Lesznie,
- III m. – „Alibi” – Gimnazjum w Osiecznej,

– Grupa C

Soliści:

- I m. – Angelika Fornalik – Dom Kultury w Górze,
- II m. – Sabina Dąbrowska – TML i Klub Garnizonowy w Brzegu,
- III m. – Magdalena Mędrała – „Promyki Krakowa” ZPSM w Krakowie

Zespoły wokalne:

- I m. – „Klaster”, MDK w Gorzowie Wlkp.
 - II m. – tercet „Konsenans” – Gimnazjum w Gorzycach W.
- Wyróżniono czterech instruktorów: Teresę Waligórá z SP Maciejowa, Romanę Krzemień z ZPSM w Krakowie, Zbigniewa Bociana z MDK w Gorzowie i Gabrielię Chudobską z Gimnazjum w Osiecznej.

Specjalne wyróżnienie jury przyznało zespołowi wokalnemu „Sjajwo” (Zorza) z Ukraińskiej Szkoły Średniej nr 63 we Lwowie.

Grand Prix festiwalu otrzymała Magdalena Gajdzica z MOK w Koszalinie, nagrodę im. Heleny Ragankiewicz, inicjatorki festiwalu, dla najmłodszej uczestniczki przyznano 4-letniej Aleksandrze Schubert – „Wiolinki I” – MOK z Leszna.

Sponsorzy festiwalu:

- PKO BP S.A. Leszno,
- Andrzej Stróżyk – PPH „Astromal” Wilkowice,
- Zakład Zieleni Miejskiej w Lesznie,
- Miejskie Zakłady Komunikacji w Lesznie,
- PSS „Społem” Leszno,
- Intermarche w Lesznie,
- M. M. Ossowsky „Wędliniarstwo” w Lesznie,
- Franciszek Halec z Leszna
- Krzysztof Nowakowski z Leszna. □

Ludmiła Kryczyńska-Wolińska

Wspomnienie o Kazimierzu Zdanowiczu byłym zastępcy starosty w Samborze



Kazimierz Zdanowicz
1939 r.

Kazimierz Zdanowicz urodził się w XII 1896 r. we Lwowie. Szkołę średnią i studia prawnicze ukończył również we Lwowie. Bezpośrednio przed II wojną światową w 1939 r. pracował na stanowisku zastępcy p. Stanisława Kaszubskiego w Samborze.

Sambor opuścił w przededniu wkroczenia armii niemieckiej razem z innymi pracownikami starostwa, ponieważ zdawał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Udał się do Lwowa, gdzie stale

mieszkała jego matka, przy ul. Zielonej 51. Podczas okupacji bolszewickiej i niemieckiej podejmował we Lwowie różne prace, między innymi karmił wszy w Instytucie Weigla.

Przez cały czas chciał pracować dla Polski. Uważał, że nie może pracować w inny sposób, jak tylko konspiracyjnie w podziemiu. Roznosił tzw. „gazetki” do polskich zaufanych domów. Był konsekwentny i uparty w swojej patriotycznej działalności, ale również realnie oceniał nasze perspektywy. Wtedy, gdy większość Polaków miała nadzieję, że Stany Zjednoczone są gotowe rozpocząć nową wojnę w obronie Polaków, on ocenił trzeźwo intencje Zachodu. Osoby zaufane uświadamiał, że Polska na długie lata zostanie w obrębie strefy podległej ZSRR. W tej sytuacji Zdanowicz postanowił wyjechać w ramach „repatriacji” do Polski w VI 1946 roku. Tymczasem w maju 1946 r. obserwowany przez agentów NKWD, gdy wchodził do bramy przy ul. Tamowskiej we Lwowie z plikiem „gazetek” został aresztowany

przez KGB. Osadzono go w więzieniu przy ul. Sądowej. Po tygodniu z tego więzienia otrzymałam „gryps”, że mam przyjść do więzienia. Mimo wielkich obaw zdecydowałam się na to. Ze sporą gotówką w kieszeni zaprowadzona zostałam do sędziego śledczego, na rozkaz którego doprowadzono z piwnicy K. Zdanowicza. Śledczy pozwolił nam rozmawiać przez 5 minut, po czym zabrano go znowu do piwnicy. Wtedy postanowiłam zrobić użytek z posiadanej gotówki. Udało mi się trafić do osoby kompetentnej, która pomogła Zdanowiczowi wydostać się z piwnicy przy ul. Sądowej do więzienia przy ul. Łackiego. Tam mimo wzięcia grubej gotówki został skazany na 10 lat karnego obozu. Wywieziono go na północ, blisko koła podbiegunowego, do Republiki Komi, w okolicę Uchty, gdzie skazańcy ciężko pracowali w kopalni przy 60° mrozie. Kazimierz przetrwał tę straszną karę tylko dlatego, że nie pracował na mrozie, ale jako pielęgniarz w baraku chorych. Pracował w nocy, spać wolno mu było tylko w dzień. W 1956 r. dano mu cywilne ubranie i pozwolono wyjechać na Ukrainę z zastrzeżeniem, że może osiedlić się najwyżej w odległości 100 km od Lwowa. Mimo zakazu, przy pomocy podziemnej organizacji polskiej, dostał się jednak do Lwowa i zamieszkał nieoficjalnie przy ul. Mochanckiego u wdowy po Juliuszu Makarewiczu, profesorze prawa karnego na Uniwersytecie Lwowskim. Musiał opłacać się rejonowemu milicjantowi, aby go nie zadenuncjował. Po roku udało mu się wyjechać ze Lwowa do Polski, do Jarosławia, gdzie mieszkała jego matka. Po śmierci matki przeniósł się do Radomska, gdzie mieszkał do końca swoich dni.

Kazimierza Zdanowicza poznałam we wrześniu 1939 r. w mieszkaniu jego matki przy ul. Zielonej 51 we Lwowie. Widywałam go do maja 1946 roku, gdy został aresztowany. Ze Lwowa wyjechałam w czerwcu 1946 roku, gdy moje mieszkanie przy ul. Hauke Bosaka 45 było obserwowane przez NKWD. □

Janina Oparowska

Radujmy się – Alleluja!

Słowa tej wielkanocnej pieśni z powagą, a zarażeniem z radością, rozbrzmiewały na 18 już spotkaniu dawnych mieszkańców parafii Nawaria, Hodowica, Sokolniki – miejscowości leżących niedaleko Lwowa.

Było to spotkanie wyjątkowe, uroczyste – pt. „Święcone”, a odbyło się 27 kwietnia 2003 r. w Domu Zgromadzenia Sióstr Marii Niepokalanej we Wrocławiu.

Zjechali się na to spotkanie Kresowiaczy z różnych miejscowości Dolnego Śląska i z samego miasta Wrocławia.

Ta uroczystość odbywała się pod przewodnictwem naszych duszpasterzy – ks. kan. Franciszka

Rozwoda i ks. prałata Walentego Szałęgi. Gościem na tej uroczystości był także O. Augustyn z parafii św. Augustyna we Wrocławiu oraz ojciec duchowny WMSD we Wrocławiu – ks. Aleksander Radlecki.

Uroczysta msza św. w kaplicy klasztornej celebrowana przez wyżej wymienionych kapłanów rozpoczęła się pieśnią „Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa”.

Homilię wygłosił ks. prałat Walenty Szałęga. W wymowny sposób podkreślił niezwykłość tego naszego spotkania w odniesieniu do uroczystości związanych ze świętem Zmartwychwstania Chrystusa Pana.

W modlitwie wiernych zanoszono do Boga prośby za naszych krewnych – bliskich i znanych – żyjących i zmarłych, za naszych biskupów i kapłanów.

Szczególnie polecano Panu Bogu Metropolite Archidiecezji Lwowskiej – kardynała Mariana Jaworskiego oraz ks. Tadeusza Kupczyńskiego – proboszcza kościołów Nawarii, Siemianówki i Szczerca.

Specjalną modlitwą polecano w opiekę Matce Najświętszej ks. kan. Franciszka Rozwoda z okazji 66 rocznicy Jego święceń kapłańskich.

Po Mszy św. wszyscy uczestnicy tego spotkania zgromadzili się w refektarzu klasztornym. Tu nastąpiło powitanie wszystkich przybyłych na to spotkanie ze szczególnym wyróżnieniem zaproszonych gości.

Wśród nich powitano panią Elżbietę Urbańską – prezesa pierwszego klubu wrocławskiego „Leopolis” – Towarzystwa Miłośników Lwowa oraz pana Bolesława Bednarskiego – prezesa STSK (Siemianówka).

Po tej części oficjalnej ks. prałat Walenty Szalega dokonał poświęcenia pokarmów, które czekały na świąteczne udekorowanych stołach. A potem wszyscy składali sobie życzenia. Była to najbardziej wzruszająca chwila. Wspólny świą-

teczny posiłek spożywano wśród rozmów i wspomnień. Nastrój kresowy panujący wśród uczestników spotkania został pogłębiony pod wpływem wiersza pt. „Wielkanocne dzwony”, który zaprezentowała Janina Oparowska.

W przerwie przekazano życzenia i pozdrowienia od znajomych z Nawarii i ze Lwowa. Przedstawiono także program pielgrzymki do Nawarii, którą zaplanowano na okres 20-25 czerwiec 2003.

Na to spotkanie przybyli Kresowiaci z różnych miejscowości Dolnego Śląska – z Jawora, Namysłowa, Oławy, Szprotawy, Obornik Śl., Urazu, a nawet z bardzo daleka, bo aż ze Świnoujścia, Prudnika i Nowej Soli.

Świadczy to o tym, jak bardzo rozproszyli się dawni mieszkańcy Ziemi Lwowskiej – a także to, że oni potrzebują takiego spotkania.

My – organizatorzy – cieszymy się, gdy obserwujemy ich radość, ich uśmiechnięte twarze, wydaje się, że wtedy w czasie tych spotkań powraca do nich młodość – ta młodość, którą przeżyli w swoich rodzinnych stronach – na Ziemi Lwowskiej. □

„BUDZANÓW” trafił już do czytelników

Przed kilkoma dniami drukarnię opuściła książka pt.: „BUDZANÓW” autorstwa ekonomisty z Wałbrzycha – Józefa Ziemińskiego. Jest ona obszerną monografią mieszkańców siedmiotysięcznego miasta położonego w dolinie Seretu, w powiecie trembowelskim. Powstała w wyniku dwuletnich żmudnych poszukiwań materiałów i zdjęć z dawnych lat. Dzieło ma 870 stron i zawiera blisko 600 unikalnych fotografii, które budzanowianie nadesłali z Kanady, Wielkiej Brytanii oraz Ukrainy. W słowie wstępnym autor napisał m.in.: „*Tobie ziemio podolska poświęcam to, co udało się zebrać, ożywić wspomnienia, uchronić od zapomnienia i pozostawić następnym pokoleniom. (...) O wszystkim i o wszystkich pisałem tak jak zapamiętałem, widziałem i słyszałem. Staralem się pokazać warunki życia moich przodków, ich zwyczaje, kulturę by pozostały w umysłach obecnego i następnych pokoleń. Może ktoś kiedyś o tym przeczyta, może tylko kartki przerzuci. Mimo trudności przedstawiam czytelnikom ten skromny i zapewne niepełny zbiór dokumentów, zdjęć i wspomnień, które zostały wyjęte z szuflad, odklejone z albumów rodzinnych dawnych mieszkańców Budzanowa.*”

Książka składa się z 18 rozdziałów m.in. takich jak: „Życie społeczne i kulturalne miasta”, „Związki i organizacje społeczne działające w Budzanowie”, „Historia parafii, kościoła oraz przebieg starań o odzyskanie świątyni po gorbaczowskiej „pierestrojce”. Bardzo dokładnie opisana i udokumentowana jest martyrologia mieszkańców Budzanowa w czasie II wojny światowej i w pierwszych latach po wyzwoleniu, a także okres walki z banderowcami w latach 40-tych. W książce można znaleźć pełną listę budzanowian zamordowanych przez

„ryzunów” z UPA, wywiezionych na Sybir i na roboty do Niemiec oraz tych mieszkańców, którzy walczyli na frontach II wojny światowej zarówno w Polsce jak i na Zachodzie. Interesujący jest także rozdział, w którym opisane są budzanowskie rody. Przedstawione są w nim drzewa genealogiczne niektórych rodzin sięgające nawet do XVII wieku. Lecz największym walorem książki jest to, że w ogóle powstała, szkoda tylko, że dopiero teraz, a nie o 20 lat wcześniej.

Bogusław Rogowski

Warszawa, 22.04.2003

Szanowni Państwo,

Informuję uprzejmie, że zapowiadana w ubiegłym roku książka „Chodorów i Chodorowianie”, będąca rozszerzoną wersją opowieści „CHODORÓW, opowieść o losach miasta i jego mieszkańców” drukowaną na łamach SEMPER FIDELIS wyszła z druku. Posyłam jej egzemplarz archiwalny do zbiorów Redakcji. Książkę wydałem własnym sumptem w niewielkim nakładzie. Nie jest ona w obrocie publicznym. Rozsyłam ją zainteresowanym tematami, a więc byłym chodorowianom lub ich potomkom. Przypuszczam, że nie do wszystkich dotarłem. Być może notatka o ukazaniu się książki, zamieszczona w SEMPER FIDELIS przyczyni się do poszerzenia grona czytelników.

Antoni M. Danciewicz
ul. Ogólna 7 m. 54,
01-702 Warszawa

Tadeusz Tomkiewicz

Kilka uwag do artykułu Danuty Śliwińskiej „Pomoc Polakom na Wschodzie”

W n-rze 1 (72) 2003 r. S.F. ukazał się ciekawy i potrzebny artykuł Pani Danuty Śliwińskiej o pomocy Polakom na Wschodzie. Autorka informuje o powstaniu w 1993 roku tzw. Sieci Opieki, w ramach której poszczególne miejscowości na Wschodzie (a ściślej miejscowości Kresów Południowo-Wschodnich) przyporządkowane zostały poszczególnym Oddziałom TMLiKPW bądź Kołom czy Klubom zgodnie z ich życzeniem. To, że realizacja Sieci Opieki w ostatnich kilku latach uległa pewnym zmianom jest zrozumiałe, życie weryfikuje pewne założenia i w tym celu, jak wspomina Autorka, powstała Komisja ds. Pomocy, która zajmuje się m.in. aktualizacją i koordynacją tej realizacji. I tu pozwolę sobie zauważyć, że wymieniona w artykule struktura kościelna z r. 1993 jest nieaktualna, bowiem już od roku 2000 obowiązuje nowy Schematyzm Archidiecezji Lwowskiej, a Schematyzmy z lat wcześniejszych uległy zmianom. W załączeniu przesyłam kopie strony tytułowej, mapki i fragment struktury parafialnych interesującego mnie dekanatu halickiego (bliższe informacje można uzyskać drogą elektroniczną pod adresem www.rkc.lviv.ua).

W dalszym ciągu swego artykułu Pani Śliwińska pisze, że m.in. Rohatyn, Bukaczowce przyporządkowane są Oddziałowi w Bydgoszczy, ale jak wspomniano, życie weryfikuje postanowienia Komisji i tu chciałbym parę słów poświęcić Bukaczowcom, memu rodzinnemu miasteczku. Jest to niewielkie miasteczko położone przy linii kolejowej Lwów-Stanisławów, które już w roku 1489 z nadania Kazimierza Jagiellończyka uzyskało prawa miejskie. W XVII w. miał tu wspaniałą rezydencję Jerzy Kalinowski, brat hetmana koronnego, a w wyniku wojen kozacko-tatarskich zostało zniszczone i już nie powróciło do dawnej świetności.

W 1994 roku z inicjatywy płk. pil. Antoniego Chojciana i m.in. piszącego te słowa powstało Ognisko Bukaczowczan, działające przy Stowarzyszeniu Europejskich Więzi we Wrocławiu, na wzór istniejącego już tam wcześniej Związku Krzemieńczan. Ognisko zrzesza byłych mieszkańców Bukaczowiec i okolic oraz ich potomków rozsiadanych nie tylko po Polsce ale i po całym świecie (Stany Zjednoczone, Niemcy, Anglia, Australia), a celem jego jest odnawianie i utrzymywanie więzi między rodakami, a przede wszystkim niesienie różnorodnej pomocy pozostałym tam nielicznym Polakom, nierzadko też i będącym w trudnej sytuacji Ukraińcom.

Wielu z członków Ogniska należy do TMLiKPW w różnych miastach (ja np. jestem członkiem Zarządu Oddziału Poznańskiego) i ze względu na wspomniane duże rozproszenie Bukaczowczan nierealne było założenie Koła przy którymś z Oddziałów. Rozproszenie powstało w wyniku indywidualnych ucieczek poszczególnych rodzin zagrożonych w 1944 roku rzezią banderowskimi i nie było tzw. „repatriacją” zbiorową, w wyniku której osiedlano mieszkańców z Kresów w pobliżu siebie na Ziemiach Odzyskanych.

Powracając do obecnej sytuacji, już w roku 1994 z inicjatywy ówczesnego proboszcza w Rohatynie księdza Anatola Zajączkowskiego, odbudowany został prawie z ruin kościół w Bukaczowcach i od 1995 roku służy wiernym. Zaraz też Ognisko nawiązało kontakt z księdzem Anatolem i od tego czasu ściśle z nim współpracuje w zakresie potrzeb tak kościoła jak i wiernych.

Ognisko organizuje każdego roku zbiorowy wyjazd do Bukaczowiec i na Kresy, w którym bierze udział każdorazowo około 30 osób, zabierając ze sobą wiele darów – żywności, odzieży, obuwia, a rekordzistą w tym zakresie jest niezmordowany doktor pediatra z Gniezna pan Józef Czech, który dotychczas dostarczył nie tylko do Bukaczowiec, ale m.in. do Sambora, Chodorowa, Rohatyna, kilkaset kilogramów cukru i słodyczy, kilkaset par nowego obuwia, wiele środków czystości itp., a pani Emilia Nitecka z Gdyni uszyła i wyhaftowała artystycznie przynajmniej 20 pięknych ornatów z przeznaczeniem oprócz Bukaczowiec do różnych miejscowości na trasie naszych przejazdów, jak np. Truskawiec, Krzemieniec, Berdyczów, Kamieniec Podolski i wiele innych. Ponadto Ognisko wydatnie wspomaga odbudowę i wystrój kościoła w Bukaczowcach.

Niezależnie od wymienionych inicjatyw Ognisko każdego roku organizuje spotkania Bukaczowczan w różnych miejscowościach Polski – kilka było we Wrocławiu, ponadto w Gnieźnie, Poznaniu, Warszawie, Krakowie, Zakopanem, w których uczestniczy kilkadziesiąt osób i prawie zawsze z udziałem księdza Zajączkowskiego z Rohatyna, który jest obecnie dziekanem dekanatu Halickiego. Spotkania trwają 3 dni, bo oprócz wspólnej mszy świętej, spotkania oficjalnego, rozmów indywidualnych, wspólnego wieczorem biesiadowania połączonego ze śpiewaniem ~ organizatorzy spotkań umożliwiają zwiedzanie miasta i ciekawych obiektów.

Ponadto Ognisko Bukaczowczan wydaje kwartalnik „Biuletyn Bukaczowiecki” w nakładzie około 200 egzemplarzy, który informuje o ciekawostkach z historii Bukaczowiec i okolicy, publikuje wspomnienia z wojny, zsyłek, o obecnych losach mieszkańców, relacje z wycieczek, wiersze itp. Biuletyn cieszy się dużą popularnością nie tylko wśród byłych mieszkańców Bukaczowiec i ich potomków ale i osób nie związanych z Bukaczowcami, o czym świadczą liczne listy. W tym roku przygotowujemy się znów do wyjazdu na Kresy z pomocą oraz do corocznego spotkania, tym razem w Legnicy.

Uwagi do artykułu Tadeusza Tomkiewicza

Z wielką uwagą i zaciekawieniem przeczytałam artykuł Pana Tadeusza Tomkiewicza. Bardzo dobrze, że Bukaczowianie pamiętają o swoich korzeniach, że niosą pomoc ukochanym swoim miejscowościom, w których urodzili się, mieszkali. Ale nigdy pomocy za dużo.

W związku ze zmianami w schematyzmie Archidiecezji Lwowskiej – Oddział Bydgosko-Toruński TMLiKPW pozostawił pod opieką tylko te miejscowości – poza Lwowem, w których proboszczem jest ks. Anatol Zajączkowski. I tak przekazaliśmy kilkakrotnie – żywność, sprzęt gospodarstwa domowego, sprzęt rolniczy, zeszyty, duże ilości leków, odzież itd. Dzieci z Rohatyna i sąsiednich miejscowości wypoczywały na obozie k. Szubina w naszym województwie, a w 2001 r. miały zorganizowany obóz nad morzem.

Przy końcu bieżącego roku Komisja ds. Pomocy zwróci się, do wszystkich naszych jednostek i nie tylko, o przesłanie sprawozdania z udzielonej pomocy w ostatnich czterech latach. Czekamy też na sprawozdanie Pana Tadeusza.

Danuta Śliwińska

Szanowna Redakcjo!

W „Radiu Maryja” w czasie audycji pt. „Golgota Wschodu” prowadzonej przez ks. prałata Z. Peszkowskiego i pana Zdrojewskiego dowiedziałam się o fundacji „Non Omnis Moriar” w Łodzi i że mają tam listę zamordowanych na Kresach Wschodnich kapłanów.

Napisałam do tej organizacji ponieważ chciałam się dowiedzieć o losie ks. Andrzeja Mołdocha i ks. Stefana Stuglina.

Ks. Andrzej Mołdoch był katechetą w gimnazjum śp. mojego Męża Edmunda, a w marcu 1940 r. dawał nam ślub w Katedrze Lwowskiej.

W lipcu 1940 r. otrzymaliśmy wiadomość, że podobno został w sposób okrutny zamordowany w pociągu.

Przeżyliśmy to szczególnie ciężko.

Ks. Stefan Stuglin młody kapłan był przyjacielem mojego Męża. W czasie wybuchu II wojny światowej w 1939 r. znalazł się pod okupacją niemiecką i straciliśmy z Nim kontakt. Załączam zdjęcie tego młodego księdza z moim Mężem w Stryjskim parku. Modłę się z „Mszału Rzymskiego” ofiarowanego mojemu Mężowi z dedykacją z 1937 r.

Na początku stycznia 2003 otrzymałam z „Non Omnis Moriar” odpowiedź, którą przekazuję do wiadomości redakcji „Semper Fidelis”:

14 stycznia br. odbyła się uroczysta Msza św. za Obu zamordowanych kapłanów w kościele Ojców Pijarów.

Z poważaniem
Sabina Riedlowa

PS. Nazwisko młodego księdza jest „Stuglin” – tak jest napisane przez Niego na książce ofiarowanej mojemu Mężowi.



Lwów 22 VII 1938 r.

Fragment odpowiedzi udzielonej Autorce listu przez Fundację „Non Omnis Moriar”:

„Ks. Andrzej MOŁDOCH (w „Duchowni katolicy w Gólgocie Wschodu” – pozycja 1570) figuruje jako ofiara IV Katynia – zamordowany w więzieniu wewnętrznym UNKWD po aresztowaniu w VII 1940 r., kiedy wracał z ks. Bazylim Charczukiem z Rawy Ruskiej do Lwowa.

Ks. Stefan STUGLIK zginął z głodu w Oświęcimiu 16.12.1942 r.”

WCZORAJ – DZIŚ – JUTRO

Zbigniew Umański Kronika Kresowa

„Przeszłość, która dzieli –

– Eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943-1945” – były tematem dyskusji panelowej zorganizowanej w maju br. we Wrocławiu przez Instytut Pamięci Narodowej, Kolegium Europy Wschodniej oraz Uniwersytet Wrocławski. Uczestniczyli w niej m.in. Marek Siwiec – szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, prof. Leon Kieres – prezes IPN, prof. Władysław Filar z Akademii Obrony Narodowej, prof. Andrzej Chojnowski z Uniwersytetu Warszawskiego, dr Grzegorz Motyka i dr Grzegorz Hryciuk z IPN, Ewa Siemaszko, współautorka monumentalnej pracy o ludobójstwie na Wołyniu, Andrzej Żupański – prezes Światowego Związku Żołnierzy AK, Okręg Wołyń, dr Adolf Juzwenko – dyrektor „Ossolineum”

Stronę ukraińską reprezentowali: prof. Myrosław Popowicz z Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, prof. Mykoła

Riabczuk z miesięcznika kijowskiego „Krytyka” i doc. Ihor Iljuszyn z Uniwersytetu Słowianoznawstwa w Kijowie.

Obecni byli także JE ks. Henryk kardynał Gulbinowicz i JE ks. biskup Włodzimierz Juszczak – Ordynariusz Diecezji Wrocławsko-Gdańskiej Kościoła Grekokatolickiego. Moderatorami dyskusji byli profesorowie Andrzej Friszke i Włodzimierz Suleja.

Polscy politycy i historycy – choć nie wszyscy stanowczo – przedstawili polskie ustalenia w oparciu o dokumentację OUN-UPA, które jednoznacznie potwierdzają, że na byłych Kresach II RP doszło w 1943 r. do ludobójstwa, bestialskich mordów na ludności polskiej. Historycy ukraińscy zastanawiali się, kto i kiedy wydał rozkaz zabijania bezbronných kobiet, dzieci i starców, jaka jest faktycznie liczba ofiar, bo ukraińskie źródła podają mniejszą liczbę. Starali się tłumaczyć tragiczne wydarzenia na Wołyniu i w Małopolsce urazami Ukraińców z przeszłości – dyskryminacją, szykanowaniem ich przez władze polskie itp. Wnioskowali: trzeba nadal szukać wiarygodnych dokumentów, bo dopiero ich odnalezienie pomoże wyjaśnić, jak mogło dojść do ekstermi-

nacji mniejszości polskiej, kto za to ponosi odpowiedzialność...

Odpowiadając na te wątpliwości ukraińskich historyków m.in. prof. W. Filar zacytował raporty, meldunki, sprawozdania UPA, gdzie, kiedy zapadły decyzje o fizycznej likwidacji i kto był „za”, ilu Lachów zlikwidowano. Są takie dokumenty. Nie wiem, czy przekonał ukraińskich gości, ale nie ustosunkowali się merytorycznie do jego wypowiedzi, nie kwestionowali prawdziwości tych faktów. W dyskusji głos z sali zabierało wiele osób m.in. senator Maria Berny, która była świadkiem mordów na Wołyniu, dr Danuta Nespiak, Igor Salamon, prezes Związku Ukraińców we Wrocławiu, Andrzej Żupański i inni. Większość uczestników dyskusji było zdania, że nic nie może usprawiedliwić mordowania niewinnej ludności cywilnej. Pojednanie polsko-ukraińskie i wzajemne wybaczenie nie będzie możliwe bez potępienia zbrodni ukraińskich nacjonalistów OUN-UPA. Nie narodu ukraińskiego. Czy te uczucia Polaków, zwłaszcza Kresowian, dotrą do wielu jeszcze Ukraińców, którzy wołyńskie ludobójstwo nazywają „wydarzeniami”, „konfliktem etnicznym”, „wojną domową polsko-ukraińską”. 33 deputowanych do ukraińskiego parlamentu zaapelowało ostatnio do Polaków i Ukraińców o wzajemne wybaczenie krzywd w przededniu 60. rocznicy rzezi wołyńskiej. Niestety, nie chcą uznać faktu, iż na Wołyniu miały miejsce zbrodnie. Autorzy listu zaapelowali do Polaków, aby zrezygnowali z żądań jednostronnych przeprosin ze strony Ukrainy za Wołyń, gdyż nie służy to... pojednaniu. „Dla wzajemnego zrozumienia konieczna jest rewizja ze strony Polski antyukraińskich uprzedzeń” – podkreślili w apelu. Dalej idzie w swoim liście były premier Ukrainy W. Juszczenko, ale i on nie chce powiedzieć całej prawdy.

Doradcy prezydenta Leonida Kuczmy także nie mają wspólnego poglądu na krwawe wydarzenia wołyńskie z lat 1943-44, stąd jedni radzą mu przeprosić Polaków, inni nalegają na obustronne przeprosiny – napisał lwowski dziennik „Wysoki Zamek”.

Prezydent Ukrainy, który wcześniej obiecał Aleksandrowi Kwaśniewskiemu wyjaśnienie wszystkich okoliczności tragedii wołyńskiej i potępienia „tej przemocy” we wspólnym oświadczeniu, ostatnio przyznał – jak doniosła Polska Agencja Prasowa – że między jego krajem a Polską „istnieją rozbieżności związane z historią”. Co to znaczy? Dodał jednak, że można je usunąć przy stole rozmów. L. Kuczma rozmawiał ostatnio w Kijowie z prezesem polskiego Trybunału Konstytucyjnego Markiem Sałjanem i zapowiedział, że on i prezydent Kwaśniewski mają zamiar spotkać się na Wołyniu, by „przedstawić własne widzenie tych wydarzeń”. Kiedy to nastąpi? Kiedy i gdzie odbędą się zapowiedziane wspólne obchody 60. rocznicy rzezi na Wołyniu?

My we Wrocławiu już wiemy, a prezydent stolicy Dolnego Śląska potwierdził, że obchody uczczenia pamięci pomordowanych 60 lat temu na Wołyniu odbędą się 28 czerwca br. Rozpoczną się o godz. 10 uroczystością pod jednym, jak dotąd, w Polsce Pomnikiem – Mauzoleum Pamięci Ofiar Nacjonalistów Ukraińskich spod znaku OUN-UPA – modlitwą za pomordowanych, złożeniem wieńców i zapaleniem zniczy. Wojewoda Dolnośląski St. Łopatowski wygłosi okolicznościowe przemówienie. Potem uczestnicy uroczystości przema-

szują ulicami Wrocławia na Rynek, gdzie odbędzie się (o godz. 11.00) uroczysty Apel Pomordowanych, a Prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz wygłosi przemówienie. O godz. 11.30 w kościele św. Elżbiety rozpocznie się msza św. w intencji pomordowanych na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

W Komitecie Honorowym Uroczystości w dniu 28 czerwca są ks. Henryk kardynał Gulbinowicz, Metropolita Wrocławski, ks. Włodzimierz Juszczak – Biskup Ordynariusz Diecezji Wrocławsko-Gdańskiej, ks. Arcybiskup Jeremiasz – Ordynariusz Diecezji Wrocławsko-Szczecińskiej Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

Pójdźcie z nami pod Pomnik – Mauzoleum Pamięci.

„Orlęta” także w Płocku

Miłą wiadomość mam dla nas, lwowiaków. Kolejna szkoła w Polsce, tym razem Gimnazjum nr 2 w Płocku przybrała imię „Orląt Lwowskich”. Tak zdecydowała młodzież, grono pedagogiczne i rodzice uczniów. Cieszy nas, że patronami tej płockiej szkoły z długoletnią tradycją (dawniej SP nr 4) zostały nasze bohaterskie Orlęta i odtąd będą dla młodzieży wzorem do naśladowania – w nauce i umiłowaniu ojczyzny.

Nadanie imienia Gimnazjum nr 2 miało niezwykle uroczysty charakter. Honorowy patronat objęli: senator RP Z. Kruszewski, poseł A. Piłat i prezydent Płocka M. Milewski. TMLiKPW reprezentował wiceprzewodniczący Zarządu Głównego Ryszard Orzechowski. W Bazylice Katedralnej JE ks. biskup Roman Marcinkowski celebrował Mszę św., a następnie poświęcił nowy sztandar szkoły. Uczestniczyła w niej cała spo-



Uroczystość poświęcenia sztandaru Gimnazjum nr 2 im. „Orląt Lwowskich” w płockiej Bazylice Katedralnej. Dyrektor szkoły Jolanda Wojtulanis całuje sztandar.

łeczność Gimnazjum nr 2 – uczniowie, nauczyciele, rodzice, pracownicy szkoły. Obecni byli także nauczyciele-seniorzy SP nr 2, której dorobek i tradycje kontuuje Gimnazjum nr 2. Po nabożeństwie uroczystie odprowadzono sztandar do szkoły, gdzie nastąpiło odsłonięcie Tablicy Pamiątkowej. Następnie odbył się finał konkursu historycznego „Znam patrona mojej szkoły”. Uczestniczyło w nim 34 uczniów. Jednakową liczbę punktów i I miejsce zdobyły aż 3 uczennice: E. Nowa-

kowska, M. Polańczyk i M. Tomaszewska z kl. III d, co świadczy o świetnym przygotowaniu. Konkurs opracowała mgr Bilach, nauczycielka historii.

Z okazji nadania „2” imienia „Orląt Lwowskich” w szkole urządzono szereg wystaw. M.in. fotograficzne: „Łyczakowskie kwatery Orląt Lwowskich” – autorstwa Z. Krydy, prezesa Płockiego Towarzystwa Fotograficznego, „Lwów dziś” – A. Sitkowskiego, „Harcerstwo Lwowskie 1911-1939” – wypożyczona z Muzeum Harcerstwa w Warszawie, plastyczna „Lwów i Płock” – prace uczniów.

Wszystkie klasy tego gimnazjum uczestniczyły w koncertach piosenki lwowskiej „Nie ma jak Lwów” przygotowanych przez mgr. D. Orłowskiego oraz w Rajdzie Pamięci po Płocku. Uczniowie odwiedzili miejsca upamiętniające bohaterską obronę Płocka w 1920 r., krwawo okupioną przez najmłodszych bohaterów – harcerzy i uczniów – Orląt Płockie.

Sztandar w imieniu fundatorów przekazali Gimnazjum nr 2 rodzice uczniów: W. Urbaniak, M. Wajszczak i M. Wawer.

Gratulujemy „2” wyboru patronów oraz podniosłej uroczystości nadania imion „Orląt Lwowskich” i poświęcenia sztandaru, a także interesujących imprez towarzyszących i wystaw przygotowanych przez nauczycieli.

Gościliśmy we Wrocławiu wycieczkę uczniów i nauczycieli Gimnazjum nr 27 imienia „Orląt Lwowskich” w Warszawie. Obejrzelibyśmy panoramę Racławicką, Katedrę Wrocławską, Uniwersytet, Ossolineum oraz pomniki: Aleksandra hr. Fredry na wrocławskim Rynku, Katyński, Ofiar Narodowców Ukraińskich OUN-UPA, Pomordowanych Profesorów Lwowskich i na koniec – Pomnik Orląt Lwowskich, u stóp którego złożyliśmy kwiaty i zapaliliśmy znicze pamięci.

Każdy uczestnik wycieczki otrzymał od prezesa ZG TMLiKPW A. Kaminskiego album „Leopolis docet” („Lwów uczy”) o martyrologii profesorów rozstrzelanych przez hitlerowców na Wzgórzach Wuleckich w 1941 roku.

Miałem wielką satysfakcję mogąc oprowadzić warszawskie „Orląta” lwowskimi śladami we Wrocławiu.

Z życia Kościoła na Kresach

Z opóźnieniem informujemy (prasa z Ukrainy dociera do nas nieregularnie), że 23 lutego br. w wieku 84 lat i w 60 roku kapłaństwa, zmarł Jego Ekscelencja ks. bp Jan Olszański – sześćdziesiąty biskup kamieniecki. Człowiek głębokiej wiary i miłości do Boga i bliźniego, długoletni duszpasterz wśród katolików i Polaków na Podolu. Wielce zasłużony w dziele zachowania wiary w czasach prześladowań i represji. obrońca kultury polskiej i tradycji Kościoła rzymskokatolickiego. Niezmordowany i cierpliwy Pasterz o wielkim sercu. Takim pozostanie na zawsze w pamięci rodaków na Kresach pld.-wsch.

We lwowskiej Bazylice Metropolitalnej odbyła się msza św. dziękczynna z okazji piątej rocznicy mianowania kardynałem Metropolity lwowskiego obrządku łacińskiego Arcybiskupa Marian Jaworskiego. Przewodniczył jej sam jubilat w koncelebrazie ze wszystkimi bi-

skupami, pracującymi na Ukrainie, licznymi kapłanami z całej archidiecezji i z zagranicy, osobami konsekrowanymi, wiernymi. Na uroczystość przybył przedstawiciel Stolicy Apostolskiej – nuncjusz, ks. arcybiskup Nicolai Eterović.

1 kwietnia w Archikatedrze Lwowskiej odbyła się uroczysta msza św. z okazji rocznicy poświęcenia obrazu Matki Bożej Łaskawej oraz ślubów króla Jana Kazimierza. Eucharystię odprawił ks. kardynał Marian Jaworski w obecności licznych księży i wiernych.

Dymisje we Lwowie

Z powodu dramatycznego wzrostu przestępczości i korupcji w obwodzie lwowskim prezydent Ukrainy Leonid Kuczma zdymisjonował szefa administracji obwodowej Myrona Jankiwa, polecił też ministrowi spraw wewnętrznych usunąć ze stanowiska szefa milicji lwowskiej, a prokuratorowi generalnemu – zmienić miejscowego prokuratora – doniósł korespondent „Rzeczpospolitej”.

Według Olgi Kolińko, szefowej specjalnego komitetu ds. walki z przestępczością zorganizowaną przy administracji prezydenta Ukrainy, w obwodzie lwowskim „sytuacja kryminogenna jest złożona, nie udaje się wykręć winnych zabójstw na zamówienie, imituje się walkę z korupcją, a równocześnie naruszane są przepisy zatrzymanych i oskarżonych” – pisze ten korespondent.

W najnowszym sondażu Kijowskiego Instytutu badań Społecznych – informuje z kolei „Gazeta Wyborcza” – 44 proc. Ukraińców przyznaje, że w 2002 r. wręczyło łapówkę. Najbardziej skorumpowane dziedziny to bezpłatna opieka zdrowotna, milicja drogowa oraz edukacja. dalej plasują się służby skarbowe, wymiar sprawiedliwości i celnicy. – Poziom korupcji zagraża już bezpieczeństwu narodowemu – twierdzi Taras Klimenko z Forum Antykorupcyjnego.

Bez komentarzy.

Kultura Kresowa w Legnicy

II Dni Kultury Kresowej odbyły się w maju w Legnicy. Trwały tydzień, a program ich był, podobnie jak w roku poprzednim, bogaty i urozmaicony. W klasztorze oo. Franciszkanów odbył się koncert pieśni polskiej „Zaspiewajmy razem”, podczas którego legniczanie śpiewali pieśni kresowe i ludowe. W Rynku mieszkańcy mogli smakować potrawy kuchni kresowej – barszcz, pierogi lwowskie słuchając koncertu kwartetu muzycznego. W ogrodzie klasztornym zorganizowano Festyn Kresowy, w trakcie którego swój repertuar zaprezentowały trzy zespoły artystyczne – chór „Cantus Animae”, zespół młodzieżowy „Odrodzenie” oraz kwartet wirtuozów „Leśne kwiaty”, zaproszone przez organizatorów DNI z Drohobycza.

W Dniu Wileńskim otwarto wystawę „Wileńskie klimaty w prasie dawnej” i odbyło się spotkanie z poetą i dziennikarzem wileńskim Romualdem Mieczkowskiem. O „Lwowie wczoraj i dziś” opowiedział legniczanom Wojciech Szydłowski, prezes TMLiKPW w Legnicy. W Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej zorganizowano sesję popularno-naukową „Polskie dziedzictwo kulturowe Kresów”. Otworzył ją rektor PWSZ prof. St. Dąbrowski.

Wielką niespodziankę sprawił organizatorom i uczestnikom legnickich DNI pisarz, reżyser, a przede wszystkim lwowianin Jerzy Janicki. Przyjechał wprost z miasta „Semper Fidelis”, gdzie tworzy nowy film o Cmentarzu Łyczakowskim i Cmentarzu Obrońców Lwowa. Wraz z nim przyjechała do Legnicy delegacja Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z jego prezesem Emilem Legowiczem. Goście ze Lwowa, wraz z Jerzym Janickim, spotkali się z młodzieżą Liceum Medycznego w Legnicy. Opowiadali o Kresach, o Lwowie i rodakach tam mieszkających.

Kulminacyjnym punktem programu legnickich DNI była uroczysta Msza św. w intencji Polaków pomordowanych na Kresach Pld.-Wsch. Homilię wygłosił prałat Tadeusz Kosiński – kresowianin. Po nabożeństwie w nawie kościoła oo. Franciszkanów odsłonięto tablicę-epitafium poświęconą pamięci Polaków pomordowanych na Wołyniu. Przemawiali poseł Tadeusz Samborski, Jerzy Janicki i oo. Bronisław.

II Dni Kultury Kresowej w Legnicy zakończył Koncert Finałowy w sali Rycerskiej Centrum Kultury. Wystąpiły zespoły z Drohobycza oraz „Wronianki” z Góry i „Podgórzanie” z Paszowic.

Organizatorami tegorocznych DNI były TMLiKPW, Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej, Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz Stowarzyszenie Kulturalne „Krajobrazy” w Legnicy, a patronował im poseł Tadeusz Samborski.

Żałujemy, że nie uczestniczyliśmy w udanych DNIACH...

Już 45 lat...

... prezentują widzom, polskim i ukraińskim, dramaty, komedie, farsy, klasykę i sztuki współczesne aktorzy

Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Z okazji Jubileuszu odbył się uroczysty wieczór w Teatrze. Przemawiali przedstawiciele władz miasta, aktorzy lwowskich teatrów, goście z Polski. Mówiono o zasługach reżysera Zbigniewa Chrzanowskiego, scenografa Walerego Borkiowa oraz aktorów. Padły słowa uznania, podziwu, podziękowania. Aktorzy otrzymali dyplomy uznania od władz Lwowa, a od gości przybyłych na Jubileusz z Polski – odznaki „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Dołączamy serdeczne gratulacje i słowa uznania dla całego zespołu!

Polsko-ukraińska rozgłośnia

Ukraińska Rada ds. Radia i Telewizji przyznała koncesję polsko-ukraińskiej rozgłośni Radioman we Lwowie – poinformowała Polska Agencja Prasowa. Jednym z celów nowej rozgłośni jest sprzyjanie „pojednaniu między Polakami i Ukraińcami”. W ostatecznej rozgrywce o wolne częstotliwości we Lwowie walczyły trzy stacje. Wygrała koncepcja wspólnych programów nadawanych po polsku i ukraińsku. Radioman ma nadawać dwujęzyczne serwisy informacyjne, publicystykę istotną dla Polaków i Ukraińców, programy religijne z Watykanu. Ponadto stacja chce pokazywać na polskim przykładzie problematykę integracji europejskiej, promować polskie firmy na Ukrainie i ukraińskie w Polsce. Udziałowcem radia jest Polsko-Ukraińskie Stowarzyszenie Medialne oraz gazeta polskiej mniejszości na Ukrainie – „Dziennik Kijowski”. Wielu polskich i ukraińskich polityków, a także dziennikarzy ze Lwowa i Katowic od blisko dwóch lat zabiegało o pozwolenie na stworzenie takiego radia.

Na jakiej długości fali będzie nadawać lwowski Radioman? – PAP nie poinformowała.

KRONIKARZ KRESOWY

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Florian Ciuruś (1926-2003)



Dnia 10 maja 2003 roku w Stosowicach odszedł Florian Ciuruś, wybitny Pokucianin, dziejopis polskiego osadnictwa wiejskiego na Pokuciu. Urodził się 8 maja 1926 w Świętym Józefie w powiecie kołomyjskim, w rodzinie Antoniego, rolnika, i Rozalii z d. Świątek. W młodości utracił ojca, wcześniej musiał się zająć gospodarką i rodziną. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Świętym Józefie w 1939 zdał egzamin do Państwowego Gimnazjum im. Króla Kazimierza Jagiełły w Kołomyi, naukę kontynuował w sowieckiej już „dziesięciolatce” w Kołomyi. Trudy wojenne: okupacja sowiecka, niemiecka, napady OUN-UPA, wysiedlenie przez Niemców, a później przez Sowieków przeżył z rodziną. Po wojnie osiedlił się w Stosowicach k. Ząbkowic, tu założył rodzinę i podjął pracę zawodową jako ekonomista w Srebrnej Górze i Ząbkowicach, ucząc się jednocześnie w Technikum Ekonomicznym we Wrocławiu.

Po raz pierwszy odwiedził rodzinne strony w latach 70. Jakież było jego zdziwienie gdy w miejscu kwitnącej niegdyś, rozległej wioski, posiadającej 386 gospodarstw, położonych wzdłuż 13 nazwanych ulic, oraz budynki: Szkoły Powszechnej, Domu Ludowego, Domu SS Felicjanek i kościoła z wyniosłą wieżą, zobaczył pusty step będący we władaniu trzech kolchozów. Wtedy zapewne pojawiła się potrzeba utrwalenia przeszłości i napisania wspomnień. Gdy we Wrocławiu przy TMLiKPW powstał w 1990 Klub, a w roku następnym Oddział Miłośników Kołomyi „Pokucie”, włączył się aktywnie w jego działalność. W Zarządzie Oddziału pracował w l. 1996-2000. Posiadał niezwykłą dzisiaj cechę zjednywania ludzi, skupił w „Pokuciu” dawnych mieszkańców Świętego Józefa i okolicznych polskich wiosek, dziś mieszkających w okolicy Ząbkowic Śląskich. Razem z nimi uczestniczył w wyjazdach „Pokucia” do małej ojczyzny. Wówczas przy pomocy miejscowych Ukraińców dawni mieszkańcy Świętego Józefa postawili w miejscu zburzonego kościoła drewniany krzyż. Pan Florian poszukiwał znajomych ludzi i materialnych pamiątek z przeszłości, w 1992 odkrył w cerkwi w Iwanowcach najstarszy, zakopany w 1944, dzwon z kościoła w Świętym Józefie. Zaczął intensywnie zbierać materiały do dziejów Świętego Józefa i okolicznych wiosek, jeździł po

całej Polsce na rozmowy z Rodakami, skrzępie gromadził dokumenty, fotografie i książki, cenne materiały znajdował nawet na śmietniku. W 1995 wypożyczył swoje cenne zbiory na wystawę „Pokucie – ziemia Vincenta”, na której wiosce Święty Józef i sąsiednim wioskom poświęcono dwie plansze fotograficzne. Przez siedem lat istnienia pisma „Gdzie szum Prutu...” był stałym jego współpracownikiem, wzbogacając je zawsze ciekawymi informacjami.

Przez trzy lata borykał się z trudnościami związanymi z przygotowaniem napisanego tekstu do druku. Pomocy udzielili Mu: nieżyjący już Stanisław Gwozda, wspomniały Pokucianin, rodem z Siedlisk, redakcja „Gdzie szum Prutu...”, subskrybenci i Zarząd Główny TMLiKPW, który udzielił swego konta na dokonywane przedpłaty. W 1998 ukazała się oczekiwana książka „Wieś Święty Józef i okolice na Pokuciu”. Autor poświęcił ją *tym którzy Ojczyznę żywili, Ojczyzny bronili i za nią cierpieli, oddając życie*. W tej cennej pracy Pan Florian opisał dzieje polskich osad: Święty Józef, Świę-

ty Stanisław, Siedliska, Chorosno i Bednarówka, powstałych w II połowie XIX w. na pograniczu powiatów: kołomyjskiego, nadwórniańskiego i tłumackiego. Ocalili od zapomnienia dla nas, dla przyszłych pokoleń i dla historii Polski założyciela Świętego Józefa ks. Karola Przyborowskiego, księży, nauczycieli i wszystkich mieszkańców oraz tych, którzy walczyli za Ojczyznę w Legionach Polskich, POW, w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920, we Wrześniu 1939, w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, i tych którzy cierpieli z rąk sowieckich, niemieckich i nacjonalistów ukraińskich. Książkę przyjęto z ogromną wdzięcznością w kraju i za granicą. W dalszych planach była historia Peterwitz – Stosowic, miejscowości w której zamieszkał po wygnaniu z Pokucia. Nie zdążył.

Odszedł człowiek szlachetny i uczciwy, wielkiej kultury, mądrości i skromności, pełen tolerancji dla kultury innych narodów. Takim Go zapamiętamy.

Bożena Krupska

Śp. Krystyna Karbownik (4.02.1941 – 2.05.2003)

*„I tak codziennie ktoś odchodzi
Ktoś wsiąka w ziemię niczym ziarno
To z warty schodzi pokolenie
co życia nie oddało darmo
To schodzi ta najwyższa nuta
To schodzi ten najczystszy ton
z którego jeszcze wszędzie plony
w zwycięstwo zamieniając zgon...”*



Słowa kresowego poety Jerzego Narbutta żegnam śp. mgr Krystynę Karbownik, członka Zarządu Głównego TMLiKPW, dyrektora Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”, nieustraszoną orędowniczkę spraw kresowych, wieloletniego prezesa oddziału wrocławskiego TMLiKPW, inicjatorkę licznych konkursów o Lwowie dla młodzieży i uroczystości związanych z urodzinami Aleksandra hr. Fredry i Dni Lwowa we Wrocławiu. Żegnaj droga Krysiu i tam już z „drugiego brzegu” kieruj naszymi krokami tu na ziemi, a ta wrocławska ziemia, zmieszana z lwowską niech Ci będzie lekka.

Śp. mgr Krystyna Karbownik urodziła się 4.02.1941 r. we Lwowie. Ukończyła w 1966 r. Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Gdańsku na wydziale geografii. W 1975 r. ukończyła Podyplomowe Studium Administracji na Uniwersytecie Wrocławskim oraz w 1987 r. Podyplomowe Studium Pedagogiki Specjalnej. Pracowała jako nauczyciel, pełniąc również liczne funkcje jako podinspektor szkolny w Wydziale Oświaty Wrocław Psie Pole i wizytator w Kuratorium Oświaty i Wychowania. W ostatnim okresie 1985-2000 była Dyrektorem Szkoły przy Wojewódzkim Specjalistycznym Szpitalu Chorób Dziecię-

cych im. J. Korczaka. Pełniła liczne funkcje społeczne będąc członkiem PTTK we Wrocławiu. Odznaczona m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz nagrodami Ministra, Kuratora i Inspektora Oświaty oraz odznaką Zasłużonej dla Miasta Wrocławia i Województwa.

Pożegnaliśmy śp. Krystynę w piękny majowy dzień na małym cmentarzu przy kościele Św. Jacka na Swojczycach, gdzie prochy jej spoczęły obok grobu Rodziców.

Żal, smutek i pustkę uczyniła Jej śmierć, a słowa p. Sławomira Piechoty mówiące, że przywracała pamięć, uczyła kochać Lwów we Wrocławiu i pracowała by szanowano Wrocław we Lwowie, pokazywała jak wspólnie pracować nad przepaściami historii w pełni oddając Jej postać.

Uczcijmy Jej pamięć, kontynuując Jej dzieło.

(A.K.)

Krysiu

*Dlaczego nas opuściłaś?
W smutku wielkim pograżyłaś
Wszyscy Ciebie bardzo kochali
Miłość do Lwowa i Kresów podziwiali.*

*Wyroki Boskie są niezbadane,
Każdemu odejść też pisane.
Choć śmierć Ciebie zabrała
Miłość nasza pozostała.*

*My Boga w sercach mamy,
Łzy po Tobie wylewamy.
Kiedys Ciebie odwiedzimy,
Nie znamy tylko godziny.*

Drożej Krystynce tych parę słów naszrajbował co o Lwów z faszystami wojował major Stanisław Jachutowski. □

Śp. inż. Jerzy Kopacz



Ur. 23.10.1926 r. we Lwowie zm. 14.04. 2003 r. w Bielsku Białej.

Dzieciństwo i lata szkolne spędził w rodzinnym mieście. Był uczniem Prywatnej Szkoły Powszechnej Heleny Makowieckiej i Aleksandry Filskiej, a następnie XI Gimnazjum.

W czasie okupacji, pomimo bardzo młodego wieku, pracował od 1941-44 w Instytucie Przeciwtfusowym kierowanym przez prof. Rudolfa Weigla w charakterze karmiciela, co pomogło przetrwać rodzinie ciężkie czasy.

Po przymusowym wyjeździe z Kresów trafił na Górny Śląsk, do Gliwic, gdzie w r. 1950 ukończył studia na Wydziale Elektrycznym Politechniki Śląskiej. W r. 1956 przeniósł się wraz z rodziną (żoną Zofią z Sołtyńskich, również lwowianką oraz dwiema córkami) do Bielska Białej i choć starał się zasymilować z nowym środowiskiem, m.in. poprzez aktywne uczestnictwo w życiu sportowym (grał w hokeja na lodzie, tenisa ziemnego, a w późniejszych latach z powodzeniem startował w turniejach brydża sportowego) oraz pogłębianie znajomości języków obcych (był tłumaczem przysięgłym z języka niemieckiego i rosyjskiego, ale władał również kilkoma innymi), do ostatnich chwil myślał i sercem pozostał związany ze swym ukochanym Lwowem.

Śp. Stanisław Kruczek



Syn Karola i Walerii z domu Zys urodził się w Tarnopolu w dniu 7.04.1928 r. Tam mieszkał wraz z rodzicami do 1936 r. tj. do czasu, kiedy ojciec został przeniesiony na emeryturę i przeniósł się z rodziną do Jarosławia. W Jarosławiu ukończył 7-letnią szkołę powszechną w 1942 r.

W czasie okupacji hitlerowskiej ukończył w 1944 r. 2-letnią szkołę handlową dla Polaków. Wymieniona szkoła została przekształcona po wojnie w gimnazjum i liceum handlowe, które ukończył i zdał maturę w 1948 r. Po otrzymaniu świadectwa maturalnego w 1948 r. rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlowej we Wrocławiu. Studia przerwał na skutek powołania do odbycia przeszkolenia wojskowego w Szkolnej Kompanii Oficerów Rezerwy. Po ukończeniu przeszkolenia pozostawiono go rozkazem MON w czynnej służbie wojskowej do 23.05.57 r. Jako oficer saper został skierowany na rozminowywanie Rzeszowszczy-

Korzystał z każdej możliwości wyjazdu w rodzinne strony, przede wszystkim, aby odwiedzić grób ojca Adama Kopacza oraz pozostałych członków rodziny pochowanych na Cmentarzu Łyczakowskim. Wielokrotnie podczas tych podróży korzystał z gościny u Stanisława Adamskiego i jego rodziny, których dom zawsze był pełen tych, których gnała tęsknota za miastem lat dzieciennych.

W r. 1989 był inicjatorem powstania Oddziału TML w Bielsku Białej i jego pierwszym prezesem. W latach 1989-1991 był ponadto członkiem Zarządu Głównego TMLiKPW, gdzie znany był jako człowiek oddany bez reszty sprawie Lwowa i Kresów. Od roku 1993 był honorowym prezesem TML O/Bielsko Biała zasługując na uznanie, szacunek i pamięć. Wspierał też materiałami historycznymi i literaturą lwowską Gimnazjum im. Orłąt Lwowskich w Bielsku Białej (Hałcnowie).

Podtrzymywał liczne kontakty z kolegami i znajomymi z rodzinnych stron, w tym m.in. z Witoldem Szolginia i lwowskim bardem Jerzym Michotkiem.

W ostatniej drodze Zmarłemu towarzyszyli liczni Kresowianie, zarówno członkowie rodziny, jak i przyjaciele z bielskiego oddziału TMLiKPW.

Mowę pożegnalną wygłosił p. Leszek Krajnik – Prezes Oddziału – wrzucając do grobu garść ziemi lwowskiej z Cmentarza Orłąt Lwowskich, tej ziemi, z której wyrósł, którą ukochał i był jej wierny do ostatnich swoich dni. □

zny – Bieszczad i innych rejonów Polski. To trudne zadanie organizował bardzo dobrze i całkowicie bezpiecznie. Po przejściu do cywila w 1957 r. podjął pracę w Świdnickiej Fabryce Wagonów w dziale gospodarki materiałowej. Wywiązywał się ze swoich obowiązków wzorowo ku zadowoleniu przełożonych.

W dniu 31 marca 1991 r. przeszedł na emeryturę.

Przez cały czas pracy zawodowej udzielał się społecznie pracując jako przewodniczący Komisji Rewizyjnej Okręgowej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej oraz Związku Pszczelarskiego. Był aktywnym działaczem Ligi Obrony Kraju i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Jako mistrz pszczelarski prowadził od 1957 r. kilkunastorodzinną pasiekę, chętnie przekazywał swoje doświadczenie innym.

Uzyskał wiele wyróżnień i odznaczeń m.in.: Złotą Odznakę Zasłużonego dla TMLiKPW, stopień Kapitana Wojska Polskiego.

Odnosił się życzliwie i serdecznie do ludzi, z którymi pracował, do sąsiadów, którym w razie potrzeby pomagał.

Zmarł 18.04.2003 r. □

Śp. Jerzy Masior (1924-2003)

*„Czy pamiętasz to miasto tam na dole
Kiedy lwowski nadchodzi tam mrok
Ja to miasto nad wszystkie wciąż wolę
Tam me serce i każdy mój krok.”*

(Jerzy Masior)



Urodził się 7.02.1924 w Chodorowie n/Lugiem w małym podolskim miasteczku. Ta ziemia rodziła odwiecznie nie tylko płody rolne ale i poetów. Nazywa się to „genius loci”. Potem był Lwów i od 1927 do 1936 r. Nowy Sącz. W autobiograficznej „Przetakówce” opisał swoje dzieciństwo i dzielnicę Nowego Sącza – Przetakówkę, a potem znowu był Lwów. Szkołę Powszechną ukończył w 1936 r. Do II Gimnazjum uczęszczał już we Lwowie. We wrześniu 1939 r. miał rozpocząć naukę w IV klasie gimnazjum, ale rozpoczął wojowanie. Stał na czele 40 Lwowskiej Drużyny Harcerskiej na Dworcu Podzamcze. Do sierpnia 1944 przebywał we Lwowie, gdzie zrobił maturę. Potem było Wojsko Polskie IV Dywizji Piechoty oraz Dywizjon Artylerii Samochodowej. Była też szkoła oficerska lotnicza.

W 1947 r. rozpoczął edukację medyczną we Wrocławiu i związał się z ośrodkiem prof. Edwarda Szczeklika. Tu się doktoryzuje. Praca, liczne grono przyjaciół, kolegów, założenie rodziny pozwalało Mu przyzwyczajać się do Wrocławia, do jego spokojnego pejzażu, do urody

rzeki, mostów, parków, do zgiełku tramwajów, które przypominały Lwów. Nastąpił jednak czas męskich decyzji i powrót do dzieciństwa. Przenosi się do Gorlic, a potem Nowego Sącza.

Wykonując zawód lekarza, szukał rekompensaty. Pisał, malował – tworzył. Od 1980 r. zaczęły powstawać strofy lwowskie, które zaczęły dominować w jego twórczości. Miał satysfakcję, że krąg ludzi wokół Niego, z obojętnych stają się miłośnikami Lwowa i Kresów, Jego poezje to misje, a ludzie są spełnieniem tej misji – szczególnie najmłodszy. Jego pasje to również turystyka, Jacht Club, a przede wszystkim Towarzystwo Miłośników Lwowa, którego prezesem jest aż do śmierci w Nowym Sączu. Niezmordowany w tej pasji, nigdy „na światłach postojowych”.

Wydał liczne tomiki poezji m.in. „Tyle Cię wszędzie”, „Nasłonecznienie”, „Widnokreśli do powtórzenia”, „Czas bywa ciszą”, „Lato na Litwie”. Wydał zbiór lwowsko-kresowych pieśni powstałych po wojnie jako specjalny numer „Semper Fidelis”. Od wielu lat drukował swoje osobiste wspomnienia i przeżycia w „Semper Fidelis” pod wymownym tytułem „Pamiętanie, ale jakie”. Tego już nie będzie.

Zmarł nagle 19 kwietnia 2003 r., a pogrzeb odbył się w dniu Jego Imienin. Pochowany został na zabytkowym cmentarzu w Nowym Sączu.

Żegnam Cię Drogi Przyjacielu w imieniu całego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, a gródka ziemi z Cmentarza Obrońców Lwowa, którą położyłem na Twojej trumnie, niech Ci przypomni Twoje kochane miasto, Twoją Leśną i Łyczaków. (A.K.)

Śp. Tadeusz Neuhoﬀ (1924-2003)



Tadeusz Neuhoﬀ urodził się 3 stycznia 1924 r. we Lwowie. W latach 1926-1939 mieszkał w Bielsku-Białej, gdzie rozpoczął swoją edukację. Z początkiem września 1939 r. został ewakuowany do Lwowa. We Lwowie kontynuował naukę w gimnazjum i na Politechnice Lwowskiej przemianowanej na tzw. Technische Fachkurse, a następnie w Lwowski Politechniczno-Institut. Równolegle pracował jako karmiciel wszy w Instytucie Szczepionki Przeciwtfusowej prof. Rudolfa Weigla i brał udział w konspiracji na Politechnice, prowadząc działalność niepodległościową. Dnia 6 stycznia 1945 r. aresztowany przez NKWD, przebywał w więzieniu przy ul. Łackiego we Lwowie, za współpracę z AK. Przeszedł wielokrotnie ciężkie nocne przesłuchania. W czerwcu 1945 r. wyjechał do Krakowa, gdzie kontynuował studia na Akademii Górniczo-Hutniczej. W grudniu 1947 r. uzyskał tytuł mgr. inż. mechanika.

W latach 1948-1951 Tadeusz Neuhoﬀ pracował w Zakładach Aparatury Chemicznej – Zieleniewski SA w Krakowie, od maja do października 1951 r. – w WSK Rzeszów, a od października 1951 r. do przejścia na

emeryturę w końcu maja 1990 r. we Wrocławiu w Zakładzie WSK, przemianowanym w 1970 r. na Kombinat PZL – Hydral. Równocześnie był wykładowcą na kursach mistrzowskich (1954-1983), w Lotniczych Zakładach Naukowych (1968-1973), na Kursach Hydrauliki w Ośrodku Doskonalenia Kadr przy Zarządzie Oddziału SIMP (1973-1983), przez wiele lat pracował jako tłumacz techniczny i wykładowca w NOT, reprezentował WSK na Międzynarodowych Targach Technicznych w Poznaniu z ramienia Branżowego Ośrodka Informacji Technicznej, Naukowej i Ekonomicznej, wygłosił wiele odczytów. W latach 1953-1983 działał w PTTK, był członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego – Oddział w Krakowie, pilotem wycieczek. Należał do Związku Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego – Oddział Wrocław. Otrzymał szereg odznaczeń, m.in. Srebrny Krzyż Zasługi, złote odznaki: SIMPu, PZL – Hydral, CINTE, miasta Wrocławia i ZG PTTK.

Był ceniony i lubiany, uczynny, prawy, wielki patriota, o błyskotliwej inteligencji, bardzo obszernej i różnorodnej wiedzy, znakomitej pamięci i humorze. Do ostatnich dni życia śledził bieżące wydarzenia, szczególnie leżały Mu na sercu sprawy Kresów. Zmarł 10 stycznia 2003 r. we Wrocławiu. Został pochowany na cmentarzu Osobowickim.

Wiesława Neuhoﬀ
Wrocław

Śp. Ludwik Piekło



Ur. 19.08.1914 r. w Oleszycach pow. Lubaczów. W 1921 r. wraz z rodzicami zamieszkał w Bilce Królewskiej pow. Lwów. Następnie podejmuje naukę i terminuje we Lwowie u znanego mistrza kominiarskiego Józefa Rawnika. W 1936 r. kończy szkołę zawodową i uzyskuje dyplom czeladniczy w zawodzie kominiarza.

W czasie zajęcia Lwowa przez Sowiety w 1939 r. do 1941, a następnie przez Niemcy hitlerowskie oraz po powtórny zajęcia Lwowa przez Sowiety w 1944 r. pracował jako kominiarz.

W 1942 r. wstąpił do AK i został zaprzysiężony. Czynnie uczestniczył w działalności konspiracyjnej.

Poszukiwania

Szanowna Redakcjo,

Zwracam się z prośbą o pomoc w odnalezieniu osób mogących udzielić informacji o rodzinie Ciuniak, która przed wojną mieszkała w miejscowości Nowosielce, pow. Bóbrka, woj. lwowskie. Moja babcia Aniela Niedbala z domu Ciuniak, urodzona w miejscowości Kopki pow. Nisko i matka Stefania urodzona w Nowosielcach, pow. Bóbrka zostały wywiezione w 1940 wraz z innymi na wschód. W 1943 roku znalazły się w Indiach, skąd wyjechały do obozu dla uchodźców w miejscowości Santa Rosa, w Meksyku. Wiem, że z Nowosielce zostali również wywiezieni w tym czasie członkowie rodzin Karasiów i Olechów.

Może za pośrednictwem Waszego pisma uda się uzyskać informacje o pozostałej w Kraju rodzinie. Wszelkie informacje prosimy kierować na adres: Ambasada Meksyku, Sekcja Konsularna, ul. Starościńska 1 B/24; 02-516 Warszawa, tel. 949-88-00.

Maria Dolores Gutierrez Ciuniak

Ogłoszenie

Zarząd Oddziału Buczac we Wrocławiu informuje Kresowian, że w II kwartale br. ukaże się album Zbigniewa Żyromskiego pt. „Miasto Kresowe – Monasterzyska wczoraj i dziś”. Album zawiera 200 zdjęć kolorowych i widokówek czarno-białych i kolorowych, o objętości 120 str.

Koszt bezpośredniego nabycia wynosi 30 zł, zaś przy wysyłce plus koszt pocztu.

Zamawiać można pod adresem: Oddział Buczac TMLiKPW ul. Pretficza 51/1, 53-403 Wrocław, tel. 78-39-098, lub u autora Zbigniewa Żyromskiego, ul. Sempolowskiej 69/7, 51-661 Wrocław, tel. 34-52-061.

W 1945 r. z powodu grożącego mu aresztowania przez NKWD, opuszcza Lwów i osiedla się w Jedlinie Zdroju pow. Wałbrzych, gdzie prowadzi firmę kominiarską.

W latach sześćdziesiątych przenosi się do Tenczynka k. Krakowa i pracuje jako mistrz kominiarski.

Przywieziony ze Lwowa sztandar Cechu Kominiarzy Lwowskich przekazuje w 1978 r. Kominiarzom Śląskim.

Posiadał uprawnienia kombatanckie. Miłość do utraconego miasta Lwowa kultywował do ostatnich dni swego życia.

Uroczysty pogrzeb zmarłego dnia 2 maja 2003 r. Ludwika Piekła odbył się dnia 5 maja 2003 r. na Cmentarzu parafialnym w Tenczynku k. Krakowa (poprzedzony Mszą Świętą). Żegnali Go: najbliższa rodzina, przyjaciele, kominiarze korporacji miasta Krakowa, miejscowa Straż Pożarna oraz liczni parafianie.

Cześć Jego Pamięci!

Wydawca J. Kowalczyk
ul. Lubiańska 24/2, 31 476 Kraków
e-mail: kajot@uci.agh.edu.pl
tel. (12) 411 36 41

Kraków, czerwiec, 2003 r.

Szanowni Państwo,

Ukazały się drukiem opracowania monograficzne z cyklu **Szkoły lwowskie – monografie**.

Tom I cz. A – Wyższa Szkoła Realna we Lwowie i jej przekształcenia (lata szkolne: 1873/74 – 1920/21), stron 420, ilustracje, indeksy, format B-5; Kraków, 2002; ISBN 83-917022-1-4;

Tom I cz. B – Druga Szkoła Realna we Lwowie (lata szkolne: 1903/04 – 1920/21), stron 400, ilustracje, indeksy, format B-5; Kraków, 2003; ISBN 83-917122-2-2;

Dalsze szczegóły wydawnicze można uzyskać pod podanym powyżej adresem.

W przygotowaniu redakcyjnym są następujące części tomu I (cz. C – **XI Gimnazjum im. Śniadeckich we Lwowie** i cz. D – **XI Gimnazjum im. S. Szczepkowskiego we Lwowie**).

Zainteresowani nabyciem wydanych drukiem cz. A i cz. B tomu I, proszeni są o przesłanie poniższego zamówienia pod podanym poniżej adresem:

„Sprzedaż Uczelnianych Wydawnictw Naukowo-Dydaktycznych AGH”
Bogumiła Masior (tel.: 12/634 46 40)
30 059 Kraków, al. Mickiewicza 30

Zamówienie

Zamawiamy:

.....egz. wydawnictwa „Wyższa Szkoła Realna we Lwowie”,

autor J. Kowalczyk, Kraków 2002; cena egz. 100,- PLN (plus koszty wysyłki);

..... egz. wydawnictwa „Druga Szkoła Realna we Lwowie”,

autor J. Kowalczyk, Kraków 2003; cena egzemplarza 100,- PLN (plus koszty przesyłki);

Faktura płatna: przelewem, gotówką (niepotrzebne skreślić).

Wyrażamy zgodę na wystawienie faktury VAT bez naszego podpisu.

Contents

S. Siekierka, A. Kaminski – Open letter to prof. Leon Kieres, President of the National Memory Institute, Warsaw, concerning the Ukrainian Nationalists' homicides in Podolia in 1944	1	R. Dąbek – Unveiling of the monument in honour of Professor Ludwik Kolankowski, the first Rector of Mikołaj Kopernik University in Toruń	35
An open letter of patriotic organizations to the Supreme Authorities of Polish Republic, concerning the Ukrainian homicides committed in Volhynia in 1943	2	M. Rogalski – Szczercz, a small town in the Borderland, the birth-place of Gen. Stanisław Maczek	37
D. Nespiak – Protest against the counterfeit committed by "Gazeta Wyborcza"	3	P. M. Stański – Creation and inauguration of the Grand Theatre in Lwów	39
D. Tabińska-Juhasz – The ashes of beloved parish-priest rev. Władysław Żygiel returned from the Borderland to his former parishioners now in the Lower Silesia. The funeral sermon preached by rev. Stanisław Turkowski	4	W. Reiss – "Don't write, but donate to Berdyczów"	42
W. Łukaszyński – Col. Leopold Lis-Kula, the hero of struggle for Independence during World War I	8	W. Butowska – On relations between Mościska (now in Ukraine) and Poznań (Poland)	45
J. Piotrowski – The author's combatant recollections – from Stanisławów through Near East and Warsaw Uprising to Wrocław	12	J. Johnson – That year 1943 – a poem	45
T. Łodziana – Recollection of the State Fine Arts Institute in Lwów in the years 1937-1943 (contd)	14	A. Zboryt – From the history of Polish South-East Borderland – The "Golden Gate" and the coronation sword "Szczerebiec"	46
J. T. Leszczyński – In the Tarnopol Podolia	17	S. Leszczyński – Electoral Assembly of the Warsaw Division of Lwów and South-East Borderland Lovers Society	46
R. Węgrzynowicz – From the Scouts' Chronicle of S. Rogoziński 34th Yachting Patrol in Lwów	19	P. Franków – XIth Meeting of Borderland Singers "KRESOVIANA 2003" at Gorzów Wielkopolski	48
B. Rogowski – A bridge over Odra at Kozielsk has got its patron's name	21	A. Przewoźny – XIth All-Polish Children's Festival of Lwów Song "Ta joi!" at Leszno	49
K. Wesolowski – Tarnów paying homage to the Lwów Archbishop Józef Bilczewski in the 80th anniversary of his death	22	L. Kryczyńska-Wolińska – Recollection of Kazimierz Zdanowicz, the former starost deputy at Sambor	51
J. Tarnowski – Promotion of Irena Cisiek-Piątkowska's book of poetry at Zielona Góra	22	J. Oparowska – Easter celebrations by former inhabitants of the South-East Borderland	51
J. Masior – My life-history	23	B. Rogowski – Monograph book on Budzanów, a small town in the former Polish South-East Borderland	52
J. Sibiga – A recollection of our dear Jerzy	25	T. Tomkiewicz – Some remarks concerning Mrs Danuta Śliwińska's article "Aid to Poles beyond the east border" (S.F., No 1/2003)	53
Wandering children of Nowy Sącz	26	S. Riedlowa – On the Foundation "Non Omnis Moriar" in Łódź	54
K. Wesolowski – Obituary notice of the late doctor Jerzy Masior	27	Z. Umański – Borderland Diary	54
A. Birecka – The Gracious Holy Virgin of the Lwów Archcathedral – a poem	27	OBITUARY COLUMN	
S. Kuhl – A poem in remembrance of the late Jerzy Masior	28	Florian Ciurus	57
A. Barącz – Recollections of the author's young years in Lwów (contd)	33	Krzyszyna Karbownik	58
		Jerzy Kopacz	59
		Stanisław Kruczek	59
		Jerzy Masior	60
		Tadeusz Neuhoff	60
		Ludwik Piekło	61

Lista Ofiarodawców za miesiące IV-V 2003 r.

1. Aleksander Rachoń, Elbląg	30.-	10. Janina Wolnicka, Sandomierz, fundusz wydawniczy	50.-
2. Maria Mokrzycka, Gliwice, pomoc świąteczna	100.-	11. n/n Wrocław, pomoc świąteczna	50.-
3. Zdzisław Szell, Szprotawa, pomoc świąteczna	200.-	12. Danuta Mantke, Wrocław, pomoc świąteczna	100.-
4. Władysław Hapoński, Lublin, pomoc świąteczna	120.-	13. Marian Oleszkiewicz, Wrocław, pomoc świąteczna	100.-
5. Janina Blum, Wrocław	60.-	14. Barbara i Maria Piwko, Sandomierz, fundusz wydawniczy	50.-
6. Józef Bieńko, Stalowa Wola	45.-	15. Saturnin Wasielewski, Gostyń, pomoc Rodakom na Wschodzie	100.-
7. Karol Kuflowski, Olsztyn	100.-		
8. Helena Zdobyłak, Kłodzko	30.-		
9. Elżbieta, Andrzej Malina, Warszawa, na Fundację	200.-		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Zawiadomienie

Biuro Zarządu Głównego TMLiKPW i Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” od 7 lipca br. do 10 sierpnia będzie nieczynne z powodów urlopowych.

Wydawca: Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel./fax (071) 344 88 93. Zarząd: MAŁGORZATA ORZEŁ – p.o. dyrektor, JERZY TANDECKI – sekretarz, ZBIGNIEW UMAŃSKI

Rada Fundatorów: JAN ZIEMBICKI – prezes, ANDRZEJ KAMINSKI – v-ce prezes, DANUTA NESPIAK, WIESŁAWA JELEŃSKA-HOMBEK, DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ, JAN AKIELASZEK, HENRYK STANIUK, LESZEK SAWICKI

Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”: PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

Adres strony internetowej Fundacji: www.oss.wroc.pl/semperfidelis